

BEZ CENZURY

BOGDAN MADEJ

MAŚĆ NA SZCZURY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1977

MAŚĆ NA SZCZURY

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 271



Syg. l.p.

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTÉRAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

BEZ CENZURY

BOGDAN MADEJ

MAŚĆ NA SZCZURY

INSTITUT

PARYŻ



LITERACKI

1977

TEGOŻ AUTORA

Młodzi dorośli ludzie, PIW, Warszawa 1964,

Uczta, PIW, Warszawa 1965,

Konstelacja, PIW, Warszawa 1968,

Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości, Instytut Literacki, Paryż
1974.

PODKOWY

Tata przytrzymał konia i wóz i mnie na tym wozie.

— To do fabryki? — zapytał Maciek.

— Słabyś — powiada tata. — Widać przez patrzenia.

— Ze dwa tygodnie jeszcze, abo mniej.

— Mnie to tera nie wadzi — mówi tata. — Z dembiny podkówów nie zrobię.

— Jedno bym gdzie znalaz, musowo popatrzeć.

— Koń nie Wdowin Gienek — powiada tata. — Na jednym kikucie nie ujdzie.

— Choroba nie dla człowieka — mówi Maciek. — Jakby ze dwa kwartały postękać, swoja by go wieś łopatą przyklepała. Jedź! — powiada tacie i splunął.

A stał przy płocie dwa metry od kuźni. Na kominie wróble się gziły, podskakując, i dym nie szedł z komina trzy miesiące. Jak tu bez podków, myślę, kowale ostatnio wymarnieli po wsiach, mówi tata, do Jaśka nie pójdzie, bo robi z kradzionego, a do najbliższego kowala dalej jak do fabryki. Maciek stał jeszcze przy płocie; nawet na ciele spadł, odkąd go ziemia przywaliła. Dawniej kowalów było tu trzech, w giesie podków nie ma, a Maciek słaby, nie poradzi robocie.

Pogonił tata konia, brzegiem szosy kieruje, żeby choć do fabryki na ostatnich blachach dojść doszedł. Orać by trzeba i u nas, obeszło, tata mówi, na rędzinach, w latach ostatnich coś szybciej wysycha. Słońce wysoko się podnosi, grzeje nas w grzbiet, ja jadę z tyłu za tatą, myślę sobie, to owo, ale najwięcej, żeby się tacie z podkowami udało. Jajka wiezie i ser i masła i koguta, żeby nie wyszło, że chce od fabryki darmo. Patrzy tam każdy swojego i do korzyści, mówi tata, prędki czło-

wiek tam żyje. Cztery podkowy odkuć, powiedział Witków Antek, dziesięć minut nie zbawi, a żelaza na kupach leży, żeby tylko brać dali. Zrobić zrobią, powiedział, bo i taka akcja w sprawie urodzajów idzie. Chyba nie darmo jedziem, może i Kasztan co wie, bo mu lekko do przodu zad się niesie. I tata myśli o podkowach, a mnie smutno bez szkoły dzisiaj być, w piłkę my mieli grać i Staśka mi miała powiedzieć, a tata warknął wczoraj, jak powiedziałem, że nie wolno opuszczać, bo potem w szkole tłumaczenie przed nauczycielką: do dupy tam ze szkołą, powiada, koniowi nie ma w pole na czym iść! A jak się mama wstawiła, to tata splunął, czapką o kanapę rzucił i powiada swoje: a idź tam pod cholere, do dupy ze wszystkimi, po podkowy jedziem!

Tak to i jedziem. Tata z przodu, batem koniowi zad podcina, ja na tyle na torbie z sieczką, w kieszeni mi ciasnawo, mama chleba nawpychała po dwie kromki dla mnie i dla taty, obydwie z cukrem pomoczoną wodą. Staśka się tylko do mnie w szkole śmieje, a prędzej się wyśmiewa, to nogę podkłada między ławkami jak idę, to w bok mnie łokciem, ale do powiedzenia czego jak przyjdzie, to jej nie ma, ucieka, mówi, że jutro.

Po sosie, jak to do miasta, samochody śmigają, w nich ludzie różnie siedzą. Jeden prosto, jakby na kij od grochu się nawdziął, inny gazetę podczytuje, niektórzy rozparty bokiem nawala się z nogą na szofera i szofer ręką nogę odsuwać musi, jak trzeba hamulcem z góry przytrzymać, a honorowo taki siedzi jak jaki kierownik z pezetgieesu, może takie i w tej fabryce siedzą przy szoferze i przez okno samochodu wyczyszczone nic nie robią więcej, tylko patrzą, co się tam z ludźmi przy fabryce dzieje, czy dobrze robią przy maszynach. Jadą szybko, to się nie spieszą. Już my trzeciego naszli, jak z limuzyny wysiadał majstrując przy rozporku, a potem poszczywał w krzaki i wachał świeże powietrze, a niektórzy, na lecie to widziałem, jak się zapomni zabrać z domu z gazetą, to siedzi na piętach za krzakiem i liście co szersze obrywa.

— Jak se tam myślisz, zrobio nam te podkowy? — pyta mnie tata, bo mu nie lekko widać bez gwarancji pchać się tak do fabryki. — Jak źle, — powiada — pódzie, to obróciwszy w obie strony z niczym zawracać przyjdzie, na pośmiewisko z orką wyzdrowienia Maćka czekać, bo do złodzieja na kradzione nie pódę.

— Myślę sobie, że zrobią — powiadam tacie po myśli.

Gówno tam z podkowami, myślę sobie, szkoły w fabryce nie odrobię, w piłkę nie pogram teraz na wozie, a Staśka jutro powie, że mi chciała powiedzieć, mnie nie było.

Tak sobie jedziem i jedziem, tata koniowi batem przy uchu tylko śmiga i po boku szosy, żeby podkowy nie zgubił, po miękkim go prowadzi. Jakby mnie albo mamie idąc do kościoła obcas spadł albo się pasek urwał, to by tam patrzył! Tata by tylko splunął, do dupy ze wszystkimi, powiedział i sam pod ambonę trafił, żeby mu miejsca pod księdza widokiem kto nie zabrał. Ale teraz na wozie jakby mu zelżało, do mnie się odzywa i różne rzeczy po drodze pokazuje, sobie myśli: jak ja mu na tej drodze nic złego bez potrzeby nie zrobię, to i mnie Pan Bóg w fabryce przy podkowach pomoże, i myśli tata ciemne pod czapką sobie schowa, żeby się nikt im nie przysłuchiwał, nawet sam Pan Bóg nie przypomniął, co to było z prosiakiem, jak mu zgnojonym ryjem buty niedzielne wysmarował i grabiskiem między ślepia zebrał, że prosiak pół dnia pod płótem pokwikiwał jak zarzynana świnka, aż mu mama w szafliku żryć wyniosła, albo jak Hankę przydybał z Mietkiem Gorczycą, jak we dwoje na dyszlu — ciemno sapiąc siedzieli, że nawet spódnicy na nogi nie mogła biegnąc obciągnąć i gonił ją z tłukiem do tłuczenia ziemniaków po obejściu, aż się zakławszy zatchnął i poszedł do obrządku, to potem złał ją po dupie leżącą wieczór do spania, za jednym zamachem dawszy wszystkim jej koleżankom, Maryśce i Anielce i czarnej Hance Delektów, że to kurwy, ohyda, do roboty w chałupie nie stanie, tylko za chłopami dupę szczuje, na pohańbienie rodziny po prośbie najducha szuka. Wytrzymać z nim nie można, żeby nie mama była w domu i żeby nie był ojciec, a jak każdy inny, co go można w obejściu bez bicia i zwady minąć, ale to ojciec i nie da rady inaczej, bo nie.

Lasem to się jechało lepiej i tam my w cieniu stanęli koniowi poszczypać trawy dać. Zapakowali my się z tatą za potrzebą w gęste, tata po jednej stronie krzaka, ja po drugiej.

— A to żelastwa im na podkowy nie zbraknie — mówi do mnie tata stękając. — Idź se nie za daleko w las, może wiewiórka wypatrzyś abo zajaca, lisa nie, bo jak się pokazuje, to wścieknienty.

Ale my zaraz poszli na wóz, żeby się dopołudniem fabryki dokołatać. I Witków Antek, co tam robi, przy bramie miał być koło jedenastej, patrzeć może my już są. Odwinałem z kieszeni moją kromkę chleba, za wcześniej trochę, potem może zbraknąć, ale jaką bułkę chyba mi tata w mieście kupi, za szkołę i za jechanie, i za te żem głodny i w Mieście.

— Nie ćpaj zawczasu! — powiada zaraz tata ślinę łykając. — Co bedziesz jad w południe? Owies z koniem?

Pod miasto bliżej, więcej samochodów jechało i chałup więcej ceglanych jak z drewna stoi.

— Kradzione — powiada tata i trze biczyskiem nogę. — Za ućiwy pieniądz takiej chałupy nie postawi, a to kradno z fabryki i z urzędów, i chłopom po wsiach. Nie zabrały to ciotce dwie pókopki żyta, jak odeszła z pola chałupy zapomniawszy zaprzyc?

Kradzione, myślę sobie, to może i niedobrze, ale w takiej chałupie i duch zaraz inny i nikt tam nie pluje na deski, na podłogi, bo by się może wilgoć w ściany wdała i ojce może tam inne, nie klnące i nie patrzące kuso, ile się światła w żarówce nad książką siedząc spala, jakby to musiał biegać po naftę co dzień do gieesu, a płacić nie raz na dwa miesiące albo na kwartał, tylko groszem żywym.

Miastem to i szosa śmierdziała i ludzi było więcej i już nie szli po szosie tylko betonową ścieżką, a wszystkie baby z torbami, mężczyźni z teczkami, z dziesięciu albo więcej takich żem naliczył, jakby chodzili do szkoły uczyć. Potem my dalej wjechali, wszystkiego było gęściej i strzałka pokazywała na szosie, gdzie fabryka i jak my tam skręcili, to tata zaczął swoje.

— Ty mi się nie odzywaj, jakby o co pytali, nie trza mi żadnych fachtorów. Cicho masz siedzieć, a robić, co ci każe, konia pilnować, ja bede gadał i wszystko! A patrz, żeby kto co z woza nie podciągał, tam takich majstrów trzymajo, co we swojej wsi już kraść nie mogó, bo so znajome!

Gadanie to nie potrzebne. A bo to tata tylko swoje lubi? Jakżem przyprowadził do domu widły, com znalazł trzy metry od bramy, tata zaraz: ukrad żeś! znalazłem, mówię, przy bramie. Piekutowe stylisko, powiada tata, on takie we wsi robi. To mu te widły odniosę, mówię. Do dupy tam ze wszystkimi, staw w studole za wóz, powiada tata zły, placu nie zbraknie, stylisko zbierze ośnikiem do białego, postoje to sie przydadzo, nowe widły.

To my tak w końcu fabryki dojechali, tata i ja co innego myśląc. Kominy tam jak na obrazku-fotografii, dym-smród zewsząd z każdego kąta pakuje, jakby kto wielką patelnię na ogniu bez smalcu przepalał, takim gorącym żelazem szło z bramy. Przy bramie woźny w mundurze ze starym karabinem chodzi, że to niby takich jak my z koniem i z wozem nie przepuszczać. Witkowego Antka ni słychu, samochody w bramę się pchają, dwadzieścia albo więcej po jednym rządkiem zajeżdżały, szofery papiery wyciągają, a my, jak się już wszystkie w fabryce pomieściły, za nimi. Tata biczyskiem krzyż nad Kasztanem postawił, najeżdża w bramę i maca za papierem w kieszeni. Kasztan do przodu poszedł, aż my dojechali samego łańcucha przed woźnym z karabinem.

— Gdzie wy? — pyta woźny.

— A do fabryki — mówi tata.

— Przepustka jest?

To tata wysadził rękę z kieszeni i mu pokazuje papier.

— Cofnijcie się od bramy — mówi woźny. — Na kwit podatkowy nie wpuszczają, po świętach może. To jest fabryka, nie magazyn gieesu. Cofnijcie się, samochodami zaraz zaczną jechać, jeszcze wam gdzie konia potrąca. Cofnijcie się!

— Ja tu za podkowami — powiada tata.

— Za podkowami? — drze się woźny na tatę. — Zgłupieliscie? Cofnijcie się! Jazda od bramy, bo będę strzelał! Za jakimi — powiada zaraz — podkowami?

— A Witków Antek tu robi, powiedział, że podkowy dadzo zrobić, tom przyjechał.

Woźny postawił karabin przy budce, zdarł czapkę daszkiem do góry i się śmieje do rozpuku z taty, i rękami się klepie, i łyży mu się z oczów leją.

— Podkowy! — drze się śmiejąc. — Gdzie? W fabryce?

— W fabryce — mówi mu tata. — Samych uczonych ponastawiali — powiada cicho do mnie. — U nas by się może na pastucha nadał, a tu powiada nie puści, bo to kwit podatkowy! Jak sie to czytać nauczył!

Woźny się przestał śmiać i przypatruje się tacie, potem mnie i koniowi, i było cicho trochę. Ludzie, widziałem, chodzili po fabryce w kombinezonach samych jak mechaniki, to z rurami jakimiś, to z żelastwem różnym, same i z babami.

— Po podkowy? — powiada woźny, ale teraz bez śmiechu. — Człowieku! Tu wielki zakład przemysłowy jest! Na eksport tu robimy, do Enerefu i do Ameryki za dolary, a ty się wybrałeś jak do jakiej kuźni! Kto by miał głowę podkowy robić?

— Jak co robicie żelaznego, to i podkowy możecie zrobić przy eksporcie. Gdzie robi sie wielkie, na małe tak samo ma być plac — mówi tata. — Jak się wam co popsuje, to do Enerefu jeździcie szukać? Kowala u was nie ma?

— A u was na wsi nie ma?

— Jest, ale go przywaliło, ze dwa miesiące nie robi.

— Z daleka? — pyta się woźny.

— Wyjechali my przed dojeniem, do dnia. Z Krzemienia.

— I w gieesie nie ma podków kupić?

— W gieesie manka narobili — mówi tata — pokradli raz za razem, liczo teraz i się zmieniają, nie ma komu myśleć, tyle dobrze, chleba jest i ryb w konserwach dają.

Dziwuje się woźny i tak sobie gadają, woźny z tatą, i tata co rusz na bok od bramy odjeżdża samochodem dać przejechać i wraca, i dalej rozmawiają. Widać woźny ma z taty uciechę, że taki ciemny chłop do fabryki podkowy robić się wybrał, a smutno mu, bo ludzie z daleka jego karabina się boją i bramę omijają, to nie ma on komu opowiadać o tacie. Po trzeciem czy czwartym razie, jak tata znów odjechał szoferów przepuścić, wyszedł z budki przy bramie jakiś bez karabina i popatruje.

— Ty co? — powiada do woźnego. — Stryjaś se ze wsi sprosił i trzymasz go przy fabryce, żeby ci w dom nie zajechał? Co ci on? Nic ze wsi do garka nie przywiózł?

— Gdzie tam stryj, panie komendancie! — śmieje się woźny. — Ten tu ze wsi przyjechał w fabryce podkowy zrobić. Kwit ze sobą ma, że w podatkach nie zalega.

— Po podkowy? — śmieje się tak samo komendant, ale ja widzę, nic dobrego z tego śmiechu nie będzie, bo gęba mu się tylko śmiała, a oczami chytrze popatrywał na tatę, na wóz i na konia i na mnie na tym wozie.

— Po podkowy — powiada mu tata i znów papier wyciąga.

— A z kim żeście się po podkowy umawiali? Kto miał wynieść z fabryki?

— Nikt — mówi tata. — Witków Antek powiedział, że fabryka robi.

— Popatrz, co na wozie mają — rozkazuje komendant do woźnego.

Woźny do nas, na wozie pod obróconą broną siedzi młody kogut i popatruje, w koszyku ser, masło i jajka, a komendant przy wozie już stoi, patrzy i ślinę łyka.

— Komu to przywiezione? — powiada. — Do sprzedania może?

— Temu, co będzie kuł podkowy — mówi tata. — Ja nie na handel przyjechał, a z poczęstunkiem dla ludzi. Chcesz pan, to bierz.

A komendant to samo, co wprzód woźny. A może macie we wsi kowala? A tata, że go przywaliło i słaby jest, to nie robi. To on, że na wsi w gieesie są podkowy, a tata mu o tym manku i że nikt nie ma głowy, tyle co trochę jedzenia sprzedawać.

— Poważna sprawa — mówi komendant na to. — Poczekać, ja gdzieś zatelefonuję, może się da co zrobić.

Idzie do budki, a na ścianie telefon, przedtem go nie widziałem. Podnosi jeden kawałek do słuchania ze sznurkiem czarnym do ucha i coś palcem w drugim majstruje.

— Przyjechał chłop ze wsi, towarzyszu, podkowy zrobić —

powiada głośno w telefon, a potem zatkał sobie twarz i coś więcej mówił, alem go nie posłyszał.

— Żle jest — mówię do taty — my lepiej stąd wyrrywajmy, bo nam co złego zmajstrują albo powiedzą, że my przyjechali kraść.

— Bez podków nie jedziem — mówi tata, bo się uparł, widzę — a ty mnie nie rób krzyku! Jak ci strach, to się gdzie schowaj pod sieczkę.

Jak tobie tak dobrze, myślę sobie, to i ja mogę przetrzymać, na to komendant przychodzi od telefonu i powiada do taty:

— Zaraz tu przyjdą. Dowód macie?

— Kwit podatkowy przywiezłem — mówi tata.

— Dajcie, tam jest nazwisko, przepustkę wam wystawię, to wjedziecie.

Zabrał kwit, a jak wrócił z przepustką, to przy bramie już było ich z dziesięciu, urzędników i zwyczajnych ludzi, a potem przyjechał z szoferem najważniejszy, wysiadł ze samochodu i przyszedł przywitać się z tatem, rękę mu podał i mnie się zapytał, jak mi idzie w szkole i powiedział komendantowi:

— To wy ich tutaj pokierujcie, dopilnujcie, żeby było zrobione i w zgodzie z przepisami, bo mnie już nie będzie dzisiaj na fabryce, jadę na posiedzenie ważne. I dyrektorowi nie zawracajcie głowy, bo ma konferencję w sprawie rozszerzenia aktualnej wielkości eksportu.

— Tak jest — mówi komendant — wszystko się, towarzyszu, doprowadzi do optymalnego końca.

— Będziecie mieć podkowy — mówi do taty towarzysz — a jajek mnie nie potrzeba. Bądźcie zdrowi, na wsi ludziom powiedzcie, że w fabryce o was myślą.

Tych ludzi zaraz napchało się na wóz, że mało dla taty i dla mnie miejsca było i jak by tak wszyscy wjechali w fabrykę, to oni się na wozie wzięli przemawiać, gdzie by tu najpierw się naszym wozem przejechać. Jeden powiada lepiej po żelazo, drugi na wagę wóz ważyć, trzeci, że nie na kuźnię, a na remontowy.

— Z remontowego i tak na kuźnię nas odeślą — powiada do taty czwarty i tam my podjechali.

A kuźnia taka wielka, że okien, muru i miejsca na trzy magazyny by było. Huk, wielki, Kasztan do przodu iść nie chce, tata z wozu zszedł, trzyma go przy uździe, trzeba podjechać pod bramę, to koń staje dęba, ale my podjechali. Patrę w bramę, maszyn różnych ze sto, gdzie tu kowadło, ogień, młoty, myślę. Ludzi nie za dużo przy maszynach, tata konia trzyma przy pysku, a tamci z wozu porozłazili się w różne strony.

— To będziemy tak teraz stać? — mówię do taty, a tata:

— Stul pysk i w maszynie mi jako nie wleż — powieda. — Zaraz kto tu do nas przydzie.

Przyszedł kierownik kuźni i przywitał się z nami.

— Podkowy zrobić trzeba mówi. Nie darmo, bo wszystko się księguje, ale bez podków nie pojedziecie. Ja mam dobrego człowieka, precyzyjnego kowala — mówi. — Jajko można na kowadle położyć, młotem go dotknie, ale go nie rozbije. Oko ma, na ćwierć milimetra wymierzy i robi, zaraz go przyprowadzę.

Poszedł po kowala i przyszedł z nim. Kował, wąsaty i gruby, z ołówkiem i kartką papieru pomierzył Kasztanowi kopyta.

— Zrobi się — powiada — zaraz.

I zagląda na wóz. Koguta zesadził z koszyka na gołą deskę, nabrał jajek, ołówkiem powybił dziurki, poprzytykał do wąsów i powypijał.

— Dobrze — powiada — bo świeże. Zrobi się podkowy. Przywiążcie konia przy bramie do zawiasa i chodźcie ze mną, żeby było dobrze.

To z tatem poszli żeśmy za nim do maszyny.

— Młot mechaniczny — powiada kował i coś przyciska, a tu wielkie cielsko żelazne lata zaraz do góry i w dół jak w stępie stempor do kaszy. Kierownik kiwa głową i patrzy z góry na tatę.

— Wy sobie tu nie myślcie — mówi — że w fabryce, to tak jak u was na wsi do żniw ze sierpem wychodzić można. Tu się wielkie plany robi, bez nas by Polska nie dała rady, my tu jesteśmy bardzo ważne, eksport na całą Europę i do Ameryki robimy, ale fabryka jest elastyczna, i podkowy dla wsi odkuć można.

Kował guzikiem czerwonym żelazo w maszynę wpuścił, a to, co leżało w dół-w górę, tłukło się po tym żelazie. Żelazo z czerwonego porobiło się czarne i cienkie, i to dalej pobijał po wierzchu, a wszystko dygotało, i ja żem dygotał, i tata, kierownik nic nie mówił, bo by tata nie słyszał.

Ładna maszyna, myślę, co by Maciek poradził ze swoim poklepywaniem. Toż tu można chałupę z czystego żelaza wykuć, nic dziwnego, eksport do Europy robią, do Enerefu i do Ameryki okrętem się to wysyła i, myślę sobie, ten eksport cały jest z żelaza, czy jaki, świeci może srebrno jak kręcałki od radia z klubu kawiarni gieesu, a tu patrzę, ze środka maszyny jedna leci podkowa, druga z gotowymi dziurami na hacele, potem trzecia i czwarta i kował pyta się taty, czy jednej na zapas nie zrobić. Pięć ich wszystkiego było, wystygły trochę na ziemi i kował wsadził ich do wody i wyciągnął zimne. Można od

razu brać, jechać i nimi do Maćka konia kuć, lżejsza robota, to Maciek wydobrzeał tyle, że z tatem dadzą rady.

Wziął tata trzy podkowy, ja dwie, po jednej do ręki, idziemy, a kierownik z nami i kowal, bo miał fajrant na chwilę na papierosa. Tata wyjmuje pulares i chce zapłacić, a kierownik powiada zejść do kantorka potrzeba, fakturę wypisać i z tą fakturą płacić do kasy. To idziemy z podkowami za kierownikiem wzięwszy z woza wszystko, co tam było. W kantorze tata kierownikowi koguta pod stół, ser i masło i jajka, co zostały po kowalu, babie niestarej położył, bo się wzięła do pisania faktury. Patrę, że tata widzi, jak te podkowy już zostawiają ślad przy orce. Dobra, sobie myślę. Tymczasem wszystko było spisane, ale czegoś musiało babie brakować, bo się patrzy na mnie i na tatę i się pyta kierownika:

— Wszystko tu pisać, z narzutami, żeby było w porządku?

— Ano — mówi kierownik. — Wszystko w tej fakturze być musi. Nikt nie ma prawa powiedzieć, żeśmy podkowy zrobili za koguta.

— Pewnie — powiada tata. — Nie wezme od was darmo. Płacić, to się zapłaci za wszystko.

— Za postój — pyta baba — przy zmianie profilu policzyć?

— Liczyć — skrobie się w głowę kierownik i tata też przyświadcza, ale ja widzę, kierownik jak nie na swojego coś na koguta siedzącego pod stołem popatrzył i nogą go w kąt przysunął.

A baba od pisania faktury gryzie ołówek, widać w rachunkach nie za mocna, rozłożyła kawał papieru, pisze, podkreśla, rachuje i przekreśla, a tata przy niej myśli o koniu w bramie i rękę trzyma na pieniądzech.

— Bez maszynki nie poradzę, trzeba wszystko przeliczyć — mówi baba i bierze małą maszynkę z korbą.

Maszynka zgrzyta, baba na boku coś pisze, rachuje i przekreśla i że to niby jej przeszkadzają, masło i ser do siebie podsuwa. Kierownik popatruje na stół, pod stół patrzy, maca okiem koguta czy tłusty i czy grzebień nie siny, a ma się widać do drzwi. Powiada sprawę ma na kuźni, popatrzeć, jak ludzie robią, i się przemykuje w drzwi i powiada do taty, on tu zaraz wróci. Tata obraca pulares w ręce, nie za tłusto tam jest z pieniędzmi, a baba z trzaskiem przyhamowała maszynkę, coś myśli, spoziera, patrzy na tatę i odsuwa od siebie ser i masło w papierze.

— No bardzo ja wiem — powiada — czy mogę od pana to wziąć. Podkowy, sprawa państwowa, nic się do tego nie dokładam, tyle że co podliczę, żeby faktura była dobra. Nasza fabryka, to duży zakład — powiada do taty głośniej. — Produ-

kujemy i dla kraju i na eksport produkcja z roku na rok się powiększa i się rozszerza coraz szerzej. Do Enerefu i do Ameryki eksport eksportujemy, to taka fabryka nie może darmo robić, ludzie muszą zapłacić, co się należy.

— No, ja tu nie przyszedłem darmo brać — mówi tata, a słucha wszystkiego, miarkując, jaka strata z rachunków dla kieszeni. — Zapłacę — powiada — co potrzeba, a ser i masło, i koguta, zostawię, może przyjdzie na mnie czas znów do fabryki zapukać. To niech tam będzie, ile chce.

— Nie jeden by tu chciał za pół darmo się żywić — mówi baba do taty. — Bo jak taka fabryka, to i żelaza na podkowy nikt się nie doliczy, czy wzięte.

— To ja powiadam — mówi tata — darmo od fabryki nie chcę, a pani wynadgrodzę i kierownikowi to samo. Jak tego wszystkiego mało, to tu robi Witków Antek za ślusarza, każe żonie, to przez niego poda. Ile tego trza zapłacić? — pyta.

Baba zaraz w rachunki patrzy, korbką rozpędzić maszynkę próbuje, ale spoziera raz za razem na drzwi za kierownikiem, kręci dupą między tatą i mną, nic, myślę, patrzy, jak się wysmyknąć z kantorka.

— Nie tak — powiada baba — prędko. — Ja pieniędzy nie przyjmuję, najpierw fakturę popodpisywać, kierownik, kontrola, główny księgowy, żeby na dyrektora trafić. Jak wyjedzie z zakładu, to do drugiego dnia papiery nieraz leżą. To ja w tej sprawie wyjdę — powiada — bieg nadać.

Ale tu sam kierownik wraca od maszyn z kuźni, klepie tatę po plecach, na babę mruga i ja na nich patrzę. Widzę: źle. Pewnie tata podków nie wywiezie, coś przed nim zakrywają. Może się rozmyślili i mu nie wydadzą, co im w takie fabryce po pieniądzach, nie wielkie one. Ale przecie ze dwadzieścia jajek, liczę sobie w myśli, trzy ćwierci masła, ser półtora kilo, kogut, będzie dobre półtorej setki. Cielaka, myślę, się nie spodziewali, że im do zawiasa przywiążemy, chytre ludzie, myślę, chcą od taty więcej. Przysuwam się do niego, jak oni na ucho poszeptują i powiadam do taty:

— My tu źle do tej fabryki trafili. Witków Antka między nimi nie widać, a takie chytre, to my może nawet nie do dobrego miasta wjechali — mówię i ciągnę go za rękaw, a on mi powiada w ucho:

— Siedź, gówniarzu, ja ci po drodze żem mówił, masz mi tu nic nie popsuć — i mnie za siebie odpycha i do baby podchodzi patrzeć na jej rachunki.

A kierownik teraz za rękę go łapie i, my tu zaraz wyliczymy, mówi, żebyście do północy do wsi się nie teleпали.

— Bo bym już na wieś nawracał — mówi tata.

— Jak się tym ludziom ze wsi śpieszy — śmieje się baba.
— Może by chłopakowi fabrykę pokazać, przyjdzie pracować po szkole, nie będzie na wsi siedział.

— Nie wolno ze względu na higienę pracy — powiada kierownik. — Niech pan jeszcze poczeka — mówi tacie — dużo jest rubryk na tej fakturze.

A co się tata na stół nachyli zobaczyć te rubryki, to baba się zaraz na fakturę cyckami kładzie, a kierownik tatę klapie po ramieniu, już i tata widzi, że nie na dobre dla nas my tu przyjechali.

— Wy mnie podkowy dajcie — powiada do kierownika — ja zapłać i pojade. Ja nie na złodziejstwo przyjechał, chce zapłacić.

Kierownik spoziera w bok i nie prędko mu odpowiedzieć.

— Ta faktura — powiada — jakoś nam urosła. Trzeba policzć i to, i tamto, pieniądz się do zapłacenia naczierał. My sprawdzamy, żeby was nie obrabować, bo i my nie złodzieje.

— Złoty więcej, złoty mniej — mówi tata — jakie zmarnowanie? Do wójta nie pójdziemy, zapłać fabryce, co potrzeba.
— I tata patrzy na niego i mówi: — Wiele to tego, panie kierowniku?

Kierownik drapie się w głowę.

— Ano, niedużo, zaraz sprawdzimy — powiada i łap za ołówek. — Ile koszt surowca? — pyta baby.

— Jedenaście złotych, ale odpadów narobili do przetopu. Trzydzieści osiem złotych wszystkiego.

Tata wyciąga kopernika i kładzie go do leżących na stole.

— Nie mnie — mówi baba. — To do kasy pieniądze.

— A koszty zaopatrzenia — pyta kierownik — policzone?

— Piętnaście procent.

— Nie wyjdzie dużo suma sumarum — mówi on. — Materiał trzydzieści osiem plus pięć siedemdziesiąt, czterdzieści trzy siedemdziesiąt.

— Za mało nie jest — powiada tata i dokłada kościuszkę — ale wytrzymam, do wójta nie pójdziemy, z dalekam jechał.

— No — powiada kierownik — jeszcze dojdzie według przepisów. Robocizna ile?

— Stawka zaszeregowania dwanaście trzydzieści plus koszt pracy młota trzydzieści dziewięć minut, w zaokrągleniu godzina — powiada baba i patrzy na kierownika. — Boję się powiedzieć.

— Mów pani, nie będziemy się cackać z fakturą dwie godziny. Wydział cały mam na głowie — mówi kierownik i głowę do

taty obraca. — A koguta, to ja nie potrzebuję, zabierzcie żonie do domu sprzedać do skupu. Ile? — powiada do baby.

— Trzysta dziewięćdziesiąt złotych per saldo — powiada ona i płacze. — Podliczałam trzy razy, grosza taniej nie wyjdzie, chyba żeby pokręcić. Ja już nie wiem!

— Jedenaście lat tu pracuję i wszystko dobrze liczyłem! Nie dam się podprowadzić, innemu miejsca nie zrobię przez podkowę! Trzysta dziewięćdziesiąt — mówi.

Tata przestał miętosić pulares i pot mu spod czapki spływa.

— Ludzie! — powiada. — Nie dam rady! Więcej jak cztery setki podkowę? A wiele żem ich narobił, dwie kopy?

— Przeprofilowanie produkcji jeszcze — powiada kierownik — ile?

— Dziewięćset osiemdziesiąt osiem — mówi baba i oczy znów obciera.

No, tata, widzę, słabnie. Jeszcze mi go wykończą te rabusie, myślę. Nie, trzeba uciekać, żeby my Kasztana nie musieli zastawiać, będzie dobrze, jak się zdrowo wyrwiemy, żeby tylko nie narobił szumu w fabryce, jak dwa lata temu było, do ospy piasku w magazynie sypnęli, jak nie patrzył.

— I postój młota jeszcze — liczy kierownik popatrując na babę — i jeszcze krótka seria, sześćset pięćdziesiąt złotych razem. Suma sumarum dwa tysiące siedemdziesiąt osiem. To wszystko.

W kantorku muchy latają, młot bije gdzieś za ścianą, baba chlipie, a tata stoi patrzy na fakturę.

— To tyleście wyliczyli? — pyta cicho. — Dwa kawałki? Jak żyje, nigdy nie słyszał. Z giesu za te pieniądze podkowników na plecach bym nie doniósł. Nic, tylko jakieś pomylenie w rachunkach.

— O, ja tu osiem lat pracuję — mówi honorowo baba. — Jak bym robiła pomyłki, to bym nie pracowała. Ciężkie miliony już liczyłam. Niech mnie pan nie obraża!

— Dwa tysiące, to zmyłka — mówi tata, a ser i masło i jajka podsuwa babie.

— Nic nie poradzę — powiada kierownik, odwraca oczy od taty i ode mnie i od tej baby też. — Zamawialiście podkowę, ważniejszy ode mnie powiedział, że zrobić, to żem zrobił. Przepisy nie moje, a z góry. Nie mogę robić darmo, fabryka obciążona, eksport robimy i dla kraju. Zamawialiście, trzeba płacić.

— Nie mogę — mówi tata. — Nie mam tyle, żebyś chciał. Dwa tysiące podkowę? — jęczy, jakby go ząb łupał.

Kierownik zwiesił głowę, baba przy maszynie do rachowania ciągnie nosem i farbę rozmazuje po gębie, na siebie popatrzeć nie chcą. Ja się kręcę od drzwi kantorka do taty i z powrotem

do drzwi i popatruję na ich rachowanie na fakturze i widzę, wszystko jest wypisane, na górze stempel i rubryki wydrukowane wcześniej nim my tu przyjechali, przez drzwi huk wielki od maszyn idzie, wielka ta fabryka, pewnie tam znowu kogo w takie podkowy wzuja. Tata medytuje, podkowy w kącie leżą odkute jak u kowala, żal nie brać, ale i szkoda płacić pieniędzy taki.

Oni z taty się śmieją, myślę, i mrugam do niego, na pewno żarty robią, widzą prosty chłop ze wsi przyjechał, to mu trzeba pokazać, jaki to świat w mieście mądry, i chcę tacie powiedzieć, żeby tych podków nie chciał czasem zostawiać, bo mu dla śmiechu zostawić nie przeszkodzi, ale dwa tysiące, myślę, cały rower mniej kosztuje, a ile w rowerze różnych części i rama i kierownica, i łańcuch, dwa koła ze szprychami i dętki, i opony, dzwonek, bagażnik, pedały i światło z tyłu i na przodzie, i dynamo, i kabel do latarki, wszystko nowe się świeci, a tu za podkowy chcą tego, co za rower, prześmiewki z taty robią.

O, myślę, kierownikowi, jakbyś tak wszedł na obejście, to też być dziwów różnych znalazł i stałbyś nie wiedząc, co do czego potrzeba. A o której się koniom daje, wiesz? A o której krowom i świniom, i kiedy się doi? I ty, myślę o babie, nie wiesz, do kiedy się w jesieni krowy pasie na pastwiskach, czy jak po drugim sianokosie, to na łąkach można jeszcze, czy nie? I jak dzień jest krótki, to się nie zagania w południe, a pasie się do wieczora, i do jedzenia chleb jest z domu i ziemniaki z ogniska jak jeszcze są po polach, i ognisk na nich tyle, że tylko siność i dym idzie nad łąkami jak ślepy dziad po prośbie, i się śpiewa coniebądź, i w kadzidłach się pali na węglach liście i badyle, żeby dymu było, i że ogniowi, jak wiatr na niego wieje, to mu nie wolno na dupie siadać, bo się zadusi, i krowie dać poleżeć nie wolno, niech się pasie, i czy by oni na wieś przyszedłszy wiedzieli jaką trawę krowy najbardziej jedzą i kiedy na żytach popaść wolno, i kiedy poić i ile soli do pojenia dawać?

O, myślę do tej baby, co siedzi przy maszynce i nie patrzy na tatę, i tata nie taki zły jest! Po dobremu krzywdy nikomu nie zrobi i zwierzęcia nie skrzywdzi, a jakby krowa czy koń złamał nogę, to on by do szpitala za nim poszedł, jak na filmie w kinie widziałem, że człowiek żonę jeden na rękach niósł i płakał, a potem przy niej siedział, żeby lekarze o nią dbali i kurowali prędko, a jak koniowi za ciężko, to tata wóz podeprze i pcha, i bardziej konia stęka, to tu o wasze maszyny ludzie tak nie zadbają, tylko dadzą na złom, jak traktor w gieesie, albo za pługiem wiosną jak idzie i wrony za nim idą, biczyskiem robactwo im wygrzebuje i pokazuje i idzie przed nimi i się cieszy, że żyją z nim razem. O, myślę, niedobrze z wami! I nie wiem,

co powiedzieć, bo może i tata tak pomyślał, a może i oni pomyśleli, jaki to tata człowiek jest, kiedy u siebie jest na wsi nie przed ludźmi, a tylko przed sobą kiedy jest? Nie honorowo im może odstąpić od tych śmiechów i ceny wstyd opuścić, i dałem spokój i nic nie mówiłem. Trochę jeszcze poczekam, myślę, może się co odmieni i wyłoży, jak trzeba, ale nim żem pomyślał, drzwi od kantorka się otwierają i Antek Witków wchodzi.

— Dzień dobry! — mówi do kierownika. — Witajcie — powiada tacie. — Toście tu przyjechali, jak żem mówił? O — powiada — widze już wam odkuli te podkowiny, poznałem waszego konia, to, sobie myślę, trafiliście tutaj, to, sobie myślę, wpadnie, zobacze.

Ale się teraz obejrzał na wszystkich, masło i ser zobaczył i koguta przyduszonego pod stołem, bo go kierownik nogą przegniótł.

— Co wy — powiada — jak na weselu stoicie? Zrobiło się komu co? Podkowiny na wóz i do domu!

Tata nie mówi nic i na podkowiny nie patrzy i na Antka i na mnie też. Myślę sobie, będzie się wściekał po drodze, to i mnie się dostanie, aż tu kierownik kiwa głową.

— Za dużo — powiada — wyszło za podkowiny i nic nie można poradzić.

Antek podchodzi do stołu do baby popatrzeć na fakturę i się za głowę łapie.

— Dwa tysiące! — krzyczy, jak wprzód tata. — Dwa tysiące?

— Dwa — odpowiada baba.

Na to wchodzi ten majster kowal, co podkowiny odkuł, i on też krzyczy, że za dużo, i potem wchodzi więcej ludzi, hałas się robi i krzyk, ale kierownik obstaje przy swoim i baba chlipiąc też.

— Przepisy — powiadają. — Darmo nie wolno, nam powiedzieli policzyć.

— Dwa tysiące? — dziwią się ludzie.

— Dwa! — krzyczy kierownik i pięścią w stół. — A co to? Moja fabryka? A idźcie mi stąd do cholery, co mi wiec będziecie robić! Bo dniówki podpisyuję, do roboty wszyscy!

— To wy się wykichajcie na podkowiny — powiada Antek do taty. — Moja wina, żem wam doradził.

— Przecie, że dwa kawałki nie zapłace — mówi tata. — Bałbym się babie pokazać, przez miesiąc nie wydre tyle pazurami z ziemi.

— Wykichać się — mówi Antek i patrzy zły na babę. — To ta tak policzyła?

— Nie zapłacicie? — pyta kierownik.

— Nie zapłać — powiada tata.
— Wykichać się — judzi Antek.
— To po co ja tyle liczyłam — powiada baba od maszynki — żebyście teraz nie chcieli?

— Konia żem gonił pół dnia — mówi tata. — To tyś mnie tu podmówił mówić do Antka, a on do kierownika:

— Nie wstyd tyle pieniędzy chcieć za podkowy? Do dyrektora trzeba zatelefonować, niech za darmo da!

— Trzeba by co robić — wzdycha kierownik i, widząc, mu żal tej faktury. — Ale do dyrektora dostępu nie ma, naradę ma ważną w sprawie eksportu.

— To do zastępcy, ruch jaki trzeba zrobić — mówi Antek.

— Chłop do domu wróci bez podków, wstyd dla nas będzie wielki.

— Do zastępcy? — mówi baba. — Może i do zastępcy?

Kierownik zatelefonował. Najpierw jednemu długo przetłumaczał, że chłop podkowy robić przyjechał i podkowy są zrobione, tylko faktura za wysoka. Później to samo powiedział jeszcze jednemu i ten pokierował go do jeszcze innego i ten powiedział na koniec, że na przepisach trzeba się opierać i jakby nie narada w sprawie eksportu, to by dyrektor mógł przekreślić fakturę, a tak to on nie chce o niczym słyszeć i nie trzeba go w to mieszać, bo i on chce spokój mieć.

Jak my to z tatem usłyszeli na stojąco, to Antek wyszedł z trzaskiem z kantorka, a kierownik tak samo we drzwi, to i my we drzwi.

— Stójcie! — mówi baba. — Ja wam — powiada — za ten ser i to masło zapłać, żebyście darmo do miasta nie jechali, i koguta bym kupiła, ale się kierownikowi podoba, synowi książkę kupicie.

Tato powiada, że ja już książek do czytania mam i baba podziękowała.

— Te podkowy — mówi — rzućcie gdzie na fabryce, nie zabierajcie ze sobą, bo was strażnik za bramę nie wypuści. Ja wam — powiada — przepustkę podpiszę, że wy już żeście wszystko pozałatwiali.

Tata wziął trzy podkowy, ja dwie, po jednej w rękę, i rzucili my zaraz za drzwiami. Do Kasztana idziemy, koń głodny, patrzymy z tatem, że słońce nisko i za niedługo robota się będzie w fabryce kończyć, bo ludzie stoją pod kioskiem, przy bramach innych kuźni, radzą i popalają, jak przed fajrantem pod piekarnią w giesie.

Tata pierwszy idzie i ciągnie Kasztana za uzdę, wóz się telepie za koniem, ja za wozem. Tata ma czapkę naciągniętą do dołu,

żywota lekkiego, myślę, nie będę z nim miał przez drogę, on mi tu już dopieczę, ale się nie odzywam i idziemy do bramy. Tam ten sam woźny z karabinem, co się z taty prześmiewał, wziął przepustkę, obejrzał, przepatrzył wóz z wierzchu.

— O, to — powiada — lżejsze na wieś jedziecie, a szkoda. Tamtego koguta — powiada — to ja bym kupił, jakby nie był za drogi.

Tata mu nic nie mówi i ja mu nic nie mówię i tak my wyjechali z fabryki.

Od miasta, żeby szybciej szło, jedziemy milczkiem przez pola i przez las i przez wieś przy drodze. Tata popała skręta z samosiejki, Kasztan poklapuje na starych podkowach i jak go tak sobie słucham, to się boję, żeby go po drodze nie odpadły, bo dzwonią luźno. Samochody znów nas mijają i ludzie w nich, mężczyźni i kobiety, ale mnie to nic nie wadzi. Ja sobie myślę jak się skończyło z graniem w szkole, i że podków nie wiem, i Staśka też zmarnowana przez to dzisiaj. A tata się będzie musiał przepraszać z kowalem Jaśkiem i z ćwiartką do niego pójść, nie honorowo będzie, z kradzionego podkowy będą. Wódkę z nim pić, jakby nawet po ciemku, we wsi wiedzieć będą, Jasiek sam rozpowie, kto do niego przychodził.

Jeszcze my kawał drogi do domu mieli, tata przystanął przed gospodą w jakiejś wsi. Na wozie zem siedział i patrzył przez szybę jak tata przy szynkwasie w kufel z piwem zagląda, a jeszcze mu dwa setkowe w tej gospodzie poszły. Właź tata na furę bardziej zły. Kasztana goni, skręta ssie, jak Lebidzine dziecko soskę, a na mnie popatruje kuso i strzela mnie z bata nad uchem. Kasztan się kolebie przy rowie jak jaki dziad do kościoła na samych przyszwach, a samochody ledwie nas nie rozjadą. Byłe do domu, myślę. A tata teraz złapał cug i do drugiej gospody dyszel obraca. Siedzę znowu na wozie, gwiazdy nade mną świecą, zimno jest, a tata z kuflem przy szynkwasie leje setkowe do piwa i wychodzi napity, był bez jedzenia, tyle co chleba z cukrem mieli my oba, i powiada do mnie:

— To nas obóch podkuli — a ja mówię:

— Ktoś nam zrobi podkowy.

Tata wyciąga dla mnie z kieszeni kawał kiełbasy zaproszony tabaką i ogórek kiszony wyschły, tom wszystko obtarł i zjadł. Kasztan szedł do przodu całkiem równo, tata się kiwał przede mną i nie poprowadził Kasztana, jak mu samochody przy mijaniu w pysk świeciły.

— Tyle, co my miasta łyknęli i fabrykę obejrzelі ładne, zawsze coś żeś zobaczył — mówi tata potem. — Jakby nam jeszcze tych podkówów zrobili, to by nam było po co jechać.

A potem tata spał, a ja żem dbał o Kasztana.

A z podkowami było tak.

Jak my już z Kasztanem podjechali pod dom, tata był dobrze napity, na drodze nie jedną gospodę pobudowali zawczasu. I piwa było, i wódki, a w co drugiej kiełbasa i ogórek, to żem znów do domu nie przyjechał głodny i Kasztan też przy gospodarze stojąc sobie podjadał, bo jeszcze była dla niego siecarka w torbie. Przed domem się tata podnosi, patrzy za siebie na wóz i na mnie, nosem ciągnie z lewa i powiada do mnie:

— A gdzie ty sie tak uchłał?

— Nie pił żem — powiadam. — Gdzie żem tam pił!

— Wódkę mi słyszać! — mówi tata. — Gdzie żeś ty się tak uślachcił?

— Nie pił żem — mówię, bom jeszcze nigdy nie pił, a tata znów do mnie:

— Pił żeś!

— To żem pił — powiadam do niego. — Nie mam głowy mocnej, jak tata.

A tata podchlebiany mówi:

— Ja cie pilnuje boś mi syn, żeby ci kto co nie zrobił, ale jak przydziemy do domu, to pogadamy o te wódke, bo choć żeś gówniarz, aś pił!

I w domu jakby nie mama, to bym od niego zebrał, bo tata zaraz za pas, ale potem mu przeszło i szedł już w gaciach spać, jak zadudniło w okno. Tata zapytał: a kogo tam diabli nieso? To ktoś powiada za okna, że on jest Witków Antek i tata go wpuścił przyodziawszy portki.

— A toś mnie urządził, ty i twoja fabryka, oszukańce jedne! — powiada.

— Podkowy wam przywiozłem, to z fabryki — mówi Antek i stawia przy drzwiach paczkę zawiniętą w papier.

Tata poweselał, miał jeszcze domowe pół litra ze spirytusu, to sobie wypijali siedząc późno, ale tej wódki za wiele nie było. Antek się do domu zabierał na spanie, jak tata zajrzał do tych podków. Patrzymy wszyscy, tata i mama, Hanka spod pierzyny i ja, a tych podków trzy leży, więcej nie chciało być.

— Trzy — mówi tata do Antka.

— Trzy kierownik mnie dał.

— To one tam nie wiedzo — mówi tata — ile zwierze ma kopyt? Był z nami koń, mogli porachować na maszynie!

— Dwie podkowy — powiada Antek — kierownik musiał zostawić, żeby nie mówili, że za koguta dał, a te trzy niby do przetopu poszły.

— Do dupy ze wszystkimi! — mówi tata.
To Antek się zabrał i wyszedł, a tata zaraz powiada do mnie:
— I tyś mnie dziś nadojad!
Wstaje i bierze za siekierę, to ja nie mówiąc w krzyk i pod
łóżko.
— Siedź cicho i się nie drzyj! — mówi tata i we drzwi.
— Gdzie idziesz? — mówi mama i łap go za rękę. — Co
będziesz robił z siekierą?
— Koniowi noge odetne, na co mu tyle kopyt!
— Do Jaśka pójdziesz — mówi mama. — Zrobi ci.
— Póde — powiada tata. — Do dupy!
To ja spod łóżka już wyłazę, sobie myślę: złe przeszło.

KURS NA LEWO

Siedzim pod okapem w kucki, zmoknięte kury, trzech nas: Antek Boże-coś-Polskę, Marszałek, ja też. Nie doszedł jeszcze Kazik, on będzie nas wieźć do Warszawy. Tych, co towar mają dla nas szykować, tak samo nie ma. Paruch, dozorca, na jednym kulasie przy tuczarni chodzi, nie podoba mnie się jego ryj. Deszcz nierówno siąpi, nie pojaśniało jeszcze, ziąb od ziemi idzie, mokro, tyle co pod okapem za kołnierz się nie nalewa.

Boże-coś-Polskę nie bardzo chce od domu odstawać, Marszałek w oczach czerwono ma, na kacu jest. Patrzeć, jak przyjedzie dyrektor przypilnować, żeby zrobione było, co potrzeba, i żeby my z Warszawy nie musieli z towarem nawracać. Skrzynki z jabłkami już my wczoraj powstawiali późno na stara Kazikowego pod plandekę, ławkę wstawili wygodną, miejsce dla łebków pod budą się znajdzie.

W kucki siedzim na deszczu prawie, ludzie nie przyszli jeszcze do roboty, my jechać mamy przed nimi. Stukam Marszałka pod bok, peta śpiąc w palcach trzyma, ale się budzi, popatruje zły.

— Pierdol się, spać się mnie chce.

Spać się i mnie chce. Żeby my tylko stąd wyjechali, po drodze parę godzin odespać można, choć lepiej przy Bronce w łóżku. Paruch, stróż, na drewnianym kulasie przy tuczarni chroma, deszcz siąpi, buty domarzają mokością skroś zelówek i przyszwów. Ile to tych kolegów, myślę, dyrektor ma w Warszawie i bliżej, że parę razy na rok stara z towarem wywozi, wywiezione na straty odpisuje: jabłka pogniły, indyki się podusiły w nocy albo sam tchórz ich napsuł. Kary sypie na niektórych ludzi, co ich zna, że nie wydadzą, pieniądze sam za nich do

kasy płaci, a im premie daje, bo cicho siedzą, nie mówią nic za to, że im się kary w papiery personalne pisze.

Teraz on sam się do bramy dobija samochodem. Paruch mu otwiera i go wpuszcza, on jedzie prosto na nas, światła gasi, z wozu mu wyłazi Olko i Blacha, po drodze ich z domu zabrał, żeby mu zrobili, co potrzeba.

— No, jak? — pyta. — Pospali?

— Pospali — powiadam.

Budzę Marszałka, Antka, śpią przy sobie na piętach, patrzę, Kazik już jest.

— Zaraz będziecie ładować i w drogę — mówi dyrektor — żebyście do Warszawy nie przyjechali późno, bo nocą będziecie wracać. Jutro wolna sobota, dla was też święto.

Mówię mu, zdążyć się zdąży, samochód dojedzie, byle mróz nie ściał, śnieg nie napadał. Olko i Blacha idą do tuczarni, za nimi Kazik się wciska procent od dyrektora doliczyć. Drzwi zatrzasknęły, robi się gwałt indycki. Już tam oni na nic nie patrzą, kopę indyków we dwóch potłuc, roboty nie za mało. Trza iść od jednego do drugiego, za łeb ich, skrzydła butem przydeptać, szyję przekręcić, krzyku, gulgotania, skrzydłami, nawet pazurami może po ślepiach zebrać, jak idzie taki, co się na biciu nie zna.

Dyrektor przy swoim wartburgu papierosa ćmi, ale mu trochę na kołnierz napadało, to wlaź do samochodu do środka, szybę spuścił, gada z nami, żeby z nas żaden nie pomyślał w taki dzień, co te dary wieziem, że on na robotników z góry patrzy. On papierosa da i o dzieci zapyta, czy są ciepło na zimę ubrane i czy im rachunki dobrze w szkole idą, a czy żona zdrowa i jak jej się tam w domu gospodarzy. Ja patrzę na Antka, na Marszałka, przemokniętymi butami tańczą przy wartburgu, i myślę sobie spokojnie, bo złość się we mnie dawno zapaliła i wypalić zdążyła: żeby nie my, ty byś dyrektorskiego stołka w życiu nie oglądał, a byś za parobka u bauera jakiego był. On sobie na miękkim za kierownicą siedzi, ciepło mu, sucho, muzyki posłucha, jak zechce, ręce założone na kierownicy, miękkie, tłuste, do papierów od młodu nawykłe, a mnie się przypomina to i owo dawniejsze.

Olko i Blacha kiwają do nas z tuczarni, mozem już swoje robić. Kazik modlitwę szoferską rozpoczyna, dłubie przy starze, skłina, podjeżdża z garażu pod tuczarnię, dyrektor tak samo podjeżdża wartburgiem i się przypatruje, jak my pobite indyki na wóz rzucamy na rozłożoną plandekę, wszystko sztuka w sztuce dorosnięte, tłuste, specjalnego chowu ptaszki, na witaminach, ciepłe jeszcze, łebki poukręcane wiszą, szyje połamane, oczy się

patrzą trochę ścięte. Plandeką przykrywamy ptactwo, dyrektor podpisuje Kazikowi kartę drogową.

— Jakby was kto zatrzymał albo za dużo chciał wiedzieć — powiada do niego — nie wdawać się w rozmowy, wieiecie do skupu, dowód dostawy żeście zapomnieli. W razie czego powoływać się na mnie, że ja o wszystkim wiem.

— Boże coś Polskę! — powiada Antek. — Co to my, pierwsze jedziem?

— Listę adresów dostaniecie na miejscu, według tej listy porozwozić, potem do domu, jutro macie wolne.

Kazik włązi za kierownicę, zapuszcza stara.

Siadamy z Marszałkiem, Antkiem, dwóch z tyłu, Antek przy Kaziku na przodzie. Dyrektor za nami wykręca do bramy wartburgiem, Kazik jedzie przez miasto, trąbić mu nie potrzeba, ruchu na drodze nie ma, tyle co się w chałupach niektórych świeci i ludzie do roboty wychodzą.

Jedziem w spokoju nic do siebie nie mówiąc, bo i co komu mówić. Każdy ma swoje na głowie, o drugim się wie, sprawy w zakładzie znane, my, nie liczyć Kazika, żonate, dzieci mamy. On się jeden nie żeni, nie za bardzo ma chęć, może przez te włosy ogolone w odsiadce, miał skok na odzieżowy magazyn. Kto wie, co po odsiedzeniu nowego myśli, samochód chce mieć swój, na takśie jeździć. Antek Boże-coś-Polskę z Joąską ma kłopoty, odkąd ją z Marutem na robocie złapał, rozmowny się bardziej nie zrobił, do śmiechu mu daleko, do bitki blisko, bo mu się w głowie przedstawia, że każdy o tym myśli, jak go żona do wiatru z innym odkręciła. Nie wie i teraz, co w domu jest, dzieci ma, ale czy swoje nie pozna, nie gwarantowane, kto siał. Marszałek wszystkiego ma dość, pieniędzy ma za mało. Ludzi w domu jak w odpust, ma teściów, swoich starych, żonę i dzieci sześć. Zjeść dobrze nie zje, ma kogo w domu żywić, pęto kiełbasy przyniesie, to go dzieci obsiedą, wydzierają sobie czym matka obdzieli, świątek u niego nie dłuższy jak piątek.

Kazik nas na główną szosę wywozi. Sam się dobrze sadza na długą jazdę za kierownicą. Marszałek śpi, Boże-coś-Polskę posysa sporta, pluje za szybę, z tyłu na starze jabłka i pobite indyki jadą. Żeby nas, myślę, drogowi nie przytrzymali, że bez dowodów jedziem, tłumaczyć się trzeba, prosić, jakby o swoje chodziło, a jak się z mandatem przyjedzie, dyrektor za biurkiem krzywy, żeśmy nie dbali wyjść cało, bo w razie wpadki z jego kieszeni idzie. Łebków patrzym po drodze, nie za bardzo się trafia, za parę złotych autobusami jeżdżą. Chyba jaki kurs z ładunkiem prywatnym się trafi, dyrektor kilometrów nie kon-

troluje, musim jakiś grosz i dla siebie zrobić. Znów o tym myśląc, myślę sobie, czy tak my kiedyś celowali.

Ze dwadzieścia kilometrów nam przeszło, dziadyga stanął na drodze, że to niby chce z nami mniejszym kosztem jechać, autostopem się z nami zabrać.

— A idź ty, kurwa, się nie pchaj, jeszcze mi kipniesz w drodze — powiada Kazik, trąbi, dziadyga w rów odskakuje. — Wziąć takiego, w razie wpadki nagada na ciebie ze strachu. Milicji się boi, ojca by sprzedał, żeby mu nikt nie naruszyć dziadowskiego spokoju! Kiwaj się, stary!

Milicji, to i on się boi. Z tej przyczyny nie lubi takich, co się za dużo spowiadają, przez takich wpadł. Wszystko sobie we trzech umyślili, pokombinowali. Do magazynu wleźli dachem, okienko małe nie zamknięte pod okapem było, jeden podawał z regałów, drugi do okna niósł, trzeci na dach wykładał. Czterdzieści ślubnych garniturów z czarnej krepy wynieśli, po trzy kawałki, dobrze wiedzieli, co brać. Towar odstawili na melinę, mordy w kubeł, cicho, sza. Nie ma ich po knajpach, w robocie jak zegarki. Po jakimś czasie mieli towar upłynniać sztuka po sztuce, to tu znajomemu, to na targu, krewnym, pociotkom, niby okazynie, żeby się nikt nie pokapował. Ale jeden miał się żenić, potrzebował sukienkę kupić, welon narzeczonej. Wziął pięć garniturów z meliny do Gdańska. Tam go przymknęli, jak się towaru zbywał prosto na chodniku w Nowym Porcie. Jednego dnia Kazik wychodzi z roboty, dwóch z tyłu podskoczyło do niego i pod pachy. Wiele się nie opierał, wiedział, jaka sprawa. Śledczy mu powiedział: jakbyście poczekali ze dwa miesiące, sprawa by była spisana z rejestru, nikt ze znajomych do tej roboty nie pasował, o was, powiada, nikt nie wiedział, bo to was wszystkich pierwszy skok był. Kazik miał za sobą rok z pobicie, zawieszony, dostał cztery lata, swoje odsiedział. Magazyny mija z daleka, o taksie myśli, na swoim chce być. Honorowy jest, łebka za pięć złotych na trasie nie podwiezie.

Dziada z drogi nie wziął, a kilometr dalej zatrzymuje go dziewczyna z włosami nakręconymi od fryzjera, w kozakach, w kiecce krótkiej pod rozpiętą jesionką, taka z tych mocnych w nogach. Kazik się roześmiał, jak ona jeszcze na drodze z ręką podniesioną stała, szeroka, rozkraczona, zdrową dupą pachnącą jak miodem. Przyhamował stara.

— A dokąd to przy piątku? Nie lepiej to w domu siedzieć? W drodze się lubi co przydarzyć!

— Dokąd? A do przodu! — mówi ona. — A jak się nadarzy, to i do twarzy!

— Do przodu, to i my lubimy — śmieje się Kazik. — Daleko można?

— Z panem — powiada ona i śmieje się oczami — bym jechała do samego oporu.

— Gdy wejdiesz do mojej chaty, cnotę odpisz na straty! — mówi jej Kazik wierszem i powiada Antkowi: — Otwieraj kabinę!

— Oj! Ja już to gdzieś słyszałam! — piszczy dziewczyna i patrzy się na nas, trzech siedzących w szoferce, nie licząc Kazika. — Ja się tu pewnie nie zmieszczę!

— Co tam! Bliżej do mnie, na maskę! — zaprasza Kazik. — Będzie ciepło i czas w towarzystwie będzie płynął!

Dziewczyna włoży Antkowi po kolanach, owiał mnie gorąc spod jesionki, błysnęła kolanami i wyżej, jak się nad maską rozkraczała, gołe ciało między pończochą i naciągniętymi do ostatka majtkami zobaczyłem. Siadła na masce, pozbierała na sobie łachy, łosзки, na kolana pościagała i się zaczyna towarzyska rozmowa. Ona nogi w kozakach spuściła po lewej stronie maski, Kazik co rusz biegi przekłada, ręką zajeżdża po jej kolanie, dziewczyna trajkocze, my we trzech siedzimy. Boże-coś-Polskę z przodu, Marszałek za mną z tyłu, i mnie to jej cielsko jałowicy zaczyna pachnąć coraz lepiej, choć mi sześć lat po czterdziestce. Ona się kręci pod ręką Kazika na masce, Boże-coś-Polskę nie patrzy na nią, spluwa na gumową wycieraczkę pod nogami, wyciąga papierosa, dziewczyna grzecznie przypala mu go zapalniczką i wtedy widzimy, to żadna jest dziewczyna, na prawej ręce na palcu ma obrączkę ślubną, płaską, krzyk jubilerskiej mody do poświęcania w kościele. To ja już wiem, Antek Boże-coś-Polskę będzie tak spluwał do samej Warszawy, będzie myślał o swojej Joasce, czy jak go teraz nie ma w domu, daje sobie z kim w krok czy nie.

— Mnie tam wszystko jedno. Nawet lepiej tak sobie jechać na łebka niż autobusem, tam nie ma z kim porozmawiać — powiada dziewczyna.

Trochę już ona sapie pod Kazikową ręką rozgarniającą wszystko po drodze do męskiego rajy, widzę, czerwienieje, rozsuwa nogi na masce.

— Każdy kierowca — podchlebia Kazikowi — mądry człowiek. Wszędzie jest, tu i tam jeździ. Mam znajomego, młodszy jest jeszcze ode mnie, jeździ w Westiwie po całej Europie, opowiada różne rzeczy. Taki zna życie.

Kazika ręka coraz wyżej. Dziewczyna mówi wolniej, wypręża się na masce, ściąga nogi, językiem przestaje obracać. Samochód tak samo jedzie wolniej, ona się uśmiecha jak we śnie, ślepia

zamyka, obwija się od naszych oczów w jesionkę, żeby my nie widzieli, co jej tak dobrze smakuje. Dobry ty numer, myślę, Antek Boże-coś-Polskę siedzi zaparty na siedzeniu, przed siebie patrzy, ja czuję gorąc, co idzie od niej z maski z zapachem na pół z benzyną, ściągnąłbym ja ciebie stamtąd, myślę, ale Kazikowi nie będę bruździł, młodszy ode mnie, nieżonaty, mnie by było niedobrze mieć tajemnice z ludźmi, co z nimi jeżdżę w robocie. W ten sam moment Kazik przystaje, drzwi otwiera, na ziemię wyłazi z szoferki, powiada do dziewczyny:

— Chodź, nie widziałas ładunku, pokażę ci, co wieziemy.

Dziewczyna wstaje z maski, potyka się nogą na drążku od biegów, oczy ma zamknięte, zesuwa się Kazikowi po brzuchu na ziemię. Razem idą na tył, włożą na skrzynię, tam pod plandeką leżą nasze ptaszki pobite. Obracam się nie chcąc za siebie, przez szybę w szoferce widzę, oni tam są i gadają. Kazik pokazuje indyki, ona kręci głową, widzę się targują, potem ona się kładzie na plecy. Kazik jej kozaki zdejmuje, ściąga po nogach niebieską szmatkę i się robota zaczyna na plandecę rozścielonej, na indykach. Samochód się trochę z nami chwije, resory mu się ze skrzynią kolebią jak jakiej klaczy zad pod jadącym na oklep.

— Francowaty pomiot — syka na przednim siedzeniu Boże-coś-Polskę. — Kurwia zdzira mężata, żeby ją pies wyjebał!

— Tyś myślał — mówi Marszałek — że ona co innego szuka po drodze?

— Francowaty pomiot — powtarza Antek.

Star się przestaje kolebać i ona wchodzi przez Kazikowe siedzenie do szoferki. Antek raz za razem pluje na wycieraczkę. Za nią wchodzi Kazik, wciąga jej na kolana, na jej nogi, na brzuch, wielkiego indyka.

— Masz i ty przed świętami — mówi. — Sztuka jesteś dobra, umiesz pracować na poczęstunek.

Dziewczyna rękami przytrzymuje indyka, usta ma zamknięte, chrapy jej chodzą, patrzy na ptaka. Chyba największego jej Kazik wybrał, leży indyk ciężko na jej kolanach jak żniwo ciężkiej uczciwej roboty, i ja teraz widzę, dziewczyna jest ładna, wargi ma czerwone, policzki różowe jak pomalowane, cycki jej się ruszają, jakby się zgoniła. I kiedy Kazik zaczyna jechać starem i wsuwa jej rękę na kolana pod tego indyka w piórach, widzę, jak ona po jeździe z nami przychodzi zmachana do domu, tam sprząta i gotuje, drecze po kuchni z gołymi rękami i nogami, z tym jej brzuchem szerokim, że ją czuć dobrze tym wszystkim, co kobieta ma w sobie i na sobie, widzę, jej mąż wodzi za nią oczami, że jest urodna, kołuje przy niej jak na pastwisku ogierek przy klaczy, ciągnie ją na łóżko, ona rozgrzana, mokra od domo-

wej roboty i samochodowej Kazikowej miłości króliczej, zbiera się znowu w sobie i się parzy z nim, jakby nasz Kazik był mężem, a mąż Kazikiem, obydwa tą samą małżeńską sprawą. Przypomina mnie się to i owo jeszcze z dawniejszych lat, myślę sobie, Kazik ma rację, potem i tak robota ostatnią chęć człowiekowi z bebechów wypruje.

Ale jedziem dalej, kilometrów ubywa, myślę znowu, z czym my do Warszawy jedziem. Dojechać tam, wziąć listę, potem podług listy trzeba się kręcić po mieście, indyki nosić, jabłka w skrzynkach, czasem kto da parę złotych, ale przeważnie patrzą jak na służącego; kiedym był mały i ojciec mnie z czym wysyłał, kierowali mnie we dworze na kuchnię, żeby mnie kto z państwa na przedzie nie widział, żebym jakiej zarazy z ojcowej chałupy im nie napuścił albo co nie ukradł. Tak teraz, jak ci otworzą, to popatrują na ciebie, nazwiska pytają, choć nie ty do nich masz potrzebę, a oni korzystają, że jesteś, i jak powiedzą dobre słowo, to im się gęba chytrym uśmiechem wykrzywia, bo nie to dobre słowo chcieli tobie powiedzieć, tylko wypatrzeć, czy im co nie ukradniesz, jak ciebie spuszczą z oka, czy co komu nie powiedz, bo indyki, owoce, nie są uczciwie kupione, tylko wpisane w straty, i chociaż wiedzą, że dostają darmo, pasują się ze sobą, gryzą, trzeba by za doniesienie z pięć złotych na piwo posłańcowi, ale pieniędzy im szkoda, to dopiero myślą, jak nie dadzą, to zaraz im co ukradniesz, złego indyka drugim razem wybierzesz, bo my tu przecież nie pierwszy raz przyjeżdżamy, albo powiesz o nich co komu złego. Takie to zmartwienie ludzi biorących darmo. Nie dziwota, że Kazik na takse ma ochotę, bo mu się uprzykrzyło jeździć za cudzymi grzechami, dojadło mu cudze, lisie i szczurze życie.

Dziewczyna mężata wysiadła z naszego stara, poniosła jak wiano indyka zarobionego pod Kazikiem, dwie setki indyk jak nic. Teraz jadąc opowiadamy sobie to i tamto. Marszałek przypomina, ile jadąc z różnymi szoferami zarobił. Antek milczy, to przypala papierosa, a ręce mu się trzęsą, to patrzy przed siebie na szosę, słucha, co mówimy, tylko co spojrzy na Kazika, wejrzenie mu się twarde robi, nie może ścierpieć, że mu łatwo po drodze po cudzą żonę rękę wyciągnąć. A Kazik się zadowolił, błyszczy złotymi zębami, bo mu się parę swoich skruszyło na kuracji, opowiada, co mu się przydarzało po różnych drogach, ewangelie nam mówi,

— Ty byś za starą suką do Warszawy na piechotę szedł
— powiada Antek i pluje sobie pod nogi. — Boże coś Polskę!
— A co? — mówi mu Kazik. — Mam co z tego całego

interesu? Indyki dyrektora przewozić, złodziejski interes z nim robić? A ty co masz, żeś taki święty?

— Mam — odpowiada Antek. — Spokój mam. Ludziom nie wadzę.

— Nie wadzisz ty, to inni tobie wadzą.

— Nie siedzę po kryminałach. I nie będę siedział.

— Pierdoło! — powiada mu Kazik i mija furmankę. — Kryminał uczy. A ten, co się boi, robi go sobie wszędzie, bo ma głupio pod czapką. A co sobie myślisz? Ja jeszcze tak naszego dyrektora kiedy podjadę, że pójdzie na naukę, skąd mnie wypuścili. Ja już dobrze wiem, co można, drugi raz mnie nie posadzą, a on będzie siedział!

Pod Garwolinem zatrzymuje nas gość z prywatnej inicjatywy, na Pragę mu podrzucić pół metra desek, cztery worki i trumnę. W workach ma orzechy leszczynowe, w trumnie nylonowy worek z wiejską kiszka kaszaną, ze trzydzieści kilo tego, parę domowych salcesonów ma w drugim.

— Na wesele się szykujecie przy święcie? — pyta go Kazik, jak my to na skrzynię załadowali i już jedziem dalej.

— Wesele dobre może być przy pogrzebie — powiada prywaciarz — zależy jak komu na sercu. Jak lekko, to się na pogrzebie uśmieje. Szczególnie jeżeli to nie jego pogrzeb, nawet w tych czasach jest się żywemu z czego ucieszyć.

Gębę ma chytrą, czerwoną, wódkę od niego słychać jak z rury wydechowej za naszym starem dym z benzyny.

— Słyszałem — powiada mu Marszałek — że w waszych stronach stawia się stół z jedzeniem na cmentarzu, żeby się ludziom lepiej nad grobem stało?

— Jedno się mięso marnuje idąc w dół, to drugie się kombinuje, żeby poszło na stół — odpowiada handlarz.

— Macie gotowego nieboszczyka — pyta Kazik — czy tak po drodze patrzycie, komu by trumnę sprzedać?

— Poniekąd — mówi handlarz. — Obracaj, czym popadnie, a człowiek nie przepadnie. Czas zły jest dobry na wszystko, każdy towar znajdzie odbycisko. Ktoś kupi, trumienkę wymaluje, będzie jak nowa, od środka obije papierem, płótnem oklei i gotowa. Wieziecie co do sprzedania?

— Indyki — wyłuszcza Kazik — ale zakupione. Przez takich, co nie lubią płacić.

— Dobry interes — chwali prywaciarz. — Może zrobimy gdzie postój na rozgrzewkę? Znam miejsce dobre, gdzie flaki dają i na wódeczkę nie zdarzyło się dotąd manko.

W drodze ja nie piję — mówi Kazik — ale jak oni chcą, mogą stanąć.

— Ja stawiam — powiada handlarz. — Może się zdarzy, zrobimy interes.

Przystanęli my przy knajpce bocznej, dobry był dojazd, nie ma widoku, wchodzimy do środka, handlarz tu dobrze znajomy pokopuje w szynkwasy, na co wychodzi kobieta czerwona jak on na gębie i obciera ręce w fartuch.

— Pięć flaków — mówi on do niej — do tego po secie od przodu i od tyłu, tak jak paniusia lubi. Moich przyjaciół obsługuje się dobrze — powiada nam. — Indyków dużo macie? Skubane?

— W sukienkach ślubnych jeszcze, dziewice nie ruszane — mówi mu Kazik.

— Wczoraj bite? — dowiadyuje się handlarz fachowo.

— Dziś, z samego rana.

— To ile ich będzie do sprzedania?

— Ja wiem? — powiada Kazik i się patrzy na nas. — Dwa, trzy możemy opchnąć.

— Ładne?

Knajpiara wyklada flaki na stół, stawia przed nami setkowe.

— Z hodowli — odpowiada Marszałek. — Dla takich, co się znają, na gwiazdkę.

— Sami żyją, żyć dają innym — kiwa handlarz głową ze zrozumieniem. — Dużo jest takich, naród nie ginie. Po ile będą? Duże sztuki?

— Sześć, siedem kilo każdy.

— Półtora odejdzie przy czyszczeniu, jak nic. Po ile?

Przepijamy do siebie pod interes, Kazik oranżadą z flaszki flaki słodzi.

— Ja wiem? Wy mówcie — powiada do nas. — Czterdzieści złociszów żywej wagi kilo nie będzie chyba za dużo?

— Czterdzieści? — mówi handlarz, waży słowo, spoziera na knajpiarę, przymruża prawe oko i patrzy się na szynkwasa. — Nie za mało. Średnio. Dam po trzydzieści pięć. Wagę, paniusia, masz? Rozważymy towar na miejscu.

Kazik dojada flaki, bierze mnie na bok.

— To co?

— Ile ich mamy więcej? — pytam.

— Było sześć. Jednego dałem kurewce. Pięć można mu zostawić?

— Puścimy mu cztery, jeden zostanie na wozie, w razie my źle policzyli, dołożyć będzie z czego.

— Niech będzie.

Wracamy do stolika, knajpiara przybywa z nowymi setkowymi i z oranżadą.

— Od firmy z życzeniami wesołych świąt — powiada. — Człowiek musi żyć, jak się już pęta po tym świecie bez niczyjego starania. Może ja jaką ptaszynę zakupię?

Wychodzim do wozu po indyki. Kazik wydaje cztery spod plandeki, niesiem ich, skrzydła im się ciągną po ziemi. Knapciara prowadzi za szynkwasa do kuchni. Tam czarna makutra w brudnym kitlu nie zapiętym z przodu, pod spodem bez koszuli, w staniku i w samych majtkach obciągniętych mocno na bogato wyposażonym tłustym babskim kroku, stoi przy piecu, drewnianą łychą wywraca w kotle bigos do góry nogami jak brudne łachy w pralni, i patrzy spod łba czarnego. Idziem za kuchnię do wagi. Indyków jest dwadzieścia dziewięć kilo z naddatkiem.

— Jeden dla mnie — mówi knajpiara i maca zadki nieboszczykom na wadze.

— Niezgoda w populacji, to baba bez kopulacji — powiada handlarz. — Bierz go, paniusiu, doliczymy się.

Dopiwszy, co jeszcze było, bierzem handlarza z jego indykami na wóz i dalej jedziem przez resztę kraju do stolicy. Szosa na Terespol do przyjaciół w prawo idzie, my zakręt gładko bierzem w lewo, za niedługo czasu podjeżdżamy z prywaciarzem pod bazar. On dokłada w trzy worki po indyku, zawiązuje, spycha na chodnik, orzechy grzechoczą, my mu spychamy trumnę, kaszaną, salcesony, deski, wyciąga portfel i liczy Kazikowi dwa brudasy.

— Dwa czerwienice jeszcze do równego podziału — powiada Kazik.

— Trochę mnie krzywda — udaje handlarz i wyciąga dwie setki — ale przecież nie jeden raz nas krzywdzili. Jak co będziecie przewozić, pytajcie u straganiarzy o Grubego Zenka. Nie będzie mnie, to oni kupią. Trzymać się musimy, jak się co złego w polityce obróci, manną żyć będziemy. Szczęść wam Boże!

— Dobrego fartu w interesach — powiada mu Marszałek i bije w dach jak oficerowi.

— Wszystkiego lepszego w Nowym Roku — mówi handlarz. — Wam i nam wszystkim!

— Jedziemy teraz prosto w serce — powiada Kazik, kiedy my już ruszyli z Targowej. — Dostaniemy listę, porozwozimy według niej te ptaszki pomordowane jak niewiniątka betlejemskie i dla nas fajrant. Zarobek możemy zaraz rozdzielić, każdemu równo, trzy stowy na łebka, na jeden kurs obleci. Dobrze pójdzie, jeszcze po parę złotych dostaniemy z lepszych domach, gdzie chrześcijanie ostatnie nie pobite żyją.

Przejechali my na gazie obok niedźwiedziów, jeszcze się tam

pętały sennie po przyglądzonych skałkach. Ze trzy dzieciaki cukierki im rzucały, taki zwierzęcy żywot, myślę, posłodzony darmowym cukierkiem, na niego i niedźwiedziom trzeba być mocno posłusznym. Jedziem zaraz przez most, ostrożnie, żeby na ludzi nie najechać, tramwaj jak raz nas wymija, jadą tam oni jak w klatce, smutne to, poprzylepiane do okna, jak w jakim kiciu, nie bardzo Bożym Narodzeniem czuć, choć ruch tu większy, każde święto, myślę, rozłazi się w gonitwie, w sprawach, w tramwajach i sklepach, i nie za bardzo jest co na rozweselenie tramwajowego życia. Trochę mi się robi nijako, kiedy tak sobie jedziem w tych światłach, co nas prowadzą, jak ślepych w biały dzień, że niby nasz żywot kolorowy na tych długich ładnych ulicach i szosach, z pieniądzem niby w kieszeni, bo każdy sprzedał nie swojego indyka, w tych sklepach dużych i jasnych, założonych różnymi rzeczami, i ja już widzę tamtą mężatą dziewczynę, jak oszczędziwszy pod Kazikiem na kupieniu indyka, niesie swój pieniądz do ciepłego, wielkiego sklepu, zakupuje sobie kolorowe szmatki, nie za wiele tego być może, mężowi jaką skarpetę, dziecku pod choinkę samojadącą zabawkę, niech i ono zapamięta matczyne Boże Narodzenie. I widzę te wszystkie dziewczyny tutejsze, wystrojone, w cielących, króliczych futerkach, ich matki i ich pierścionki ze świecącymi szkiełkami na palcach pomalowanych, te wargi ich kolorowe i zaklapnięte jedna na drugą, żeby się dobre słowo nie przemyknęło do obcego, i te ich oczy polepione czarnym, niebieskim, zielonym, patrzące na człowieka ostro jak pod światło, że zobaczą ciebie przez portfel twój i przez twoje ubranie, i cały twój żywot zobaczą, i dom twój, gdzie się narodził, tak samo te ich ojce i męże, te ich domy ugrzęźnięte w zimnym brudnym śniegu ich indyczego, cichego handlu bez płacenia ceny, w chytrości ich, w serwitucie i w szarwarku.

I dalej przez most jedziem, przez tunel na światłach pod górkę wjeżdżamy w świat czysty, obmieciony, trawiasty, zieleni tu dużo jest w lecie, tak samo na jesień i w wiosnę, i strojnych ludzi tysiące, jakbym ich pierwsze widział. Szorujem naszym starem i tu się wielki ruch zaczyna. Stoimy pod światłami, dalej ruszamy, znów stoimy, bokiem parujem przez plac w lewo przy pomniku, i to już dalej Marszałkowska. Kazik daje gazu i chyłkiem my, jak złodzieje, wjeżdżamy w Świętokrzyską. Tu już gazujemy mocno, ruch mniejszy, z prawa miga Dom Chłopa, supercham stołeczny, tutejsi go nazywają, i zajeżdżamy pod wielki budynek. Trochę samochodów tu stoi, same osobowe, z kierownicami w garniturach, w białych koszulach i krawatach czytają prasę. Patrzą na nas, my parkujem za nimi, żeby naszej budy za dobrze nie było widać, bort podrapanych, brudnych, i naszej

z daleka rejestracji. Kazik wyłazi z wozu, prostuje trochę nogi, my za nim.

— Dostaniemy listę, jedziemy w kurs. Ty chodź — mówi Kazik do mnie — pójdziemy po nią. Tylko żeby nie za dużo tych domów było do objechania na kolede.

Idziem po schodach do budynku, duży jest hol, z roślinkami, jak w Poznaniu w palmiarni, w dębowych klepkach stoją, jest budka, w budce facet oszklonej siedzi, przed nim centralka telefoniczna, na okienku telefon. Kazik wyciąga kartkę z portfela.

— Chcę zadzwonić pod wewnętrzny — powiada do faceta.
— Trzysta sześćdziesiąt osiem.

— Do kogo?

— Siedzi sam w pokoju, gdzie dzwonimy — mówi Kazik.

— A sprawa nie jest moja, to nie szanownego pana też.

— Muszę wiedzieć, w jakiej sprawie — dopomina się facet.

— Każdy by chciał dzwonić!

— To można się zapytać tego, co tam siedzi. On pewnie czeka tylko, żeby różnym ludziom to i owo opowiadać. Nudzi mu się.

Facet obrażony zlizuje wargi i podejmuje słuchawkę.

— Jak tak tylko pytam — powiada. — Mnie niepotrzebne wiedzieć, żyje się bez tego. Buty — powiada i wygląda do nas z budki — wyczyszczać należy w domu, nie na dywanach takiego urzędu. Pasty wam zabrakowało, czyście naród niezwyčajny, panowie sekretarze od sekretów?

— Jedź pan z tymi numerkami, niech się kto do nas odezwie jak należy z wysokiego urzędu, my tu przyjechali posłuchać mądrego słowa — mówi mu Kazik. — Takiego gadania możemy dostąpić u siebie, u nas się tak samo do słowa każdy rwie.

Facet wykręca numery, w telefonie gra jak na flecie, Kazikowi się ktoś odzywa w same ucho.

— Już żeśmy przyjechali po ten wykaz — powiada Kazik.

— Zaraz do was zejdę — ja słyszę w słuchawce, tamten odpowiada grzecznie. — Poczekajcie minutkę.

Słuchawka trzeszczy, facet odbiera ją zaraz Kazikowi.

— Jeszcze was co porazi z wysokości tutejszej — powiada i kładzie ją na aparat. — Wy tam, w Pipidówce, zawsze tak daleko od bożego słowa? Radio i telewizja nie działają?

— Nie tak dawno i u nas jednego poraziło — odpowiada mu Kazik. — Podobny był do wielmożnego pana, on też pewnie w takiej psiej budzie w stolicy siedzi. Jak dostał w łeb od najgłupszego w mieście, to mu się przywidziało, że go sam Pan Bóg jebnął przenajświętszym kopem w głupi pysk, żeby i on raz zmadrzał.

Facet się poczerwieniał, widzę, chce się do nas rwać, ale mu Kazik drzwi od budki nogą przyparł.

— Nie wyłaż, kutasie, z psiej budy, bo ci przy tym, co zejdziesz, obrobieć ryja za nieuszanowanie dla gości! I się zaraz zamknij, bo przypierdole!

Ten nasz z listą już schodził schodami szerokimi.

— Za miastem, jełopie — dopowiada Kazik facetowi — otwarli stację benzynową, w niej przez cały adwent sprzedają olej do głowy. Wskocz, baranie, jaką okazją, to ci doleją w pustą michę olejową, może ciebie wezmą na kogo ważnego!

— Na dole jest barek — powiada nasz klient, kiedy my do niego podeszli. — Chodźmy na piwko.

— Koka koli to się napiję — mówi Kazik. — Piwa nie.

Na dole siedli my do stolika, dziewczynka z przypiętym do fartuszka znaczkiem „Brygada Pracy Socjalistycznej” przynosi dla nas dwa piwka i koka kolę Kazikowi. Klient rozkłada listę na stoliku, wygładza białymi, czystymi paluszkami.

— Indyki pójdą pod każdy adres po jednym — tłumaczy nam cicho — w trzech tylko zaznaczonych miejscach zostawicie po dwa. Jabłka tam, gdzie macie narysowane krzyżyki. Pokręćcie się trochę po mieście, ale nie ma rady, uważajcie dobrze na oznakowania ulic, bo tu co krok zakaz postoju ustawili, lepiej z nikim nie mieć do czynienia.

Taka to była cała instrukcja. Klient powiedział, że się bardzo spieszy i zapłacił za piwko. Zaraz poszedł do góry schodami, my do wozu.

Ruszyli my w objazd, tylko co Antek i Marszałek przyszli, bo chodzili zobaczyć w najbliższych sklepach. Boże-coś-Polskę miał już paczkę jakąś, szmatki dla Joaśki albo pachnidła warszawskie, Marszałek zakupił flaszkę. Wyjechali my, było po jedenastej. Kręcić się pod sześćdziesiąt numerów w takim mieście, może do wieczora zabawić.

Skoczyli my od razu na Saską Kępę, potem na Mokotów i szusem prosto na Żolibórz, na daleki i bliski. Po niektórych domach ludzie na nas czekali, jakieś służące, starsze, młodsze, zabierały indyka bez gadania, nikt o zapłacie nie mówił, my też nie czekali, że jakieś pieniądze będą. Drzwi nam otwierały tak samo kobiety inne, ubrane dobrze, pomalowane. Jedna na Solcu wyszła nam do drzwi w czerwonym szlafrocжку w kwiatki, krzywo na jeden guzik zapiętym. Jak się przed nami ruszała, to jej brzuch goły było widać, wychodziło na to, że i pod brzuchem nie bardzo, co ma, w cieniu jest schowane, ale się nie przejmowała, że możemy na nią patrzeć. Wzięła indyka w dwa paluszki.

— Może mi go panowie pomogą przywiązać za oknem — powiada — skruszeje mi przez tydzień, sama sobie z tym potworem nie poradzę, jeszcze nie jestem ubrana.

Tośmy go jej powiesili, gdzie chciała. Wyjęła zaraz z kredensu kieliszki kryształowe, butelkę na rozgrzewkę, my żeśmy z Marszałkiem łyknęli czegoś słodkiego, Kazik nie chciał, tylko się patrzył w jej roztwarty szlafrok, na goły brzuch i na te bioderka z dupką waziutką jak u chłopaka, tyle pewnie z niej pożytku dla mężczyzny być może. I jej się to patrzenie Kazi-kowe podobało. Co się ogarnęła zaraz wszystko po staremu na wierzchu dobrze było.

— Co do zapłaty, to nie wiem — powiada niby zmartwiona — mój mąż się chyba rozliczy, nie znam jego spraw, on zama-wiał, nie ja.

— Jego i nasza sprawa — mówi do niej Kazik i uspokaja. — A żaden kłopot, bo myśmy mieli tylko przywieźć.

— To bardzo dobrze — ona się na to cieszy. — Nawet nie wiedziałabym, jak się z wami targować, nie mam pojęcia, ile taki indyk kosztuje. Sto złotych, może więcej?

Wypiwszy wychodzimy z jej mieszkania, a ona za nami wy-głada.

— Przepraszam — powiada — że nic wam nie dałam gorącego do zjedzenia, jesteście z drogi, ale my się wszyscy stołujemy poza domem.

— Dobra jest — mówi Kazik, popatruje jej, gdzie należy, ona to dobrze widzi. — Nie ma o czym mówić. Ja bym tu wytrzymał bez obiadu i bez kolacji.

Ona się śmieje, patrzy się na Kazika, chłop jest z urodą, chęć do kobiet bije mu z pyska i z rozporka, jej, widzę, gorąc się trochę robi, palcami przybiera po guzikach szlafrocza, niby go zapina, ale go nie zapina, nie ogarnia się, na mnie się nie patrzy, jakbym gdzie już na łeb spadł ze schodów, ze śmiechem rusza ramionkami, podskakują jej drobne cycki.

— Może? — powiada. — Może?

Zamyka drzwi, szybko przekręca zamek i my stoimy chwilę na schodach.

— Dałbyś rady obrobić taką? — pyta się Kazik Marszałka. — Dałbyś?

W drugim zaraz domu grubawy facet nam otwiera, w pantoflach i w bluzie, i w spodniach flanelowych niebieskich w paski.

— Z indykiem? — pyta. — Z indykiem? — a widzi, jak go wnosim za skrzydła. — To wspaniale! — mówi. — Wspa-

niale! Mięsko z niego najlepsze, przy indyku wcale się nie chce patrzeć na kielbasę wiejską, żeby była najlepsza, najlepiej uwędzona, żadne inne mięso nie może się z nim równać. Indyk, to arystokrata na stole, sam książę, błękitna krew, obywatela!

Kręci się przed nami, wszystko się w nim trzęsie.

— Żeby była żona, to by nam, obywatela, zrobiła coś na przekąskę — mówi i okiem błysk na jeden pokój — a ja nigdy nie wiem, gdzie ona co trzyma. Prawdę mówiąc, wczoraj przyszedłem do domu troszkę na bańce, daliśmy sobie ze znajomym na odprężenie europejskie małą przedświąteczną zaliczkę. Może papieroska, obywatela? — pyta, truchta w pantoflach po pokoju, po papieroska nie sięga.

Przez drzwi widzę, mieszkanie duże, chyba do pięciu pokoiów drzwi pootwierane, ano, żonka siedzi w jednym, namarszczona, zła, nie wychodzi do nas, nic nie mówi, nasz grubasek w pantoflach chodzi, śmieszek ma mizerny, kiepskawy, chrząka, kaszle, dopytuje po gospodarsku.

— Jak tam u was? Indyki się dobrze tuczą w tym roku? A inne ptactwo? Pomoru kurzego nie było? A w powiecie jak? Spokojnie? Sklepy pewnie lepiej zaopatrzone niż u nas w Warszawie? Byłem kiedyś, w innych stronach niż wasze, i kupiłem dobrą wódkę, tutaj jednego dnia by nie przeleżała. Ekspedientka mówiła, że stała u niej od niepamiętnych czasów, nikt się o nią nawet nie zapytał. Albo ryby giną w naszych rzekach, albo wędkarzy coraz mniej? — pyta urzędowo. — Jak to jest, obywatela, w naszym kraju?

My nic nie mówimy, jakie tu mówienie być może. Trochę my już zmęczeni, jeszcze tyle domów do odwiedzenia, nam nie w smak to wypytywanie, grzeczne i mądre. Wychodzimy, idziemy po schodach, w stara naszego, na rewiry.

Na Bielanach objechaliśmy z piętnaście domów, na wozie skrzynek pełnych ze trzy nam zostało, indyków może z dziesięć, nie tak wiele. Jedziem dalej z towarem, w jednym domu nam nowa przygoda się przydarza.

Dzwonimy, otwieramy, wpuszcza nas starsza kobieta, wchodzimy, korytarz to duży, nie przedpokój, schody na środku w górę idą, w ich połowie wielkie lustro wisi, na dole mały pomnیکzek, jakby my trochę w muzeum, trochę na cmentarzu byli. Patrzymy na siebie z Kazikiem i z Marszałkiem, że to inny dom, nie tak jak te, gdzie my do tych pór byli. Drzwi do jednego pokoju szeroko otworzone, kobieta, co nas wpuściła, ich nie zamyka.

Stoim oba z Marszałkiem, przy nogach w skrzynce jabłka, Kazik indyka trzyma, jak Kacper z Trzech Królów darowiznę Dzieciątku. Z pokoju otwartego słyszymy ładną muzykę, śpiewy,

z Marszałkiem przestawiamy skrzynkę dalej po podłodze, żeby co lepiej widzieć. Patrząc, dziewczyna młoda siedzi z gołymi nogami na bosaka na kolorowym kilimku, w kusej kiece, co dupkę jej tylko przykrywa, z nią chłopak też na bosaka w niebieskich połatanych partkach na piętach siedzi, na kolanach u niego widzę łaty i na tyłku łaty, długie ma włosy, spadają mu na sweterek. On siedzi bokiem do niej. Ona jak Turek, spod sukieneczyny widać, co ma tam z bielizny skąpo pod spodem, jej kroczek maleńki, przykryty majtkami wążusienkami jak wędzidło, okrągły, nie dla chłopaka to w rękę, myślę, dwie takie jedną garścią by przykrył, a dziewczyna wysoka jak brzoźka, nie za gruba, nogi długie, włosy długie jak chłopak, co tam siedzi, i ręce długie, palce długie. Na kilimku magnetofon stoi, dwa głośniki z kablami rozstawione szeroko, kręci się magnetofon i muzyka idzie ze śpiewami. Trochę mi się dziwno ten śpiew słyszy w nieznanym języku, myślę stojąc przy jabłkach, dużo tam kobiet i dziewczyn z mężczyznami śpiewa, ale to nie słychać, by chór, tylko tak każdy sobie podśpiewuje, ładne i tak jest, stoję i tego słucham. Kazik się zapatrzył w dziewczynę, nie poczuł może, jak starsza kobieta wzięła mu z ręki indyka, złą miała minę, może miały być dwa, myślę, w razie czego dołoży się ten zapasowy.

Słuchamy muzyki patrząc do pokoju, chłopak siedzi i słucha, dziewczyna przegarnia włosy po szyi z jednej strony na drugą. Trochę nam dziwno tak stać, ale co tam, muzyka ładna, parka się mnie podoba, w pokoju na podłodze jak dzieci, tylko by podejść i głaskać ich po głowie. Na ten czas prędko się kończy te śpiewanie bez chóru.

— Chryste Panie! — mówi dziewczyna.

Chłopak się do niej nie odzywa, nie patrzy na nikogo jakby słuchał sumy albo wielkich niesporów z procesją i kwiatami, jak dzieci idą i sypią z koszyków przed księdza.

— Chryste! — powiada dziewczyna. — Ale bomba!

— Hair — mówi do niej chłopak. — To właśnie to, prosiaku!

Dziewczyna znowu przegarnia włosy po szyi, jeszcze się raz zaczyna ten śpiew i ta muzyka, teraz mężczyzna sam śpiewa. Dziewczyna zamyka oczy i kiwa się trochę do przodu, mężczyzna śpiewa tak, że i ja to rozumiem, śpiewa z oddali wielkiej, gdzie ciemno jest, i na niej jeszcze wody i mgły ciężkie leżą, i wtedy dziewczyna otwiera na nas oczy i patrzy na stojących w korytarzu jakby nikogo nie było, rękę z paznokciami wbija w chude kolano chłopaka, w jego połatane bez potrzeby portki.

— Chryste! — mówi. — Boże! Nie mogę nadążyć! Jeszcze raz!

Chłopak zatrzymuje magnetofon, szum idzie stamtąd teraz i znowu to samo zaczyna się od początku. Dziewczyna kiwa się dalej, nie przegarnia już włosów, paznokcie teraz wbiła w swoje kolano.

— Rozumiesz? — mówi chłopak do niej. — Rozumiesz, co on śpiewa? Wierzę w Boga i wierzę, że Bóg wierzy w swój krzyż, jak ja!

Dziewczyna na to kiwa głową, patrzy się przed siebie, ja widzę, ona płacze coraz silniej i silniej, i mnie się tak samo robi dziwno, jak ta muzyka dalej idzie. Po mężczyźnie śpiewają dwie dziewczyny, potem ich śpiewa bardzo dużo i ja takiej muzyki w życiu nie słyszałem. I zaraz się wszystko kończy. Dziewczyna obciera oczy, trochę tam jeszcze chlipie. Nie mam za dużo czasu myśleć, wychodzi do nas z indykiem ta starsza kobieta i go daje Kazikowi. Za nią idzie młodsza, ładnie wystrojona, wymalowana, tak one wszystkie tu chodzą, i drze się na nas z progu.

— Powiedźcie temu, kto was przysłał z indykiem, że nikt się tu nie będzie bawił w skubanie drobiu! Co za zwyczaje! — krzyczy, podskakują jej broszki i białe, jak srebrne, koraliki na szyi. — Jeszcze trochę, a zaczną nam przysyłać żywe, może jeszcze pokarm do tuczenia! Proszę tego indyka zabierać i nie pokazywać się na oczy z takim świństwem! Macie szczęście, że nie trafiliście na męża!

Kazik jej chce to i owo powiedzieć, ona mu nie daje.

— Z daleka czy z bliska, proszę sobie to zabierać!

Dziewczyna w pokoju się podnosi, wysadza głowę na korytarz.

— Mamusiu! Znowu awantury! Jesteście wstrętni — drze się ona teraz. — Zwracacie się do ludzi, jak do służby! Kto wam dał takie prawo? Chciecie, to my z Mikołajem oskubiemy wam tego indyka! — powiada i zatrzaskuje drzwi.

Te dwie stoją i się patrzą po sobie, młodsza się ze sobą pasuje.

— Weźcie tego indyka, jak powiedziałam — mówi cicho — i nie pokazujcie się z nieoskubanym. Jabłka możecie zostawić.

Drzwi się za nimi szybko zamykają.

— Mam tego dość, kurwa mać! — powiada na dole Kazik.

— To idźmy, kurwa, co zjeść — wnioskuje Marszałek.

Idziem do wozu, Kazik wali indykiem w bory stara, raz z całej siły, drugi, trzeci, aż się ptakowi pióra na ulicy syją. Cisnął go zaraz na skrzynię, włożył do szoferki. Ja z drugiej strony się pakuję, za mną Marszałek, Boże-coś-Polskę dosiada

na przednie siedzenie i tak odjeżdżamy spod tego dobrego domu coraz dalej. Jak my już stoim pod czerwonymi światłami, Kazik się przypatruje wykazowi.

— Osiem miejsc jeszcze, musimy się obrobić za godzinę, nie będę wozu zdzierał, ślepiów po nocy. Dla mnie też fajrant. Myślałem, kurwa, że ją przyleję indykiem, tyle co się zatrzymałem.

Z boku kierowca czeka jak my na czerwonych światłach, kiwa na Kazika.

— Partyjny jesteś — powiada — legitymację w kieszeni masz. To się swojego koloru boisz? Różnij na czerwone!

— Pierdol się, gnoju! — drze się Kazik.

— Mały ten indyk był, co? — pyta się Boże-coś-Polskę. — Chudy był?

— Strusie tłusciejsze, niech polują w Afryce — mówi Kazik, pluje za szybę i się drze na Antku: — Jebańcu! Z pierza żeś go nie obdarł!

— Boże coś Polskę! Ja!

— A kto, kurwa! Ja!

— Trza było samemu drzyć, a tyś tej dziwce darł!

Objechali my resztę wyznaczonych domów, tam już indyki pobrali od nas bez gadania. Na wozie został się jeden nie wzięty i nasz, jeszcze ze dwadzieścia pustych skrzynek po jabłkach obijało się między bortami. Wracamy od ostatniego klienta prosto nad Wisłę, światła się nam wyjarzyło po drodze, po drugiej stronie rzeki Praga się jaśni, trochę my już zmęczeniu, głodni, te flaki od handlarza tylko my zjedli, wypadało co przegryźć na drogę. Dojeżdżamy do mostu przy ruchomych schodach, wjeżdżamy z lewa na niego, dojechalimy do końca, Kazik przepuszcza inne samochody, przy krawężniku posuwa, wysmukujem się w prawo do Wisły, już jedziem podług niej szosą. Po prawej krzaki, drzewa, po lewej łąka piachu świeci pusta, może jedziem na skróty, myślę, Kazik zna drogę lepiej. On znów przyhamowuje, zjeżdża szusem w krzaki, tam stajemy. Wyłazi z szoferki Kazik się odlać, my także samo sikawki do pożaru szykujem, lżej się nam robi, trochę prostujem nogi, cicho tu jest, szum miejski przez Wisłę idzie do nas, z prawa od Pragi głośniejszy, odpoczywamy trochę, patrzymy na tyle światła.

— To my już na dobre wolni — powiada Marszałek.

— Coś by się zdało na żołąd wrzucić — napomina się Boże-coś-Polskę. — Człowiek do domu nie dociągnie, z sił po drodze zleci.

Tak stoim radząc, ciemno się robi po krzakach, od wody zimowy przewiew, mnie zimno zaczyna telepać.

— O żarcu można pomyśleć — powiada Kazik. — Jeszcze nam czas jechać.

Z tymi słowami idzie na tył stara, haki wybija z łańcuchami, spuszcza tylną bortę, na wóz włązi, zrzuca jedną po drugiej puste skrzynki po jabłkach. Jak już wszystkie wywalił, butem spycha oba indyki, ptaki leżą na deszczułkach jak zmory. Kazik ściąga ławkę dla łebków i zeskakuje na dół. Boże-coś-Polskę rozporek zapina, podejmuje jednego indyka.

— Sie nie godzi tak ich tutaj zostawiać — powiada. — Zarażone są?

— Porozbijaj skrzynki! — rozkazuje mu Kazik.

Sam wyciąga z szoferki brezentowe wiaderko, daje go Marszałkowi.

— Idź po wodę do rzeki, przynieś pełno, będziemy gotować.

Podnosi maskę stara, zemści, ściąga z chłodnicy pas klinowy.

— Do czego to wszystko będzie? — pytam go ja.

— Coś taki prokurator? Będziesz darł pióra z indyka. Nie chcą opierzonego, trza im zawieźć, jakiego chcą.

— Boże coś Polskę! To już się świat do góry nogami przewraca, żeby my pióra darli, jak baby jakie! Nie chcą, to nie!

— Świat, co o nim mówisz, leży dupą do góry. Ty także samo leżysz i cię każdy pierdoli, jak chce. Porozbijaj skrzynki!

Marszałek nie idzie po wodę, stoi z wiaderkiem.

— Pierdol sie ode mnie. Żadnych takich rzeczy nie będę robił, niech wpięprzają z piórami!

Kazik się patrzy na niego.

— Jak mi dali za garnitury cztery lata, tom się mocno dziwił, że dużo, adwokat na to powiada, mogłeś pan mieć więcej, te cztery latka, to tyle, co na ryzyko zawodowe. Chciałeś ty jechać do Warszawy, to i dla ciebie ryzyko jest. Dyrektora nie ściągniem tutaj swoim znajomkom, co go może nawet nie znają i by go trzymali tak samo w przedpokojach, żeby indyka obdarł. Leć po wodę, referat wyklepiesz po robocie!

Widzę, Marszałek idzie przez krzaki, trochę przy szosie czeka dać samochodom przejechać, przez szosę z wiaderkiem rwie, za pięć minut przynosi pełno, małą dziurką w brezencie woda mu sika do buta.

— Jakby miał kija jakiego ze szpagatem, to by ryb może nałapał, woda wielka.

— Karpia królewskiego — oddaje mu Kazik. — Tam, jełopie, gówna z całej stolicy do naszego Bałtyku płyną.

Odkręca chłodnicę, bierze wodę i ją leje z wiadra, aż się przelewa na masce, Boże-coś-Polskę rozdziera skrzynki, przydep-tuje nogą, gwoździe piszczą w drewnie, za trochę deszczulek

leży stos. Kazik zapuszcza stara na jałowym biegu, to pogazuje mocniej, to mniej, parę minut tego, widzę, z chłodnicy woda kurzy, ukrop się gotuje.

— Żebyś, kurwa, panewek nie wytopił, by cię kosztował ten indyk, na dupie by my wracali! — mówi mu Marszałek.

Kazik stawia wiaderko pod zawór, odkręca od spodu chłodnicy, wrzątek się zlewa do wiaderka.

— Przytrzymaj go za łeb, tego indyka, trza go sparzyć, pióra mu się lekko wyciągnie — powiada do mnie.

Trzymam, Kazik leje na niego ukrop, woda obcieka, zaraz mam w bucie ciepło, dziura w przyszwie jest.

— Drzyj! — mówi Kazik do Antka. — Szybko, żeby nie przemarznął. Ty — powiada do Marszałka — idź, przynieś drugie wiadro.

— Dwóch im indyków nie dasz! Nasz jest jeden!

— Pierdoło! Tak samo go obedrzemy. Popieczemy go na ogniu i wpieprzymy. Raz my krajowego indyka eksportowego nie spróbujemy?

Boże-coś-Polskę siada na końcu ławki, wydiera indykowi pióra z dupy. Marszałek przychodzi z wiadrem wody, Kazik ją grzeje migiem, teraz we czterech drzemy oba indyki. Mięsa na nich dużo, łydki, uda grube, na skrzydełkach jest pojeść, pierś niemała. Za trochę jeden jest gotowy, Kazik go nożem nadkrawuje na brzuchu, flaki wyciąga, sól ma, to go sypie po wierzchu i ze środka. Boże-coś-Polskę flaki na drogę wynosi, Marszałek doczyszczka drugiego, ja wyłamuję z krzaków gałęzie, różno z nich robię.

Ciemni się tymczasem na dobre, przy nas się lampy stara na postoju jarzą, trochę jasności jest. Różno gotowe wbijam w ziemię, kładziem pod niego deszczułki ze skrzynek, Kazik benzyną z kanistra podlewa drzewo, ognisko się pali przepisowo. My siedzim na ławce, patrzym w ogień, równo się pali. Za rzeką widać miasto. Szumu, zgrzytania nie ubywa, idzie to wszystko wodą do nas, na drugiej stronie widzimy na szosach samochody, reflektory podjaśniają budynki, kolorowe miasto jak na filmie. Od ognia ciepło idzie, suszę ja buta, bo się mnie zimno w nim robi, Marszałek donosi z szoferki kupione pół litra razowy, korek maca.

— Bez zagrychy nie picie — mówi Kazik, ogień poprawia pod różnem. — Trzeba poczekać.

Indyk oparował z wody, gorąc go od deszczułek bierze, pod białą skórą smalec mu się gotuje. Marszałek gałązką grzebie w ogniu. Mnie się robi ciepło w bucie, myślę, co by tu jeszcze do domu trzeba było, święta nie gorsze mają być, jak zeszłego

roku, nie widzę na wszystko sposobu. Trzy setki z podziału mam w kieszeni, kiełbasy jakiej, szynki trzeba, na babskie pieczenie Bronce, dzieciom parę złotych na świętego Szczepana, kołędnikom, jak w okno zapukają. Grosz leci szybciej ode mnie, jak do mnie przylatuje. Siedzę, myślę sobie, w tym mieście ludzie niezgorzej żyją, nie widziałem po tych domach takiego, co by się dla grosza bardziej nas upierdolił, nawet te dzieci inne, słuchające muzyki, ubrane byle jak, ja wiem, ile to kosztuje, jakbym kupował Tadekowi i Małgośce.

Zaraz się Marszałkowi partyzantka przypomina, przebył w lesie pół roku, front przeszedł, Niemcy się dalej przenieśli. Ja słucham, także samo w lesiem był, rok więcej od niego, młodym chłopakiem.

— Raz my chyłkiem wyskoczyli na wieś — powiada — chociaż nas trochę Niemcy pilnowali przy gajówce, na Janów, Zdziary się wieś nazywała. Jeść się na czujce chce, trzeba co kupić, jakiej mąki, chleba, omasty jakiej. Dostali my we wsi, co potrzeba, jest nawet tego co nieść. We trzech wychodzimy za wieś, po zastodolu niesiemy worki, jak raz patrzę, przy płocie, przywiązany za nogę, młody gęsiorka nad miską popatruje wesoło. Ja wór gęsiorkowi na łeb, nożem ciach po postronku, ku lasowi idziem, wielkie rycerze. Osiem nas chłopą siedziało na czujce, myślę, po ósemce gęsiora na łeb. Dochodzimy do swoich, a tu jak raz oficerek się przypętał ćwierćsztabowy. Zobaczył nas. Przepatruje ciekawie jeden worek, drugi, kasza mu śmierdzi, słoninę wachnął, nie świeża była, prosto z ropy, z beczki. Maca mój worek, wyciąga mnie gęsiorka. Kradziony, powiada. Gdzie tam, mówię, płaciłem. Zrabowałeś, swołocz! drze się on teraz na mnie. To o to my tu, powiada, w lesie jak bydlę siedzimy, żebyś ty chodził gęsi po wsiach rabować? Swołocz, mówi oficerek i maca gęsiorka przez rękawiczkę z oczami zamkniętymi jak jaką kurwę. I przytyka palcem do dacha. Trzy dni warta na przedniej szpicy, rozkaz wydaje, trzy noce postoić pod rząd. Pomacał jeszcze raz gęsiorka, odetnijcie, mówi, łeb, zakopcie gdzie wnętrzości, żeby w lesie zarazy nie było między zwierzętami, nie wiadomo, skąd ten gęsiorka. Oskubać, powiada, z piórek, podpiec na ogniu, nie spalić!

Gęsiorkowi łeb ukreśliłem, oskubałem, środek żem obczyścił, piekę na ogniu. W dwie godziny ptaszek był gotów do raportu. Nogi mu oficerek związał sznurkiem, na kij w worku zatknął, kij na plecy i w las. A pilnujcie się dobrze, powiada, coś tu Niemcy się przy nas ostatnio za mocno kręcą! Myślę sobie, ja takich znam. Ty i po wszystkim, jak z lasu na ludzki żywot

wyjdziemy, gęsi będziesz po wsiach rekwirował, nie jednym, to innym sposobem. A innym jeszcze razem...

— Nie pierdol godzinami — powiada Kazik. — Indyk nasz chyba doszedł, pieczone słychać.

— Co z drugim? — pyta się Boże-coś-Polskę. — Może by go to samo przygrzać? Będą go chcieli brać?

— Trzeba zawieźć, skąd go wyrzucili. Sprawa jest z dyrektorem, przyjechali my jego interesów pilnować. Nie dowieziemy, ważną reklamację będzie miał, wkurwi się na nas.

Zdejmuję pieczonego indyka z ognia, kruszy się nam w rękach, skóra się drze przy nogach na brzuchu, Kazik zesuwa go z kija na ławkę, ciacha nożem, żelazo indykowi zgryzta w kościach. Marszałek wyciąga flaszkę spod ławy, w kroku jej dłubie. Deszczulek jest jeszcze trocha, Boże-coś-Polskę rzuca na ogień, żeby nie zaraz było zimno. Próbuję indyka, ciągnięciem z flaszki, ja, po kolei Kazik, Boże-coś-Polskę, Marszałek. Idzie nam, trochę my na głodnego ostatnio już czekali, smak indyka dobry, tyle za delikatne to mięso dla mężczyzny, pojadamy, przepijamy do siebie, Kazik po trochu przytyka się do szyjki, robi się dobrze na żołądku, zimno przechodzi. Ogień się trochę pali, trochę się przepala, miasto nam ładnie daleko gra niczym wielka ulewa z grzmotami od samochodów na mostach, od pociągów, błyski od tramwajów idą. Jak my już trochę pojedli, patrzym w dogasające deszczułki. Spać się mnie zachciewa, za wiele nie mówię, podrzemuję nie wiedzieć, kiedy.

Śni mnie się, idę sobie polami, słońce przyświeca, pola takie, nie widać początku i koniec nie wiedzieć, gdzie. A zagony posiane indykami, zapach od nich idzie, pieczone są. Robotników na polu dużo, jedne podorywują zagony, drugie grabkami pierze grabią, trzecie po miedzach węzami gumowymi ciągną wodę z hydrantów, ptactwo podlewają, jeszcze inne skubią pióra na popieczonych. Kobiety podług bruzd na kolanach chodzą, jedna w jedną czarne, chwasty pielą, kiecki króciusieńkie im się odwijają, nogi całe im widać, cycki się kolebią dostatnie, między kobietami moja Bronka piele.

Idę, niewiele myśląc jednego indyka zdejmuję, za siebie, za pas od portek łeb mu wtykam, co będzie, będzie, sobie przetłumaczam, jeść w chałupie czy na polu potrzeba.

Tu, jak się kończy stajanie, dyrektor nasz czerwonym wartburgiem jedzie, w notesie plony pisze. Przy dyrektorskim wozie drugi jedzie, czarny, nikogo w nim nie widzę, i ja wiem, wóz jest najwyższego dozoru. A dyrektor dla siebie nic nie bierze, porządny jest, uczciwy, bo się boi, nawet ten wartburg jego bagażnika nie posiada. Zrównują się ze mną, a ludzie pracują,

Bronka wyłupiona zadkiem widzę najładniejsza, mam chęć ułożyć się z nią na zagonie. Dyrektor tak samo na Bronkę patrzy myśląc, ze swojego wozu wysiada, do czarnego idzie, maskę mu z pokłonami podnosi, pod maską motor pieczonym mięsem obłożony, dyrektor ręce pod mięso wsadza, majstruje, maskę zamyka, a czarny samochód do przodu jedzie i się chowa w dolince.

Indyka sobie przydzieliłeś, powiada dyrektor i do Bronki posuwa. Ta się na zagonie obraca, na plecy się przed nim kładzie, mnie się w głowie kręci, dyrektora od niej pcham, a on powiada, strażniki, brać go, on mnie na służbie zawadza, dobro ludowe kradnie. Słyszę zaraz strażniki na koniach jadą. Konie czarne, w czarnych glancowanych pasach ludzie na nich, wiem, moja się krzywdą stanie, wniosek jaki, zażalenie dozorowi złożyć myślę, ale bez uwagi się ruszył, koń mnie kopytem sięgnął, a Bronka widzę pod dyrektorem leży. Żle, sobie myślę, oczy otwieram.

Ognisko się dopała, samochód jarzy na postoju, zimno jest, Boże-coś-Polskę łokciem mnie w żebro łupie, Marszałek, widzę, pustą flaszkę pod ławkę wkopuje, coś się mnie to nie podoba. Głowę podnoszę, przed nami dwóch milicjantów, z Kazikiem rozmawiają, przy nich duży wilczur jak człowiek spaceruje.

— Jak słowo daję, panie władzo — powiada Kazik. — Musiałem zjechać, wóz mi się zagrzał, na drodze źle naprawiać, nogi wysadzać, jeszcze kto najedzie. Ze światłami tak samo nie umiałem poradzić!

— Tu jest teren rekreacyjny — mówi władza — a wy starem żeście wjechali jak na jaki parking.

— Bom musiał — tłumaczy Kazik. — Nie wiedziałem, że tu nie można.

— Widzieli żeście jaki znak drogowy, że tu wolno zjechać? Garaż żeście sobie znaleźli? Cała Praga za wami parking by sobie zrobiła, dość mamy kłopotu z różnymi ważnymi figurami! Tu się w lecie ludzie przychodzą kąpać! Będzie was kosztować kolegium. Dowód rejestracyjny dajcie.

Kazik mu daje papiery, drugi milicjant podchodzi do ławki. Kości z indyka się poniewierają przy naszych nogach, na gazecie leży oskubany nieboszczyk, co go mamy dostawić, deszczutek parę ostatnich gaśnie na popielisku.

— Ognisko sobie zrobili — powiada jeden. — Harcerze. Z pieczeniem mięsa.

— I z alkoholem — zapodaje drugi. — Jeszcze wam tylko dziwki brakowało. Nie trzeba się było przejechać po mieście? Są tam nie najgorszych żony na chętnego z forszą.

— Boże coś Polskę! — bije się w piersi Antek. — Żeby co złapać na koniec?

— Piknik — powiada pierwszy milicjant. — Czysty piknik. I to z szykanami, jak jakie waśniaki z fordem!

— Ognisko żeśmy rozpalili, bo się robiło ciemno, światło nam wysiadło.

— Co za odmienie! — dziwi się milicjant. — Skąd wy się tu wzięli? Na palenie ogniska, na flaszkę wódki taki szmat drogi jechać? Coście przypiekali? Sarnę? Zająca?

— Kłusownicy! — podpowiada drugi. — Jeżdżą takie gyzakiem po lesie, jak nie utrafi w zwierzynę, to na drogę wjedzie i czyjś wóz rozpieprzy! Gdzie żeście tego zająca ubili?

— Ten tu nie był zając — powiada Marszałek. — Indyk stuprocentowy. Kupili my na bazarze, zjeść w drodze potrzeba.

— A ten nektar wysokocukrowy? Ile miał procent? Dziewięćdziesiąt pięć? — pyta pierwszy, a na flaszcze kartka z kłosem jest.

— Boże coś Polskę! Ledwie co czterdzieści dociągał, nawet sobie myślałem, czy ją kto z gorzelni nie pochrzczył, słabizna taka!

— Chrzczą wszystko, nasze też — powiada drugi. — A ten tu — pokazuje na Kazika — dużo wypił?

— On nie, głowa mu się zawraca, dostał kołkiem na zabawie, to mu do tych pór męski sport nie podchodzi. Baby mu tak samo nie smakują.

— To jak? — zapytuje pierwszy. — Na ile mam tego zająca wycenić?

— Jaki zając? — powiada Kazik z daleka, żeby go nie było słychać rozpitą czterdziestką. — Rzetelny indyk, jak słowo najświętsze, pierze z flakami w rowie leży, bośmy nie chcieli królowej Wisły zanieczyszczać, można sprawdzić, indyk to był!

— Taki, jak ten na gazecie?

— Ten sam, tylko innego ojca.

— To po co żeście przyjeżdżili do Warszawy?

— Święteczny owoc dla ludności my wozili.

— Karta drogowa jest?

— Co nie ma być? — powiada Kazik, patrzy im prosto w oczy, jakby czekał do komunii przed balaskami. — Zwyczajny my lud pracujący.

Milicjant pokopuje to flaszkę, to kości, z tyłu na wóz zagląda, Kazikowi każe świecić, mieniać światła, rękę przez szybę wsadza do szoferki.

— Luz w kierownicy jest.

— Rozchwierutała się po drodze, wóz po niedzieli idzie na przegląd, nie będę nim jeździł, tyle co go doprowadzę.

Wilczur się czołga pod ławkę ze spuszczonego ogonem, moje

nogawki obwachuje, kość niucha, ale nie bierze jej, nie łupie. Pod łapami ją trzyma, patrzy się na swoich panów, nam się przygląda.

— No, co? — powiada milicjant. — Trochę się tego nazbierało jak na jedną krajoznawczą wycieczkę. Parkowanie w nie-dozwolonym miejscu, zanieczyszczenie miejskiej rekreacji, ognisko w środku miasta, luz w kierownicy, ubity zając. Niedobrze jest.

— To nie był zając — mówi jemu Antek. — Czystej rasy indyk! Księżę między ptakami!

— Zając jak byk — powiada milicjant. — Pięćdziesiąt złotych jak raz.

— Winien, to winien — wzdycha Kazik. — Płacę bez sprzeciwu — powiada i wyciąga pięć dych.

— Eeee! — mówi milicjant. — Pięćdziesiąt? To w szczególności, za każde wykroczenie! Dwieście pięćdziesiąt do kupy! Większych mandatów nie mam, szkoda, z miejsca was wyceniłem na więcej.

Kazik bez gadania dodaje mu dwie stowy.

— Dobrze się składa — powiada drugi milicjant. — Bo ja to samo mam mandaty. Na walkę z alkoholizmem. Tu na tej plaży napoje alkoholowe wzbronione, przy wejściu napis stoi, dzieci tu są w lecie. I ja tak samo nie mam większych jak za dwie i pół setki, ale kolegium w razie zażalenia podbije cenę. Placicie teraz, czy na kredyt, przez ORS?

— Boże coś Polskę! Taki szmat drogi wracać się do kasy?

— No, ja myślałem, że lubicie stolicę — powiada drugi. — Zupełnie ładne miasto. Ja tu żyję dwadzieścia lat i z każdym dniem stolica nam bardziej pięknieje. Tylko parkingów w niej mało budują.

— Ja cztery lata tu mieszkałem — zachwala Kazik.

— Gdzie? — interesują się oba.

— A, dalej stąd, z dobrym wjazdem, złym wyjazdem.

— I co? Wynieśli żeście się? Mieszkania żeście nie mieli?

— Mieszkać miałem gdzie — odpowiada Kazik — i umowę mogłem odnowić, jak się skończyła, tylko jakoś na dłużej nie pasowało, panie plutonowy. Różnie człowiekowi bywa.

— Fakt. Samochód macie już sprawny?

— Trochę się go podszykowało, możemy jechać.

— To jedźcie. Za pół godziny będziemy wracać, jak was złapiemy na postoju, będzie kolegium za opór władzy.

— Można spokojnie inną trasą wracać, nie będziemy zimować — mówi Kazik. — Migiem jedziemy.

Podwieźliśmy indyka do tych delikatesów muzycznych, wzięli go bez sprzeciwu. Potem na gaz i wyrrywamy z miasta. Jedziemy

tak coraz dalej, cały ten wielki ogień za nami jest, wielka stołeczna jasność się ciemni.

— Zarobili my do tyłu pięć stów — powiada Marszałek.

— Katolik nie jesteś, czy jak? — odpowiada Kazik. — Stary mandaty popłaci! Co my? Za swoim interesem żeśmy tu jeździli?

Prawdy nie uchronasz przed nikim, myślę. Kręci się mnie w głowie od tego dnia, przechylam się w tył, głowę opieram, czuję, Kazik do dechy ciśnie. Jedziem coraz szybciej, jak by my z jakiej góry wielkiej w dół wielki zjeżdżali. Droga bo niby idzie jak na poziomnicy równo, a mnie nie za bardzo wiadomo, w dół my teraz jedziem, do góry? Zdrzemnę się, myślę. Grunt, my do przodu jedziem.

PAN WACŁAW

Temu uczonemu wielkiemu dosunąłem dobrze, ale mi się noga tym razem osmyknęła. Miał przy sobie trzech kumpli, zaraz zrobili krzyk, że z darma racji żem bił, nie było czasu dać dyla. Milicjanta zawezwali, żeby pozapisywał moje dane. Suma sumarum draka była i mnie się zaczęła kroić sprawa w oczyszczalni. Dobrze, że milicjant spisał przy mnie tak samo poszkodowanego, bo się mogłem z pamięci na jego adresie oprzeć. To ja zaraz w skok do Pana Wacława po radę i wcześniejszym świtanie wystartowaliśmy obaj realizować linię obrony.

Poszliśmy do tego, co żem mu przyłał. Z minutę staliśmy pod drzwiami, ale było nie było: bez ataku zdechł pies. Pan Wacław zadzwonił, mnie pchnął na przód, że na widoku byłem pierwszy. Uczony wielki się zadziwił, jak otworzył drzwi, i nie bardzo miał chęć dać nam na wjazd do środka zielone światło. Tyle Pan Wacław ubrany był jak od dobrego krawcy dla dyplomacji, to się mocniej zadziwił i nas dopuścił przed naukowe oblicze. Dalej od nas, w drzwiach kuchni, stanęła jego żona z brunetek eleganckich, uczona może jak on; od pomieszczeń mieszkalnych szedł jej delikatny swąd babski perfumeryjny.

— Słucham pana — mówi do Pana Wacława sepleniąc wielki uczony, a cały czas na mnie patrzy.

— Przyprowadziłem pańskiego winowajcę — powiada Pan Wacław. — Chce pana przeprosić.

Poszkodowany nie spuszczał ze mnie oka. Baniaka ode mnie miał przy okularze i go powoli krew zalewać zaczęła.

— I pan go tu przyprowadził? — pyta.

— Wziąłem go ze sobą, bo choć to narwany człowiek, nie jest zupełnie bezwartościowy. Szkoda by go było wylewać w

charakterze dziecka z kąpielą — mówi Pan Wacław i jeszcze mnie bardziej wystawia na nieprzychylny przeciąg. — Przeproś pana! Krzywdę mu wielką zrobiłeś!

Ja, czego nie? Funduję uczonemu piączę wyciągniętą.

— Przepraszam — mówię zgodnie z instrukcją. — Niech mi pan nie pamięta. Żywy człowiek może się zapomnieć.

Wielki uczony dalej na mnie patrzy, zaraz potem na Pana Wacława.

— Wypraszam sobie — ogłasza przez użębienie.

— Ja też chcę pana za niego przeprosić — mówi Pan Wacław.

— Nie znam pana — powiada uczony i krew go silniej zalewa. — Pan jest adwokatem?

— Nie — mówi Pan Wacław. — Ja się nim tylko opiekuję, prowadzę go do pewnego stopnia. W rzeczywistości mogę mu honorowo stanąć przed sądem jako adwokat, bowiem prawo znam z różnych okazji, nie osobistych, co prawda, ale w każdym razie znam.

— Niech pan wobec tego przyjmie do wiadomości — powiada uczony — że ja się na prawie też znam. Pana podopieczny pobił mnie wczoraj bez powodu. Nie zna mnie i prawdopodobnie nigdy mnie w życiu nie widział. Prawo za taką napaść przewiduje komplikacje życiowe dla sprawcy, z więzieniem włącznie. A przeprosin nie przyjmuję, bo może się zdarzyć...

— Wiem — mówi Pan Wacław.

— Niech mi pan łaskawie nie przerywa — wykrzywia się uczony i patrzy w bok.

Tam, teraz już bliżej nas, w drzwiach do pokoju, stoi ta jego bruneta do prywatnego użytku i ona zza uczonego patrzy na Pana Wacława, mnie się też przygląda, jak tak sobie stoję jak na weselu z wyciągniętą piączę i się nie włączam do dyskusji.

— Rozumiem dobrze — kłania się Pan Wacław i ciekawie patrzy na jego łózkową lalę. — Przyprowadziłem sprawcę dla pana osobistej satysfakcji.

— Prosiłem, żeby mi pan nie przerywał — upomina uczony. — Może się zdarzyć, że ktoś inny podniesie jutro rękę na mnie, albo pobije moją żonę. Tak jak ten pański podopieczny. I to zupełnie bez powodu, z czystej fantazji albo z poczucia bezkarności. Chcę temu przeciwdziałać i dlatego nie urządzają mnie przeprosiny. A teraz proszę, żeby panowie opuścili to mieszkanie.

— To znaczy, że pan nie chce przeprosin? — pyta Pan Wacław.

— Zdecydowałem się odwołać w tej sprawie do sądu. W tej sytuacji przeprosiny nie mają znaczenia. Odrzucam je.

— Odrzuca pan naszą dobrą wolę i chęć pojednania? — zadziwia się spokojnie Pan Waław.

— Odrzucam wszystko, razem z pana niestosownym pośrednictwem.

— Koniecznie pan chce, żeby on dostał ten rok?

— Miły panie — odpowiada uczony wielki. — Ja nie wiem, czy pański podopieczny zostanie skazany. Ja chcę tylko uzyskać zadośćuczynienie w sądzie.

— Trudno — mówi do mnie Pan Waław i na schody mnie wypycha. — Będziemy mieć wobec tego sprawę w sądzie.

Zamykamy uczonemu drzwi, idziemy schodami w dół. Pan Waław spokojny, ja nie: ze złości rękę bym sobie chciał swoją opłuć, że ją nadaremnie do uczonego wyciągałem, nie lubię szop. Albo bym jeszcze raz mu przyłożył, żeby miał bardziej za co do oczyszczalni iść. Pan Waław na ulicy kamela zapala, przygląda mi się spod pilśniowego dachu.

— Szkoda mi, żebyś siedział — mówi — dlatego się z tobą po ludziach szwendam. A możesz siedzieć, skoro on ma świadków.

— Trzech.

— Mógłbym ich spróbować nadgryźć trochę — powiada Pan Waław. — Ale musiałbym mieć dobre informacje, ich dane personalne.

— Ja jednego znam — mówię. — W sklepie go widuję.

— Kto to?

— Taki sam, jak ten. Z urzędników naukowych.

— To znaczy, też naukowiec?

— W uniwersytecie działa, myszami się zajmuje, zastrzyki im daje. W sklepie ze znajomym rozmawiał.

— Myszami się zajmuje, mówisz? — pyta Pan Waław.

— A co? Naród bokami robi chcąc się czego dobrego dobić, a oni się z myszami pieprzą. Nie ma im kto zabronić — powiadam. — Żeby choć prawnik z niego był, jaki mecenas w uniwersytecie.

— To byś leżał jak byk, nikt by ci nie poradził na takiego uniwersyteckiego prawnika. Bogu dziękuj, że innych świadków nie będzie miał. Z takimi można pogadać.

— Da pan rady co zrobić? — pytam. — Nie, to przyjdzie mi siedzieć.

— Szkoda, żebyś siedział — mówi Pan Waław. — Robotę bym ci dał. Trzeba będzie ciebie wyciągnąć. Żebyś tylko wiedział na drugi raz. Chcesz bić, to najpierw patrz, czy ci się to opłaci. Patrz, ilu będziesz miał przeciw sobie świadków w oczyszczalni.

— To będę patrzył — powiadam.

I do przodu idziemy. Pan Waław, tak jak poszkodowany

i jeden świadek, co o nim już wiem, jest po naukach w uniwersytecie, ale do nas przyszedł, a skąd przybył, nie wiadomo dobrze, choć sam powiada, że granicą był. Życie sobie dalej inteligentnie prowadzi, poczytuje nocami dużo, amator z niego na spacer w dzień. Jak idzie, powiada, to nie idzie, a myśli. To sobie teraz dla jego zadowolenia spacerkiem idziemy przez naszą miejską wieś. Pan Wacław elegancki, czarna jesionka na nim, czarny lakier na nodze, parasolka pod pachą na traf deszczowy wystaje, kapelusik z pilśni produkowany, rękawice za granicą z renifera wykrojone. Idzie powoli, delikatnie, sprawę swoją szykuje, a ja nie mówię nic, tylko sobie myślę, że mi to wczorajsze bicie jak syf potrzebne było, na cyku lekko byłam. Człowiek do śmierci swojej podejście będzie miał łagodniejsze, jak łyknie i przekąsi.

— Jak ci w robocie idzie? — pyta mnie Pan Wacław.

— Nie najlepiej. Może być. Jak co podejdzie.

— Podchodzi ci ostatnio jako tako?

— Znam takich, co im gorzej, co będę pluł. Gruby miał smród.

— O co?

— Zielonych puścił z wrodzonym felerem, faktor go do kartoteki podał.

— Świadców na okoliczność mają?

— Nie.

— Strefniony wobec tego tylko jest.

— Będzie musiał czym innym dorabiać na wikt, z pół roku będą go macać.

— To niech zajdzie do mnie któregoś dnia, mogę mu coś dać w inny rejon.

— Powiem jemu — mówię.

Idziemy sobie dalej. Pan Wacław macha parasolką, ludzie na niego patrzą z szacunkiem. Mężczyźni schodzą z drogi, kobiety mu się przyglądają z lekkim świerzbem interesownym od pierwszego wejrzenia. Dojrzałość od niego idzie. Nie młodzik to do wypicia w bramie, do poruchania w parku. Myślenie po nim widać stateczne i terazniejsze, blit czuć, nie w kieszeni to w możliwościach szybkich, podobnie radę dobrą i dalekobieżny kurs w interesie. I mnie, jak tak sobie z nim idę przez miasto, w życiu lżej jest: opiekę dobrą mam, dziecko by zaraz zwąchało, że opiekuna lepszego mieć na tym świecie nie potrzeba.

— Może by ci wystarczyło tego spaceru ze mną — mówi Pan Wacław do mnie z nagłą. — Czasu masz mało. Trochę się porozglądaj. Skoro jednego z tych świadków znasz, to się dowiedz o drugiego i trzeciego. I jak już będziesz wiedział co

nieco, to ja się sprawą zajmę. Chce ciebie prywatnie skarżyć, to trzeba mu zrobić tak, żeby on się przy tym całkiem prywatnie rozerwał.

— To ja się pójde czego dowiedzieć.

— Idź. Tylko ich nie wachaj z bliska, żeby się nie dowiedzieli, że ktoś ich maca. Spokojnie, z męskim umiarem, dyskretnie. Będiesz miał dane, to pójdziemy do nich z kulturalną wizytą, sprawę omówimy krótko i elegancko. Tylko trzeba, żebyś coś o nich wiedział.

— Będzie, co potrzeba.

— No, to idź popracować — mówi.

Podał mi rękę w reniferze, żebym ją sobie dla otuchy potrzywał, i zaraz sobie poszedł, a ja ruszyłem w kurs, trochę wywiadu w sprawie uczonych porobić.

Było rano, to szybko dobry sznurek miałem w ręce. Holcgaz ma kumpla przy sobie, kumpel ma szwagra u blacharza samochodowego, a żona tego szwagra, jego siostra, ma też siostrę, co się uczy w uniwersytecie i u nich jest na stacji, i Holcgaz mnie zaraz z tą siostrą spiknął. Nie przeszła godzina, jak stałem przy uniwersytecie z tą studentką, kostropawą trochę, z zimnym okiem brzany, osadzoną nisko na resorach jak stara dekawka Bigła, osobistego gońca Pana Wacława. I stojąc z nią patrzyłem na tamtejszych uczonych, jak szli do roboty myśleć o myszach i szczurach i za to blit jeszcze brać. Kwadrans nie staliśmy, jak ten mój znajomy świadek jeden przeszedł. Mówię dekawce, to on.

— Na pewno? — pyta ona z niskich resorów.

— On — mówię. — Mogę się na różnych sprawach naukowych nie znać, ale ludzi zapamiętuję. Za rok takiego poznam, co mnie na ulicy ognia poprosi.

— No, to ja się dowiem jego danych, znam go i ja — obiecuje ona. — A drugi, jak wyglądał?

— Trochę wyższy, w okularach złożonych. W kurtce brązowej sierścią na wierzch.

— Do przodu trochę nachylony?

— Tak — mówię. — Jakby go wiatr przyginał.

— To ja go chyba też znam — chwali się dekawka.

— Znacie się wszyscy? — pytam.

— Ja czwarty rok studiuje.

— I jeszcze nie koniec nauki? Dużo tego?

— Jeszcze ten rok i piąty.

— Tej mądrości wystarczy tobie chyba na całe życie, i dla męża też — mówię do niej, żeby jej było przyjemnie.

— Gdzie tam. Potem się zapomina dużo.

— No, dobrze — powiadam. — Wyglądasz na taką, co pamięta dobrze. Z nimi był jeszcze jeden. Tego trzeciego nie zarejestrowałem dobrze, a by był potrzebny do kompletu. Bez pełnego zestawu nie mam co rozpoczynać działalności.

— Nie wiem — mówi ona. — Jaki on był? Chudy? Gruby? Wysoki? Niski? Jak był ubrany?

— Nie bardzo pamiętam, bo się trzymał na boku. Jeden z nich Apollo mówił do niego, czy nie Apollo, tak jakoś.

— Apollo? Może inaczej?

— Chyba nie.

— Dobra. Na kiedy to panu potrzebne?

— Na wczoraj było. Spiesz mi się, mam w zamiarze wyjechać. Ile ma być w rozliczeniu dla ciebie?

— No, jak pan myśli?

— Brudasa mogę dać za ekspres.

A dekawka zamknęła jedno zimne oko i stojąc przede mną, ciężkawa, na ugiętych resorach, oszacowała mnie zaraz drugim zimnym okiem.

— Pięć stów? Mało — powiada. — Brudas, to by była taka bardzo osobowa taryfa. Za pośpiech ostatnio zawyżyła się opłata. Siedem stów i dziś będą informacje.

— Dobra — mówię. — Z ręki do ręki.

— Stoi. Gdzie się spotykamy?

— Może być w Litwie. O drugiej.

— Do zobaczenia — powiada. — Martwi mnie ten trzeci, wolałbym za niego nie ręczyć, nie słyszałam o Apollu.

— Te siedem stów — mówię — to jest za pośpiech i za komplet informacji. Bez tego nie mam co dzieła zaczynać i kończyć. To ma mieć ręce i nogi.

— To cześć — odpowiada krótko. — Spróbuję.

Dekawka poszła zarabiać siedem stów, ja odejmować zło od dobrego i myśleć, co będzie, jakby mi przyszło odrabiać narozrabiane, bo by mi dali z rok i odwiesili pół, tym samym sposobem zarobione dwadzieścia miesięcy temu. Wychodził mi wąski krój w interesach na dobre dwa lata i mocno do tyłu z blitem. Jadło mnie to, ale się pozbierałem spotkawszy kumplów, bo mnie pocieszyli. Ideowo odprasowany dobiłem południa. Potem jeszcze podrzuciłem metalu Mądremu na stopienie, lichtarzy trochę na spust do poprawy, drobnicy trochę zawodowej, bo się nie chciałem brać przy niefarcie do czego poważnego. Szmolający mol pogryzał trochę, jak żem łąził po targu bez działki przy Holcgazie. Nie szło mu: Baron Cygański, nie odrzeźwiały z wczoraj, chciał mu wypuścić położony brąz za monetne złoto.

W innym czasie bym wyprostował Barona gdzie w kącie, ale mnie smutek strzegł.

O drugiej włązę do Litwy, dekawka już siedzi przy stole, na talerzu pački zielonej ma do groma, kupa frytek w tym, na środku kość kurza, biała, jakby komu w wypadku drogowym wyszła z nogi. Ona to wszystko ćpa, szufluje widelcem sosy, sałatki, nie patrzy na mnie; nie dożywiają jej szwagry, myślę, czy jak, choć one wszystkie z zimnym okiem takie na wikt pazerne. Odczekałem kulturalnie końca obrządku, bo by mogła czkawki w pośpiechu dostać.

— No, jak tam — pytam — szło? Dobrze?

— Nalatałem się jak głupia — sapie.

— Taka głupia nie jesteś. Na siedem stów pracowałaś. Żeby był czas, to bym ci za ten blit po całym powiecie kazał biegać. Jak jest? — pytam. — Zarobiłaś te siedem stów?

— Zarobiłam, i to dobrze. U dobrego szefa jeszcze by mi premia przysługiwała.

— Pomyślę — mówię i pokazuję te zimne paćką pomazane michy. — Niech to będzie za premię. Pijesz co? — pytam.

— Mogę — powiada dekawka.

— Szefie! — mówię donosicielowi. — Pół korca żyta dla nas i popłuczyny!

— Ta pani już jadła — on powiada. — A pan będziesz na pusty żołąd sikał? Podać co z fajerek?

— Mnie nic. Może jeszcze dla niej, ale ona chyba ma dość. Pana Wacława nie było?

— Nie było — powiada donosiciel i zaraz mi się kłania.

— To podawaj pan zgodnie z postulatem.

— Jak robota? — pytam dekawki. — Bez pomyłek pocztowych?

— Wszystko jest. Adresy, numery telefonów, wszystkich trzech mam tu na kartce, plus dodatkowe informacje.

— Przesyłki dojdą bez kłopotów?

— Bez. Robota jak na eksport.

— To mów.

— Nic nie mam do powiedzenia — powiada dekawka. — Ma pan tu trzy adresy. Wszyscy trzej mają telefon, jeden mieszka dalej, dwóch blisko siebie, koledzy od dawna, pracują w tym samym zakładzie. Razem grają w bridża.

— W bridża? — pytam. — We trzech?

— Mają czwartego. Też ich kolega.

— Jaki jest ten czwarty?

— Miałam się dowiadywać o trzech.

— Jak wygląda?

— Wysoki, chudy, też w okularach.
— Sepłeni?
— Tak.
— Kurtka w kratkę? Beret?
— Znam go z widzenia. To on właśnie, ten czwarty.
— Wygląda na to, żeś odwaliła dobrą robotę. Masz swoje siedem stów.

— I rachunek obiecał pan zapłacić — przypomina.
— Postawić ci coś jeszcze? Chcesz jeszcze jeść?
Dekawka czerwona od przejedzenia kręci głową.
— Już nie dam rady.
— To trzeba się nam będzie rozejść — mówię. — Doczekamy tylko napojów chłodzących.

Gości napranych trochę się ponaschodziło do koryta, doprawiają się tu lepiej międląc przy bufecie zagrychę. Przepatrywałem tłum, znajomków nie było, dwóch tylko lipnych konkurentów moich; klientów mi podkupują na niby, wiadomości o mnie najświeższe centrali swojej nadają, do krzyża chcą mnie przybić po chrześcijańsku; jeszcze trochę, ich przytkam, nie pomoże im fart i plecy.

Donosiciel dojechał z tacą, wypilem z dekawką, przedrzemała się raz trochę, po kielichu siedziała niemrawa, moczyła włosy w talerzu, ogryziona kość z premiowego obiadu leżała w mazi babskiego jadła. Na krześle nie była niska i górę nie miała złą, tylko to zimne rybnie oko niedobre było.

— Ty — mówię do niej, bo nie miałem w zamiarze miłego wieczoru spędzać. — Ja orbituję. Jak byś miała jeszcze na co chęć, to ci postawię, ale siedzieć nie mogę, muszę te adresy ponapisywać na przesyłki. Wpadło ci co w oko z jedzenia?

— Nie — mówi i się budzi.

— Z picia? Może ci to żyto nie podchodzi?

— Też nie. Facet mi w oko wpadł.

— To go sama bierz — mówię. — Ja ci go nie podam, chyba donosiciel.

— Ten facet, to pan. Musi pan już iść?

— Mnie tu już nie ma — powiadam.

— Szkoda wielka.

— Nie szkoda, bo ja się obracam w niskich sferach, za wysoko nie mierzę. Ty stoisz w słońcu. Szkoda by było twojej nauki zmarnować. Cześć — mówię. — Ja ci innym razem podejdzie kto ze znajomych, to ja ci go na brzeg wyrzucę.

— Jakiej roboty już pan dla mnie nie znajdzie? — pyta ona jeszcze.

— Jakiej roboty byś chciała?

— Podobnej.

Patrzę na nią, u niej tylko to zimne oko. Przypatruje mi się z wysokości, dobrej roboty by chciała za siedem stów co dzień. Ma jeszcze półtora roku nauki, posprzedawałaby znajomych, choć dla mnie szczęście, że na nią trafił. Chodziłaby sobie elegancko do uniwersytetu i do mnie by też przychodziła, jakby jej czasu zostawało z długofalowych znajomości.

— Nie — mówię. — Takiej roboty nie mam więcej i się nie zanosz. Ten raz był nietypowy, chodziło o sprawę poważną. Na co dzień w zbieranie wiadomości o ludziach ja się nie zabawiam. Nie mój fach. Cześć, do zobaczenia.

— Szkoda — mówi dekawka i patrzy jakby cieplej. — Poczekaliby pan, wyszłabym razem, żeby mnie kto nie zaczepił.

— Nikt ciebie tu nie zaczepi, ale mam do ciebie pytanie.

— Niech pan pyta.

— Szybko się obrobiłaś. Miałaś ich gotowych na swoje potrzeby?

— Nie — powiada. — Skorzystałam z banku. Takie dwie, jedna z piątego roku, druga z trzeciego, prowadzą prywatny bank informacji. Na użytek studentek.

— Dużo się płaci?

— Po dysze za jednostkę informacyjną.

— Z głową zarobiłaś — przyznaję jej. — No, to już cześć.

Wyszedłem szybko, żeby zdążyć do Pana Wacława, taryfą za pięć minut byłem na miejscu. Drzwi zaraz otwiera mi Ataman, wychudzony bardziej, niż żem go ostatni raz widział; źle mu idzie, czy jak, myślę sobie, coś tu się globalnie psuje w interesach: parę ludzi siedzi, trochę ma sankcje nisko nad głowami, to na razie cicho siedzą jak poparaliżowani bez możliwości działania, trochę się porozjeżdżało w inny teren na poszukiwanie Klondike.

— Cześć, Ataman — mówię. — Jak tobie idzie?

— Tak samo, jak tobie — powiada. — Co ty się mnie pytasz? Dlaczego ma tobie lepiej iść?

— To nie za dobrze jest — mówię. — Pan Wacław w domu? — pytam, bo z przedpokoju nie widać.

Ataman otwiera i drugie drzwi.

Pan Wacław jest. Na wyrze leży, na kocu, w piżamie brudnej, w lakierach pobłoconych. Rotszyl na stole żelazko poleruje, portki mu szykuje do kantu, w pokoju smród, śmiecie, papiery, stare jedzenie na dwóch oknach, na parapetach konserwy puste rybne, na nocnej szafce też, pod wyrem Pana Wacława nocnik i spluwaczka, co ją kupił z fantazji, jak dla niego chwilowo towaru nie było.

— Zmartwienie masz — powiada do mnie Rotszyld — czy się mylę? Gówniano wyglądasz. Jakbyś nie tu był, bym powiedział, że Pana Wacława zamieniłeś na innego szefa i życie tobie smrodu dodaje w luksus. Ze szmałem kiepsko masz?

— Nie mam ze szmałem kiepsko — powiadam. — Co ty się trudzisz? U ciebie mi go wisi, mam co sumować.

— To co ciebie je? Babie jakiej ogona nie dajesz rady przyprowadzić?

— On ma kompleks wykształcenia — powiada Pan Wacław, podnosi się na łokciu i robi ze stękaniem obrót na drugi bok. — Einsteina wczoraj pobił, może mieć sprawę w oczyszczalni. Ty mi, Rotszyld, spodnie spal! Muszę zaraz wychodzić, nie będę czekał, aż sklep z porządną garderobą otworzą.

Patrzę jeszcze, pod ścianą na piesku od butów cywa Święta Teresa od Dzieciątka Jezus. Jak mysz tnie pestki z dyni i spluwa po klepisku łupinami. Pościągał kiedyś u świętego Pawła ozdóbki Marii Pannie z sukienki, rok przechowywał metal w niesprzątanej kapliczce Świętej Teresy.

— Masz już na swoją obronę? — pyta mnie Pan Wacław.

— Wszystko, co może być potrzeba. Kartoteka na wszystkich trzech.

Pan Wacław podnosi się z wyra, tasiemkę przy dole pizamy rozwiązuje, wstaje i nogą spod wyra wygarnia urynał.

— Odwróćcie się — mówi. — Człowiek się musi we własnym mieszkaniu krępować.

Obracamy się do ściany jak na rozwałkę. Pan Wacław bębni w naczynie jak po blaszanym dachu. Urynał zapędma z powrotem pod narę, zawiązuje spodnie, kładzie się na wyro, z nocnego stolika, z szufladki, bierze księgę z tytułem *Palladio*, daje Atamanowi.

— Przykryj — mówi — bo mnie to krępuje. Kiedy ja się, człowiek wykształcony, będę mógł swobodnie czuć? Nawet jak mam kobietę, pod drzwiami mi sapięcie. Kto was kultury uczył?

Święta Teresa od Dzieciątka Jezus siada z powrotem na piesku i bierze na ząb pestkę. Ataman centruje księgę na urnale, Rotszyld obślinia palec, czy żelazko nie za gorące, i dalej podpieszcza nogawki Pana Wacława.

— Daj, co masz — mówi Pan Wacław.

Daję mu trzy kartoteki od dekawki, czyta wszystkie, zamyśla się, patrzy z obrzydzeniem na Świętą Teresę.

— Ty! — mówi do niego. — Denerwujesz mnie! Weź, pozamiataj zaraz, coś naświnił! I chcesz dalej gryźć, to idź za drzwi!

Święta Teresa wmiata łupiny pod wyro i siada na piesku.

— Ty — mówi Pan Waław do mnie. — Zaparz kawy. Trzeba zrobić kolegium w twojej sprawie.

Robię kawę, Pan Waław otwiera kasetkę metalową, wyciąga piersiówkę z soplicą, pięć rolad z kremem, z szafki nocnej musztardówki.

— Kończ te portki — mówi do Rotszylda.

Daje Świętej Teresie piersiówkę, szkło do nalania, podobnie ciasto. Święta Teresa sypie wyciągnięte pestki w kieszeń, żeby mu się nie zmarnowały, rozlewa napój; każdemu na kolano, Panu Waławowi na piżamę, daje po roladzie. Pan Waław jeszcze raz przegląda dane od dekawki.

— Prawdziwe te informacje?

— Siedem stów mnie kosztowały.

— Siedem stów — mówi Pan Waław. — Za byle co płacić siedem stów i na wszystko rok gwarancji najwyżej. Ja nie mogę rozpoczynać dochodzenia bez pewności, że dane są prawdziwe.

— Siedem stów dałem jednej studentce — mówię. — Przyjęła, że robota z gwarancją. Premię dostała.

— Babie się każdej widzi, że robi gwarantowaną robotę — odzywa się Święta Teresa od Dzieciątka Jezus. — Lepiej posprawać tę majsterską fuchę. Za grosz bym babie nie wierzył.

— Ja tak samo — mówi Rotszyld. — Tym bardziej w sądowej sprawie.

— Pierwszy, kurwa, mecenas narobi bajzlu — odzywa się Ataman.

— Nie wyrażaj się — mówi do niego Pan Waław. — Tutaj żaden mecenas nie narozrabia, bo nie zobaczy tej sprawy.

— Informacje są prawdziwe — powiadam. — Studentka tylko po wierzchu podobna do baby. Pod spodem oko ma bystre i rachunek dobry.

— Lepiej ty sprawdź — upiera się Święta Teresa.

— Gdzie mam, kurwa, sprawdzić? — pytam. — Na milicji? Na łeb żeś się zerwał?

— Nie wyrażaj się — powiada Pan Waław. — Jeszcze raz, będziesz w czasie kolegium na schodach siedział. Święta Teresa może mieć rację. Masz wolny dostęp do studentki?

— Mam.

— Ona o tym wie?

— Wie.

— To jej dołożysz do premii w razie czego. A teraz dość kłótni. Otwieram kolegium. Musimy się zastanowić nad taktyką.

— Nad taktyką czego? — pyta Ataman i łapie za musztardówkę.

— Zostaw to! — mówi Pan Wacław. — Najpierw sprawa, potem przyjemność. Trzeba się zastanowić nad taktyką postępowania z tymi uczonymi. Miałem z nimi do czynienia, wiem, jak mówią. Niewiele, ale treściwie. Dojdzie do sprawy, nie pomoże wtedy żaden adwokat. Poszkodowany będzie mówił językiem czyściocha, każdy świadek się bez jakania wypowie. Szpindel stanie między prorokiem i czyściochem, zapytają go o to, owo, popłaczą w głowie, pogubi się. Adwokat tamtego będzie po to, żeby mu z mózgu wodę z serwatką zrobić. Rozbiorą go do naga, przybiją do krzyża, koniec sprawy. Nie będzie po co apelować. Nasze bojowe zadanie, zveksłować sprawę z drogi sądowej. Trzeba się zastanowić, z której strony się do świadków dobrać.

Ja siedzę, nie włączam się do dyskusji, niech gadają, zobaczą. Fakt, sprawa się kroi dla mnie niewyraźna. Pan Wacław zapala papierosa. Rotszyld wyciąga z gniazda kabel od żelazka, układa spodnie na wyrze za Panem Wacławem.

— Co proponujecie? — pyta Pan Wacław.

Święta Teresa od nowa pluje pestkami po podłodze.

— Kurwa się nie oduczy! — powiada Ataman stojąc przy oknie. — Przemiała ziarno, jak krowa. Myśleć nie mogę od jego plucia!

— Wyłóż wszystkie ziarenka z kieszeni tu na łóżko — rozkazuje Pan Wacław. — Odbierzesz na wychodnym. Wejdiesz w nawyk i będziesz pluł pestkami w robocie.

— Mózg mi nie działa bez oliwy — patrzy Ataman na musztardówkę.

— Wypij — mówi Pan Wacław i robi kontrolę portek. — Przy mankietach błoto zostawiłeś!

— Na mokrym nie było widać — tłumaczy Rotszyld. — Dopiero pod żelazkiem obeschło.

— Jaką taktykę proponujecie?

— Nie znam się na taktyce — powiada Święta Teresa. — Znam się na konkretnej robocie.

— Może być konkretna robota. Co proponujesz?

— Nie wiem, jakie te informacje Szpindel dostał od studentki. Jak tam są adresy, to możemy się przejść we dwóch, trzech, skromnie, bez szumu, w stosownej porze. Dodać zdrowia jednemu, drugiemu, trzeciemu, niech się nie angażują w nieswoje sprawy.

— Tego robić nie można — krzywi się Pan Wacław. — Na tym poziomie twoja metoda nie zda egzaminu. Będą bronić kolegi. Nasza ingerencja tylko ich rozżłości, sprawa się stanie wspólna dla wszystkich. I Szpindel wtedy będzie leżał.

— To pogrzebać trochę w ich życiu — radzi Ataman. — Może kto ma co na sumieniu i by nie chciał, żeby się rozeszło pomiędzy znajomymi. Może jaki romans na boku, skok na świeżynę do hotelu. Jak żonaci, byłoby czym zagrać. Pogrzebać trochę.

Pan Wacław przymruża oko, podnosi musztardówkę i ją wącha, przygląda się zabłoconym lakierom w nogawicach pizamy, potem patrzy w kartoteki od dekawki.

— Trochę takich informacji tu jest — mówi — ale metoda nie jest dobra. Na delikatny nacisk trzeba trochę czasu. Tamten dziś, jutro, może ze sprawą pójść do oczyszczalni.

— Mają telefony, postraszyć ich, nie mówiąc, co i jak. Zajmą się sobą.

Pan Wacław od nowa zmruża oko.

— To ciąg dalszy poprzedniej metody i ona nie ma nic wspólnego z taktyką. Przy proponowanej metodzie trzeba iść na całego, bez indywidualnego stopniowania. Sprawa jest na to za mała. Poza tym wolę się trzymać środków legalnych.

— Tak samo, jak przy wdowie od dolców? — pyta Rotszyld.

— Tam nie wyszło, stara miała sklerozę. Pozapominała, co jej nieboszczyk zostawił w zagranicznych środkach płatniczych — mówi Pan Wacław. — Poza tym popełniliśmy błąd. Gdyby doskakiwała do niej jedna osoba, byłoby wszystko w porządku. Starej się pomieszali ludzie i oskarżyła Świnie o kradzież. A moja interwencja nie pomogła, bo już miała obstawę i była za pewna.

— Na nic nie ma gwarancji — powiada Ataman.

— Zależy od sposobu.

— Trzeba się zastanowić — radzi Rotszyld. — Na gorąco można gnoju narobić.

— Działać musimy szybko — powiada Pan Wacław — i świadków trzeba odwiedzić jeszcze dzisiaj. Pójdziemy obaj, ja i Szpindel. Trzeba im założyć przekonywującą gadkę. Szpindel będzie udawał głupka i wyciągał rękę do zgody, mówił będę ja. I co mam mówić?

— Postraszyć gnoi — upiera się na swoim Święta Teresa.

— Mówiłem, że nic z tej propozycji.

— Rozmiękczyć — mówi Rotszyld.

— Jak? Na litość ich brać?

— Mniej więcej.

— Za mało tego na metodę, na taktyczne rozegranie też. Szpindel się może spłakać. Pośmieją się i cała ofensywa na nic.

— To ich poprosić — doradza Święta Teresa. — Każde

zagranie dobre, jak jest podatny grunt. Można poprosić w imieniu kogo ważnego.

— Kogo? Przecież to, kurwa, kupa waśniaków! — powiada Ataman. — Mnie by honor nie pozwolił się poniżyć. Szpindel się tak samo nie będzie giał bez pewnych widoków.

— To nie ma co — mówi Rotszyld. — Niech Szpindel zmienia miejsce postoju, z pominięciem rejestracji. Przeczeka, terminy wyjdą, sprawa się po jakim czasie umorzy, bo z prywatnego oskarżenia. Może gdzie jechać w delegację.

— Za długo czekać — powiadam teraz. — Interesy nie mogą pójść w zawieszenie. Tak samo jakbym siedział, albo gorzej, zaczynać w nowym miejscu.

— No, to nie ma dla ciebie sposobu — przybija mnie Rotszyld. — Będziesz musiał kiblować. Chyba żeby ich wziąć ideowo.

— To znaczy jak? — pyta Pan Wacław.

Rotszyld wzrusza ramionami.

— Nie wiem — mówi. — Chyba nic nie poradzimy i niech Szpindel prosi o łaskawy wymiar kary.

— To ja wam teraz powiem — powiada Pan Wacław. — Szpindel może siedzieć, mogą go nawet powiesić, jak jest za co. Ale beze mnie. Ja swojej zasady na kołku nie powieszę. A moja zasada jest taka, że wy ją dobrze znacie. Jest Szpindel, ma kolegów po fachu, po różnej linii. I ja tu jestem jeszcze. A dla mnie działanie wspólne w obronie każdego, to jest racja bytu i fundament. Żeby się cały świat miał rozpieprzyć, to nasz fach musi zostać, a zostanie wtedy, jak będziemy solidarni. Każdy z was, Szpindel też, macie wiedzieć, że w kłopotach nie jesteście na łasce. I dlatego Szpindlowi mamy pomagać wszyscy. Zasada ma być zachowana. Jeżeli nie, to zwijam manatki i wyjeżdżam. Moja rola ma się z wami na ukończeniu.

To wszyscy teraz siedzą cicho czas jakiś.

— Jak ta zasada jest taka ważna — odzywa się pierwsza Święta Teresa — to dajmy facetom do wiwatu na czasową niezdolność do rozbudowy kraju.

— Sposób ma być legalny — przypomina znowu Pan Wacław. — Przez sprawę Szpindla nikt nie może podpaść pod paragraf, bo dopiero by się dla nas zaczęło schodzenie w dół od jednej do drugiej sprawy. Może w innym przypadku tak, ale ta sprawa na takie ryzyko jest za mała. Nikt nie ma nic mądrego do zaproponowania?

— Nie mam — mówi Święta Teresa. — Mogę zabrać pestki?

— Nie. Ty, Ataman?

— Nic mi się nie pęta po głowie.

— To tobie i po większej oliwie nic się nie przydarzy. Rotszyld, ty masz coś do powiedzenia?

— Może mam, może nie.

— Co możesz mieć?

— Trzeba rozwinąć parę myśli.

Święta Teresa podnosi się z pieska i się podsuwa do ziarenek na wyrze, Pan Waław mu się przypatruje.

— Mówiłem ci — powiada — masz walczyć z nawykiem. Zjedz ciastko, nie świń po podłodze. I wyczyść mi lakiery. Rozwiń te twoje myśli, Rotszyld.

— Tak tylko na początek chcę coś powiedzieć. Zakończenie i wykończenie, to nie moje dzieło.

— Mów.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, mamy do ratowania Szpindla i zasadę.

— Powiedzmy, że Szpidel może siedzieć. Interesuje mnie zasada.

— Zasada ta — mówi Rotszyld — to solidarność. Tamci też będą chcieli być solidarni. To trzeba im coś między drzwi wsadzić, żeby się nie chciały domykać.

— Racja — mówi Pan Waław. — Dalej.

— To jest na jedno, na solidarność. Druga ich wspólna rzecz, to naukowość. Jak oni tacy mądrzy, to trzeba z nimi zagrać naukowo.

— Słusznie — powiada Pan Waław.

— No, to ja już wszystko powiedziałem — mówi Rotszyld.

Pan Waław przygląda się swoim nogom; Święta Teresa zdejmuje z nich lakierowane skoki do czyszczenia; potem się przypatruje portkom, czy wyczyszczone jest błoto. Na koniec rozwiązuje sznurek od pizamy i wstaje z wyrą.

— Odwróćcie się. Krępuje mnie zakładanie gaci przy obcych.

Obracamy się do ściany, Pan Waław naciąga kalessony i spodnie.

— Możecie patrzeć — daje pozwolenie.

— Mam jeszcze coś do dodania — namyśla się Rotszyld. — W razie, nie da im się czego wsadzić w drzwi i zrobić większego przeciągu, to i w zamknięte można powpychać trochę blitu.

— W to ja nie wierzę — mówi Święta Teresa. — To są ludzie idei, tak samo, jak my. Szpindla by kto sprzedał za pieniądze?

— Za małe nie — odpowiada Ataman.

— Święta Tereso — mówi spokojnie Pan Waław. — Daj buty Atamanowi, niech dokończy. Za jego dobre słowo.

— To tylko sceptycyzm twórczy — powiada za Atamana Rotszyld.

— Racja — mówi Pan Waław. — I twoje słowo też jest twórcze. Sceptycyzm, to przede wszystkim wątpliwość, jeszcze lepsze słowo. Mocne. Wypijmy — zaprasza. — Zabieraj swoje ziarnka, narkomanie — powiada do Świętej Teresy.

Pijemy, Pan Waław wacha tylko musztardówkę i przegryza roladą, naciąga zaraz czystą koszulę ściągniętą z gwoździa na drzwiach, krawat wiąże, obuwa wyświecone lakiery, jesionkę nakłada, kapelusz, rękawice, parasol bierze.

— To wy idźcie do swoich zajęć — mówi — a Szpindel ze mną. Ataman, wywietrz lokal, żebym miał świeże powietrze na noc.

Wychodzimy zaraz na ulicę. Ciemne jest w listopadzie popołudnie, dużo ludzi idzie i nam jest tak dobrze w tłoku iść. Nikt o nas nie wie, można się przesmyknąć tu, ówdzie, w nocy nasz teren działania, to nie byle Pipidowa. Idziemy, ja patrzę na ludzi, raz za razem widzę oko ciekawe, co błyska na nas spod włosów albo zmyślnej czapki, ale idziemy w interesie, to na nic nie patrzymy. Pan Waław nie mówi nic, ja się tak samo nie mam potrzeby odzywać. Myślę tylko sobie, jak to będziemy we dwóch taktykę realizować. Kartki personalne od dekawki wszystkich trzech świadków Pan Waław ma w kieszeni, a ja idę goły. Jakoś po wczorajszym niefarcie na Panu Waławie się powiesiłem, jak bombka na choince, on by mnie łatwo mógł otrząsnąć, jakby chciał. Sam puścić się nie dam rady i nie będę chciał: zechcę, to się pobiję. Tyle wiem: w dobrych rękach jestem i mądra głowa ma mnie w swoim staraniu.

Po drodze wchodzimy samej Powszechnej w zaplecze, szef zaraz stawia przed Panem Waławem sortyment zagrych, żółtko kurze wypuszcza mu zaraz do bulionu i propozycję robi na szkło, sięgnąwszy po napoleona z szafki.

— Nie piję, na służbie chwilowo jestem — mówi Pan Waław. — Ten tu kłopotów sobie narobił, muszę mu sprawę prostować. Z telefonu chciałem skorzystać.

— No, to ja nie będę w czyich sprawach zawadzał — powiada szef ekskluzywnej garkuchni i się cofa do produkcji gastronomicznej.

Telefon na biurku jest, Pan Waław zdejmuje renifera, wyciąga z kieszeni kartkę personalną, czyta adres i ubiera rękę z powrotem.

— Magister — mówi. — Zadzwonimy sobie do pana magistra. Po paru długich buczkach facet się odzywa, słyszę jego

głos dobrze wyszkolony w grzeczności, do telefonu przyuczony, taki facet nie musi widzieć człowieka, żeby mu rzecz powiedzieć.

— Pan magister Kulas? — pyta Pan Wacław.

— Przy telefonie — zeznaje facet.

— Pan wybaczy, dzwonię nie w swojej sprawie. Jestem pełnomocnikiem wczorajszego winowajcy.

— Kogo? — pyta magister.

— Człowieka, który uderzył wczoraj pańskiego kolegę.

— Teraz rozumiem. Czym mogę służyć?

— Pański kolega ma zamiar wnieść sprawę do sądu. Chcę w związku z tym prosić pana o kilka minut rozmowy.

— Dlaczego do mnie się pan zwraca?

— Pan ma być świadkiem, prawda?

— Tak. Kolega prosił mnie o to.

— Chciałbym się z panem zobaczyć w tej sprawie.

— Lepiej by było, gdyby pan porozmawiał z poszkodowanym.

— Już rozmawiałem.

— I chce pan teraz przyjść do mnie? Nie rozumiem, co byśmy mogli mieć sobie do powiedzenia w tej sprawie.

— Pozwoli pan, że ponowię prośbę.

Magister trochę pomilczał.

— Dobrze — powiada w końcu. — Na parę minut, nie dłużej. Więcej czasu nie będę mógł panu poświęcić. Poza tym, będę w domu najdłużej pół godziny. Później mnie pan nie zastanie.

— Uprzejmie dziękuję. Zdążę — mówi Pan Wacław i kładzie słuchawkę.

— Co ty na to? — pyta mnie.

— Nic ja na to. Ja bym ich chciał może dorwać wszystkich za jednym zamachem. Krótka sprawa, krótka mowa, do trzech na raz.

Pan Wacław kartkę personalną magistra wsadza w kieszeń.

— Nigdy nie rwałem trzech zębów na raz — powiada — i ja bym może taką operację wytrzymał, ale poszukaj mi zębocławka, żeby czegoś nie popsuł przy trzecim pniaku. Lepiej pojedyncze, z korzeniem, bez infekcji. Tych świadków przy odrobinie szczęścia postaram się załatwić, pod warunkiem, że pojedynczo. Takich trzech naukowców na raz, to, lekko biorąc, ze sto punktów widzenia. Ja bym to wytrzymał, jak i z zębami, ale nie mogę przewidzieć, na jakim punkcie widzenia dyskusja by się zatrzymała.

— Dobra — mówię. — Pan zna tych ludzi lepiej.

Zaraz wsiadamy w taryfę i pod mieszkanie tego mózgu elektrownego jedziemy.

— Ty u niego siedz cicho — przyucza mnie po drodze Pan Wacław. — Nic nie mów, nie rozglądaj się po mieszkaniu, bądź skromny i skruszony. Najlepiej, jakbyś udawał półgłówka. Nie-jeden z nich lubi głupszych od siebie i ma dla nich względy. A gadanie jest moje. Rękę też w razie czego trzymaj przy sobie, będzie mi jej trzeba, to ci dam cynk. Chwytasz?

— Idiotą mam być dopiero u niego w domu — mówię.

— Masz być skromny, w razie czego żałować za grzechy. I odpowiadać tylko na wyraźne pytania.

Prosto z taryfy wchodzimy po schodach na trzecie piętro. Smród taki więcej domowy wisi w tym mieszkaniowym kołchozie, jedzie pieluchami, garami z zastałym jedzeniem, babską perfumą, telewizyjnym jazgotem ciągnie z każdego mieszkalnego lokalu.

Dzwonimy do drzwi, oszklony facet nam otwiera, poznaje go. Pan Wacław pcha mnie w przód, magister przypatruje się najpierw groźnie, bo mnie poznaje, ja to widzę na jego obliczu, potem się przygląda Panu Wacławowi; on bardziej jest zadbany pod względem higieny osobistej i twarzowej inteligencji.

— Proszę wejść — powiada.

Wchodzimy z nim do pokoju, trochę tam mebli nie najlepszych, biblioteka książek, nie za dużo, jak na takiego asa od mysz. W pokoju Pan Wacław stawia parasolkę przy kolanie, piłśniak posuwa na stół.

— Tego boksera — mówi magister i mnie pokazuje — znam. Z panem nie miałem przyjemności.

— Rzadko w tym mieście bywam — odpowiada Pan Wacław. — Teraz też wpadłem okazjnie i akurat trafiłem na kłopoty tego młodego człowieka. Należę do znajomych jego rodziny, skąd inąd uczciwej i obfitującej, jak w takich rodzinach bywa, w różnej wartości owoc. Rodzina zwróciła się do mnie o pomoc.

— Pan jest adwokatem? — pyta magister.

— Proszę pana, kto, szczególnie w naszej epoce — mówi Pan Wacław — może sobie pozwolić na luksus ignorancji prawniczej? Chyba samobójca?

— Jest pan prawnikiem profesjonalistą, czy amatorem? — pyta znów magister z wielką powagą.

— Przychodzę do pana nie jako prawnik — odpowiada Pan Wacław. — Jestem przyjacielem rodziny tego szybkiego Billa.

— Rozumiem. Przyjmuję do wiadomości, że nie są panu obce normy prawne chroniące nietykalność osobistą obywateli. Mój kolega został bez powodu napadnięty i pobity.

— Wiem.

— Społeczeństwo i władze wydały skuteczną walkę chuligaństwu i bandytyzmowi.

— Słusznie — powiada Pan Wacław. — Ja też jestem członkiem naszego społeczeństwa i staram się zapobiegać tego rodzaju ekscesom. Nie mówiąc o tym, że sam chcę chodzić bezpiecznie po ulicy, nie narażając się na przykrość.

— Cieszę się, że wyznajemy ten sam pogląd. Jeżeli pana dobrze rozumiem, idzie panu o to, żeby mój kolega nie wniósł sprawy do sądu. Inaczej mówiąc, chce pan, żeby wczorajszy chuligański czyn pana podopiecznego uszedł mu bezkarnie. Nie widzę możliwości pogodzenia pańskich teoretycznych deklaracji z tymi zabiegami o bezkarność.

Pan Wacław zdjął renifera z jednej ręki położył go na stole przy swoim piśniaku.

— Przyznaję — mówi. — W tej sprawie istotnie trudno o pogodzenie moich niezłomnych poglądów z faktem, że w tak wątpliwej kwestii zjawiłem się u pana. Chcę jednak zażegnać surowe konsekwencje, jakie niewątpliwie poniesie tu obecny, w przypadku, gdyby sprawa znalazła się na wokandzie sądowej. A znaleźć się może tylko po spełnieniu pewnych warunków. Przyjmuję za pewnik, że wtedy mój podopieczny przegra.

— Nie trudno to przewidzieć. Mój kolega ma trzech świadków.

— Tak — powiada Pan Wacław. — Wystarczy, żeby świadkowie tylko przededefilowali przed sędzią i ławnikami. W każdym razie wystarczy dla ustalenia tak zwanej prawdy materialnej, jeżeli nie jest panu ten termin prawniczy obcy. Pozostaje jeszcze dobro prawdy obiektywnej.

— Nie przesadza pan powołując się na tak subtelne różnice w tak mało subtelnej sprawie?

— Różnica nie jest tak subtelna, jak się może wydawać — powiada Pan Wacław — jeżeli się zważy, że uwzględnienie albo nieuwzględnienie tej różnicy, w zwykłych ludzkich, a nie prawniczych kategoriach, to kwestia roku więzienia.

— W rzeczy samej — mówi magister. — Na tyle opiewa paragraf sto osiemdziesiąty drugi.

— Zatem ta subtelna różnica nie jest różnicą nieistotną. Jest pan weterynarzem?

— Zoologiem — poprawia magister.

— Tym lepiej. Nie może być obojętne, pod wpływem jakich bodźców, doświadczeń czy środków, znajduje się obserwowane przez pana zwierzę doświadczalne. Rzutuje to przecież na wynik pańskich badań.

Magister patrzy teraz na mnie.

— Zaciekawia mnie pan — powiada do Pana Wacława. — Czy środek, pod którego wpływem znajdował się wczoraj pański podopieczny, to alkohol?

Pan Wacław zdjął drugiego renifera.

— W tym rzecz, że on wcale nie pije — powiada o mnie.

— Nie broniłbym alkoholika, nawet gdyby był moim synem.

— Hm — pochrząkuje magister i błyska na mnie oszklonym okiem. — Ciekawe.

— Widzi pan — powiada dalej Pan Wacław. — On ma kompleks niższości, właściwie kompleks braku wykształcenia. Czuje się mniej wartościowy w obecności ludzi wielkiej wiedzy. Przeradza się to u niego w dotkliwe poczucie niższości. Ten kompleks rodzi w nim z kolei postawy agresywne.

— Ciekawa — mówi magister — i w tym samym stopniu karkołomna spekulacja. Nie mniej, to, co pan mówi, ma pozory pewnej logiki. Do czego pan zmierza?

Pan Wacław powiesił parasolkę rączką na blacie stołu.

— Pan wybaczy. To pan jest naukowcem.

— Hm — zastanawia się magister. — Rozumiem. Mam uwzględnić ontogenetyczne uwarunkowania. Tak?

— Nie tylko. Również do pewnego stopnia filogenetyczne. Rozumie pan, na pewnym poziomie, w pewnych środowiskach, nie sposób rozgraniczyć doświadczeń indywidualnych i dziedzictwa.

Magister lepiej mi się teraz przyjrzał.

— Hm, hm — powiada. — Pozwoli pan zadać swojemu klientowi kilka pytań?

— Oczywiście — mówi Pan Wacław. — Ale niech się pan nie spodziewa rewelacyjnych odpowiedzi.

Magister podszedł do mnie i mi zagłąda w oczy.

— Gdzie się pan urodził?

— Gdzie? A tutaj — mówię.

— Ma pan jakieś wykształcenie?

Odwrociłem od niego głowę i popatrzyłem, wymęczony niby, na Pana Wacława. Pan Wacław nie patrzył na mnie.

— Siedem klas mam — mówię magistrowi.

— Hm. Ile pan miał lat, kiedy przestał pan chodzić do szkoły?

— Ile? Zaraz. Chyba do wojska miałem iść.

— Był pan całkiem dorosły. A ile miał pan lat, kiedy miał pan pierwszą swoją dziewczynę?

Zacząłem patrzeć na moje lewe kolano.

— No, ile?

— Żadnej zem jeszcze nie popróbował — mówię mu szeptem i kręcę palcami.

Magistrowi się to spodobało, nie patrzył już na mnie ostro.

— Jest onieśmielony — powiada Pan Wacław.

— Ile jest dziewięć razy dziewięć?

— No, z dziewięćdziesiąt dziewięć będzie — mówię. — Dodawanie lepiej mi w szkole szło.

— Bili pana w domu?

— Jak tylko było za co. Głównie to nie czekali, żeby było.

— Bał się pan?

— Kogo?

— Tego bicia.

— Z początku się bałem, potem nie bardzo. Uciekałem.

— Pan ich bił?

— Gdzie tam! Miałem szacunek do staruszków.

— Rodzice pana czym się zajmowali?

— No, mamusia była w domu, tatuś pracował jako hycel.

— A pan lubi bić?

— Kogo?

— Innych ludzi.

— Gdzie tam! — mówię. — Kto by lubił! Wczoraj tak tylko wyszło, zem się zagubił.

— Dlaczego uderzył pan mojego kolegę?

— Tak jakoś na niego popatrzyłem, że tak dużo mówi, że tak mu mądrze to idzie, i mnie się szkoda zrobiła mojej ciemnoty, tego, zem się tak krótko uczył.

— I to pana rozgniewało?

— Gdzie tam! — mówię. — Nie rozgniewało. Smutno mi było. To przez smutek tak zem się zagubił.

Magistrowi na to oko zawilgło pod okularem, przypatrzył mi się znowu, poszedł do stołu do Pana Wacława, siadł przy nim chwilę, potem z pięć minut chodził po pokoju.

— Przykro mi — powiada, jak już dobrze pospacerował — W tej sytuacji nie widzę możliwości świadczenia przed sądem na rzecz kolegi. Przypadek jest rzeczywiście smutny. Żal mi kolegi, ale nie mogę przykładąć ręki do wyroku skazującego.

— Dziękuję panu — mówi Pan Wacław.

Magister popatrzył na niego.

— Proszę pana, niech mi pan nie dziękuje. Moja decyzja nie jest wolna od świadomości, że krzywdzę kolegę. Winien mu jestem solidarność, ale w imię poszukiwania bezwzględnej, obiektywnej, naukowej prawdy, muszę z wymogu solidarności zrezygnować. Pański klient...

— Mój podopieczny — powiada Pan Wacław.

— Rzeczywiście. Przepraszam bardzo, występuje pan przeciw bezinteresownie. Pański podopieczny jest wprawdzie datą urodzenia ulokowany w naszej rzeczywistości społecznej, ale biorąc pod uwagę uwarunkowania zarówno filogenetyczne jak ontogenetyczne, jak mi pan słusznie zasugerował, należy datę urodzenia cofnąć w czasie, Bóg wie w jaką epokę. Osobiście jestem zwolennikiem drakońskich metod w przypadku chuligańskiej napaści, ale tym razem nie podejmuję się przyznać pierwszeństwa racji subiektywnej. W tych okolicznościach wątpię również, czy sąd będzie mógł ustalić prawdę obiektywną. Tym motywuję moją niezłomną decyzję.

Pan Wacław zabrał ze stołu swój parasol, renifery i pilśniak.

— Jeżeli dobrze rozumiem — mówi — nie wystąpi pan w sądzie w charakterze świadka oskarżenia?

— Muszę, niestety, odmówić koledze. Ja przeciw prawdzie obiektywnej nie wystąpię.

— Dziękuję bardzo — kłania się Pan Wacław.

— Muszę jeszcze stwierdzić — powiada magister — że mimo przykrych okoliczności, w jakich zawarliśmy znajomość, rozmowa z panem była przyjemnością.

— Dla mnie również. Dziękuję panu. Do widzenia.

— Do widzenia. Pana klientowi życzę powodzenia, choć, przyznam się, mam obawy, czy moi dwaj koledzy staną na wysokości zadania. Oni są bezwzględni.

— I ja się obawiam. Do widzenia.

Pożegnaliśmy magistrą i wychodzimy na dwór na świeże powietrze. Pan Wacław pod latarnią wyciąga z kieszeni kartotekę następnego.

— Doktor, ten drugi.

— Może z nim być gorzej — powiadam.

— Mogliśmy do niego zadzwonić od magistrą, umówić się.

— Gdzieś tu blisko mieszka — mówię. — Ze sto metrów.

— To wpadniemy do niego bez zapowiedzi, na gorąco, pod wrażeniem świeżej wygranej. Nie wyrzuci nas. To dobrze wychowani ludzie.

I zaraz żeśmy tam poszli.

Blok był taki sam, tylko nasz klient do obrobienia bliżej był Boga meldowany. Pan Wacław trochę się na schodach zasapał i mi go szkoda było, że się trzęsie bez windy. Zadzwoniliśmy, otwiera nam facet też z wczoraj mi znajomy. Z wąsem długim, skręconym, z brudną szmatą w ręce.

— Pan doktor Munia? — pyta go Pan Wacław.

— Tak. Doktor Munia jestem — odpowiada doktor

i wyciera ręce zajdzione smarem jak u mechanika z TOS-u. — Panowie do mnie?

— Do pana, z małą sprawą.

Doktor dotąd więcej patrzył na Pana Wacława, teraz popatrzył i na mnie.

— He, he! — powiada i trzęsie brzuskiem pod gimnastyczną koszulką. — To ten wczorajszy spec od rękodzieła! Neandertalczyk pod względem mózgowym! Nic, tylko bić, co?

— Ilościowo — powiada Pan Wacław bez śmiechu — pod względem mózgowym nikomu nie ustępuje, tylko mu się w mózgu niewłaściwie poukładało.

— No, to, panie, zamiast go do mnie targać, trzeba go wieźć do psychiatry, bo sobie kłopotów nafunduje. Z czym panowie do mnie? Pewnie ze wzruszającą historią o licznej rodzinie i chorowitej żonie tego pitekantropusa! Chciecie mnie rozczerzyć, żebym się wstawił u kolegi? Słyszałem, że kieruje sprawę do sądu.

— Ma taki zamiar, niestety — przyznaje Pan Wacław.

— No, proszę. To już byliście u niego? Nie wyrzucił was na zbity pysk z mieszkania? To twardy facet. Co powiedziała?

— Nie przyjął przeprosin.

— Słusznie. Przeprosiny nie równoważą mordobicia. Ekwiwalentu za krzywdy moralne, mam nadzieję, nie proponował mu pan w imieniu tego zwyczajowego ojca licznych dzieci i męża anemicznej żony?

— Nic takiego nie proponowaliśmy — mówi Pan Wacław.

— To dobrze, bo on nie z tych, co by się zgodzili na taki interes. Woli do końca wyssać możliwości kodeksu. Jak dobrze pójdzie i pitekantropus trafi w sądzie na zaostrzony kurs, trzeba mu będzie beknąć.

— Niestety — godzi się Pan Wacław. — Tego się właśnie obawiam.

— No, to już z grubsza rozumiem — powiada doktor Munia — jaka was do mnie potrzeba sprowadziła. Pan przynajmniej docenia powagę sytuacji. Rzecz w tym, że nic ode mnie nie zależy.

— Najprawdopodobniej zostanie pan zgłoszony jako świadek.

— Nic na to nie poradzę. Będę mówił prawdę i tylko prawdę.

— Idzie mi o to, żeby pan nie zechciał być świadkiem.

— A to w imię jakiej idei? — pyta doktor.

— Jest pan przekonany, że każdy odpowiada przed sądem za swoje wykroczenia?

— He, he! — śmieje się doktor i brzusek mu znowu trochę podskakuje. — Panie, gdyby każdy człowiek chodził z wmontowaną aparaturą do notowania wykroczeń, z czymś w rodzaju,

powiedzmy, elektroencefalografu albo sejsmografu, to tu w tym mieszkaniu od dawna by mieszkał kto inny!

— Można zatem przyjąć — powiada Pan Waław — że do sądu trafiają tylko ci, którzy nie mieli szczęścia.

— Szanowny mecenasie! — śmieje się doktor. — To czysta demagogia! Mój kolega też nie miał szczęścia, bo dostał w głowę, ale równocześnie ma szczęście, bo nie on będzie sądzony, choć przy podwójnym braku szczęścia, jak to się nieraz zdarza, taka odwrócona sytuacja jest możliwa. Nie mniej, pana linia obrony nie jest w stanie podważyć generalnej zasady odpowiedzialności karnej za złe prowadzenie się w społeczeństwie. Ja panu prywatnie powiem — mówi dalej. — Choć mnie samemu sporo razy się upiekło, mówię o drobnych wykroczeniach, w żadnym razie nie jestem zwolennikiem upiekania się innym. Bo nawet jak sobie trochę poszaleję po mieście moim fiatem, to mam w tym interes, żeby podobny do mnie jełop nie wbił mi w pysk swojego fiata. Lubię, kiedy inni zachowują się przyzwoicie. I to jest powód, dla którego odpowiada mi generalna zasada odpowiedzialności. W tym stanie sumienia i rzeczy, nie za bardzo się nadaję do zmiękczenia przy pomocy jakichkolwiek argumentów. Niech mi pan na ten luksus pozwoli — powiada i przypatruje mi się bystrym oczkiem. — Pana znajomek trochę sobie pohulał, ale się okazało, że nie miał szczęścia. A że tu idzie o niego, a nie o mnie, wystąpię, jak Pan Bóg przykazał, w przyszłym procesie.

— Nie pozostaje nic innego, jak uszanować niezłomność zasad pana doktora — mówi Pan Waław. — Prywatnie mówiąc, szanuję takie poglądy szczerze wyłożone. Zależy mi jednak nie tyle na bezkarności tu obecnego członka rodziny, z którą się przyjażnię, ile na tym, żeby nie został potraktowany przez sąd jak zwykły chuligan. Postępek, jakiego się dopuścił, nie jest dla niego typowy. Po prostu przestał się kontrolować.

— Po paru głębszych, co? — śmieje się doktor Munia.

— Niech pan sobie wyobrazi, on wcale nie pije.

— Coś podobnego! A mnie się wydawało, że ten abstynent był wczoraj podniecony alkoholem.

— Nie, on nie pije. Proszę pana — powiada teraz Pan Waław. — Czy mogę pana prosić o drobną radę?

Doktor Munia wytarł ręce w szmatę.

— Mam jeszcze — mówi — to i owo do zrobienia i nie mogę przedłużać wizyty panów. O co idzie?

— Czy jest jakikolwiek sposób, żeby poszkodowany zrezygnował z wniesienia skargi?

Doktor się zamyślił.

— Ja panu powiem szczerze — mówi po jakiej minucie. — Gdyby pana podkomendny trafił na mnie i gdyby, tak jak tu stoi, przyszedł z przeprosinami, prawdopodobnie dałbym mu w zęby i spuścił ze schodów, ale sprawy bym z tego nie robił. Tylko on pobił niewłaściwego człowieka. Pan, panie mecenasie, wygląda mi na człowieka inteligentnego, a pan tego nie wyczuł. Mój kolega, skąd inąd niezły chłop, to typowy doktryner. Wierzy w zasady. W sprawiedliwość. Tej sprawiedliwości będzie się domagał do upadłego. Krótko mówiąc, ja bym się nie podjął namawiać go do zaniechania procesu, nie wierzę też, żeby panu w jakikolwiek sposób udało się coś wskórać. Niech pana podopieczny weźmie dobrego adwokata, jeżeli pan sobie nie ufa.

Pan Waław niby się zamyślił i powiada cicho do doktora:

— Rzeczywiście jest nieprzejednany. Czy nie ma on żadnej słabostki? Rozumie pan, w obronie mojego podopiecznego muszę być trochę cyniczny. Chciałbym w coś trafić.

Doktorowi się to nie spodobało.

— To zaczyna być niesmaczne — powiada. — Kolega ma słabostki. Między innymi tę, która wam nie ułatwi sprawy. Ma też inne, ale to są jego sprawy prywatne. Muszę już panów pożegnać.

— Moment jeszcze — powiada Pan Waław.

— Panowie! Nie mam czasu! Poza tym trafiliście na mój nie najlepszy humor. Jestem wściekły, nawaliła mi pompa olejowa. Jutro mam wyjazd do Warszawy, całe popołudnie biegam po mechanikach i sklepach. Nowej nie mogłem dostać, starej mi nikt na jutro nie naprawi. Szlag mnie trafia. Dwóch, panie, rzeczy nie lubię: niedysponowanej kobiety w łóżku i samochodu rozkraczanego w garażu. W tej sytuacji wizyta panów mnie nie bawi.

— Ma pan fiata, panie doktorze? — pyta Pan Waław cicho.

— Tak. 125 P.

— Potrzebny jest panu na jutro?

— Na jutro.

— Telefon ma pan w domu, panie doktorze?

— Jest — powiada doktor Munia zaskoczony. — Zna pan miejsce, gdzie można telefonicznie zamówić części samochodowe z dostawą do domu?

— Proszę pana — mówi do niego Pan Waław. — Skoro w sklepie pompy olejowej nie ma, to ja ją mogę panu załatwić. Jeżeli, oczywiście, pan sobie tego życzy.

Doktor mało sobie nie przejechał szmatą po oczach.

— Czy sobie tego życzy? Panie, ja mam jutro w Warszawie parę ważnych spraw. Bez samochodu tylko sięść i wyć!

— Niech mi pan udostępni telefon — mówi spokojnie Pan Waław.

— Proszę bardzo. To może panowie zdejmą płaszcze?

— Niestety, czas nam nie pozwala.

Doktor pokierował nas do pokoju. Pan Waław siadł przy telefonie, palcem w reniferze wykręcił numer, doktor się jemu przypatrywał.

— Pochwalony — mówi Pan Waław do telefonu. — Mojemu przyjacielowi niezbędna jest pompa olejowa do fiata. Tak, 125. Z dostawą, wmontowaniem i z gwarancją. Na dziś wieczór. Zaraz podam.

Kładzie słuchawkę na biurko, ściąga renifera i wydłubuje z kieszeni kartkę personalną.

— Obrońców Stalingradu szesnaście, lokal dwadzieścia trzy — nadaje i nie patrzy na doktora, on tylko kiwa głową, że adres dobry i Pan Waław kładzie słuchawkę na telefon.

— Coś podobnego! — powiada doktor. — Niesłychane! Jak z bajki!

— Za pół godziny będzie pompa i mechanik — informuje go Pan Waław.

Doktor położył szmatę na biurko.

— Komu mam zapłacić? Panu, czy temu mechanikowi?

— Nikomu, proszę pana. To może pójść w nasze koszty.

— Oczywiście, nie będzie to prezent, jeżeli dobrze rozumiem — powiada doktor.

Pan Waław założył renifera.

— Czasem się zdarza, że świadek w czasie rozprawy nic istotnego nie wnosi. Lepiej by było w ogóle, żeby na rozprawę nie szedł.

— Zdumiewające! — powiada doktor Munia. — Ja będę miał pompę do fiata, a zapłaci za nią mój kolega!

— Poszkodowanemu, jeżeli się nie będzie nierozsądnie upierał, skłonni jesteśmy dać innego rodzaju satysfakcję, zamiast sądowej.

— A jeżeli ja się nie zgodzę? — powiada doktor nie za śmiało.

— To mechanik odwiezie pompę z powrotem. I nie będzie pan miał sprawnego wozu ani na jutro, ani za tydzień.

— Mogę też — powiada doktor Munia — rano zadzwonić do prokuratora i oskarżyć panów o próbę przekupstwa.

— Byłoby panu, doktorze, trudniej o świadków, niż pańskiemu koledze.

— No, tak. Rozumiem.

— Zatem akceptuje pan transakcję?

Doktor się roześmiał.

— Nie zgadnie pan, dlaczego? Tylko dlatego, że stronię od doktrynerów. I to jest we mnie silniejsze od solidarności. A mój samochód, dobrze się dla panów składa, bardzo nie lubi cierpieć z powodów doktrynalnych. On chce mieć pompę olejową, tam, gdzie trzeba.

— Pana samochód zasługuje na więcej, niż pompa. Gdyby miał znów kłopoty, niech pan o nas nie zapomina — powiada Pan Wacław. — I jeszcze jeden mały warunek: proszę mnie upoważnić do oświadczenia pańskiemu koledze, że nie będzie pan świadkiem w procesie.

— Oczywiście, będzie mi to na rękę.

— Dziękuję i wobec tego pożegnamy pana.

Doktor się teraz trochę przestraszył.

— Ten mechanik na pewno trafi z pompą?

— Pana fiat będzie za dwie godziny na chodzie. Do widzenia.

Doktor Munia odprowadził nas grzecznie do drzwi; tam Pan Wacław nałożył piłśniak i jeszcze popatrzył na niego.

— Przepraszam za dodatkową uwagę — powiada. — Od niezłomności pana poglądu na doktrynerstwo zależeć będzie przez pewien czas ogólne zdrowie pańskiego fiata. Życzymy mu obaj najlepszego.

— Tak, oczywiście, dziękuję — mówi prędko doktor. — Już myślałem, w jaki sposób zabezpieczyć pan swoje prawa. Niech pan będzie spokojny.

Ze schodów na ulicę wychodzimy w lepszym humorze.

— Na razie — powiada Pan Wacław — idzie zgodnie z planem. Z lekkim odstępstwem od legalnej metody, ale zasadę należy ugiąć na rzecz końcowego efektu. Ja też od urodzenia nie lubię doktryn. Nasz doktorek jest niegłupi.

— Taryfę trzeba wziąć do trzeciego. Kawał drogi tam będzie — mówię.

— To prowadź na postój.

Znajomą furmankę złapaliśmy po drodze. Furman wykręcił zaraz dyszlem w dobrą stronę.

— Golców samych, kurwa, wożę dzisiaj — powiada do Pana Wacława. — Za pół złotego człowieka do kolegium zakapują. Śruby ci, kurwa, z karoserii by powyciągali, jak nie masz wydać. Co jeden buc, to ważniejszy. Dziady, kurwa, i chamy!

— Dwieście państwowych taksówek — mówi do niego Pan Wacław — ma iść od nowego roku do obsługi miasta.

— Dziady, kurwa, i chamy — klepie pacierz woźnica. — Trzeba się będzie rozejrzeć za nowym fachem, na państwową robotę iść. Osiem godzin i cześć. Do jakiego dyrektora za dorózkara. W białych rękawiczkach, kurwa, w czystym chomacie będę jeździł. Nawali co, nie będę włożył pod wóz na mrozie. Mechaniki zrobią wszystko w dyrektorskiej limuzynie. Albo ci się kto, kurwa, pod wóz pcha na czerwonych światłach. Dziady, kurwa, i chamy! Gdzie potrzeba stanąć?

— Może być przy tym kiosku — powiadam.

Wyłazimy z Panem Wacławem, mży trochę, idziemy podgniłą alejką z jesionami, z bzami, z krzakami oślizłymi od mokra jak ślimaki. Tu pod wskazanym adresem chałupka stoi niezła, z oknami szerokimi, z płotem żelaznym od złodziei. Trzeci nasz świadek mieszka dobrze, chyba to jego schron jest, myślę. Dajemy sygnał o przybyciu gości, czekamy. Pan Wacław podnosi piłśń, głowę mżawką odświeżyć.

— Konceptu mi brak na trzecią wizytę. Męczący dzień — powiada. — Trzeba dobrego adwokata takie układy prowadzić, giąć się, miąć, stosownie do potrzeby. Jeżeli go nie załatwie w dziesięciu zdaniach, pójdziemy na całego. Zaczyna mnie to mierzć.

Nasz trzeci świadek dociągnął przez korytarz do drzwi i przekręcił zamek; drzwi się nie otworzyły do wejścia, wisały jak pies na grubym łańcuchu. Patrę w szparę, jest mój Apollo, teraz zem go poznał. A nasz nowy znajomy trzyma drzwi krótko na łańcuchu, że mu się ciekawe wejście w nich nie mieści.

— Dobry wieczór — mówi Pan Wacław i podnosi delikatnie piłśń, żeby mu się mżawki za dużo na głowę nie nasypało. — Pozwoli pan na parę słów?

— Do mnie? — pyta Apollo. — W jakiej sprawie?

— Doszło wczoraj do godnego ubolewania przypadku.

— O co idzie? — warczy Apollo znad łańcucha.

— Pobito w restauracji pańskiego przyjaciela.

— Tak. Owszem. Pan ma coś z tym wspólnego? Nie? To w jakim charakterze pan się u mnie zjawia? Kto w ogóle dał panu mój adres?

— Wskazał nam go niechący poszkodowany.

— Wam? Kto tu z panem jest?

— Wczorajszy winowajca.

Teraz gościnny gospodarz wysłepił mnie zza Pana Wacława i przyjrzał mi się dobrze małymi oczkami, jakby były tak samo jak drzwi skute łańcuchem.

— Coraz piękniej — powiada. — Wczoraj bez powodu ude-

rzył człowieka, a dziś zjawia się w towarzystwie pana u mnie i chce, żebym go wpuścił do domu. Wybacz pan, nie zrobię tego.

— Niezbyt zręcznie rozmawiać przez drzwi — mówi Pan Wacław.

— Trudno. Fizyczny kontakt ze mną wykluczam. Słucham pana?

— Poszkodowany ma zamiar wystąpić do sądu z prywatnym oskarżeniem i podać pana jako świadka.

— Nie pochwalam tego. Nie lubię się włączyć po sądach. Sprawa jest jednak tak oczywista, że nie odmówię koledze. Słucham pana?

— Chcemy uniknąć tej sprawy.

— Oczywiście — powiada Apollo. — Na miejscu winowajcy też chciałbym się wymigać. Na pewnym poziomie to jest normalne. Ale skoro ofiara napaści nosi się z zamiarem wszczęcia sprawy, muszę dla zasady jego decyzję poprzec. I nie widzę związku między tym faktem i wizytą panów. Słucham?

— Pana znajomy, panie doktorze...

— Docencie — powiada Apollo.

— Z przyjemnością. Pana znajomy, panie docencie, obstaje przy procesie. Proces może się odbyć tylko w przypadku, kiedy zgodzi się pan być świadkiem.

— Kolega jeszcze mnie o to nie prosił, ale właśnie pod wpływem rozmowy z panem zdecydowałem się wyświadczyć mu tę przysługę. Co ma pan jeszcze do powiedzenia?

— Występuję, panie docencie, jako pełnomocnik prawny obecnego tu, przyszłego oskarżonego.

— Gratuluję.

— Chcę pana poinformować, że mój mocodawca został sprowokowany.

— To bzdura. Byłem świadkiem incydentu. Nie zauważyłem niczego, co by mogło kogokolwiek sprowokować. Chyba że kogoś sama czyjaś obecność drażni. Jako psychiatra jestem w stanie to pojąć, ale z prawnego punktu widzenia są to reakcje niedopuszczalne.

— Mój klient został sprowokowany.

— Dobrze — powiada Apollo. — Słucham. Niech pan mówi krótko.

— Jest człowiekiem niewykształconym.

— To widać.

— Jako człowiek bez wykształcenia, jest drażliwy na punkcie swojego mankamentu.

— To często się zdarza. W jaki sposób został sprowokowany? Przez kogo?

— Panowie prowadzili rozmowę o różnicach w poziomie inteligencji.

Apollo się zastanowił.

— Tak, istotnie — powiada. — Przypominam sobie. Ale rozmowa nie miała związku z jakimkolwiek konkretnym przypadkiem. Nie roztrząsaliśmy stopnia inteligencji pańskiego mocodawcy. Rozmowa miała charakter teoretyczny.

— Nie mniej, mimo wyraźnego braku takiej intencji, mogła być obraźliwa dla przypadkowego słuchacza, który ma kompleks właśnie na tym punkcie.

Apollo się teraz podenerwował.

— Panie! — powiada i trzęsie łańcuchem. — Jako prawnik musi pan wiedzieć, że niedopuszczalnym społecznym zagrożeniem jest osobnik reagujący w ten sposób na rozmowę, która go nie dotyczy, i to jeszcze przy stole w restauracji. To się wręcz domaga interwencji sądu!

— Rozmowa, powtarzam, była tego rodzaju, że w moim mniemaniu człowieka o niewielkiej inteligencji mogła stanowić obrazę.

Apollo jakby się wnerwił jeszcze silniej, ale się zaraz pohamował.

— Dobrze — mówi. — Załóżmy, że dla szczególnie drażliwego osobnika, z winy jego braków umysłowych, nasza rozmowa mogła stanowić obrazę. To jest ludzki punkt widzenia. Ale to nie nadaje się na argument w sądzie.

Pan Wacław podniósł pilśń i przygładził włosy rączką parasolki.

— Muszę panu jako adwokat przyznać, że to istotnie żaden ważki argument. Ale może stanowić okoliczność łagodzącą.

— Na poparcie przyjętej przez pana linii obrony potrzebni by byli świadkowie.

— Mamy czterech świadków, panie docencie.

— Czy tej samej, mówiąc delikatnie, wartości umysłowej, co pański wrażliwy podstuchiawcz?

— Na tyle w każdym razie przydatni obronie, że potrafią powtórzyć nie tylko pojedyncze zdania, ale również zrekonstruować rodzaj poglądów, jakie panowie wyrażali wczoraj w kwestiach mających aspekt społeczny, a nawet klasowy.

— Wyraźny szantaż — powiada Apollo.

— Panie docencie — mówi teraz spokojnie Pan Wacław. — Jako prawnik z pewnym doświadczeniem, chcę uniknąć sprawy, która może się skończyć niekorzystnie dla mojego klienta, albo się przemienić w zwykłą pyskówkę. Poza tym, jako adwokat,

mam obowiązek prowadzić obronę skuteczną. Sprawa ma być wniesiona z oskarżenia prywatnego i dlatego wolno mi czynić starania, aby do tego nie doszło. Cięży na mnie również powinność moralna. Przez zwykłą solidarność ze światem ludzi wykształconych, chcę oszczędzić panom przykrych doświadczeń. Rozumie pan: sprawa nie jest czysta. Obrona będzie musiała położyć nacisk na pewne niuanse teoretycznej rozmowy panów. A nuż, jak to bywa, przyplącze się jakiś znudzony dziennikarz i w sprawozdaniu z tej nietypowej sprawy uwypukli te właśnie subtelności? To by nadało sprawie niepożądany rozgłos. W razie przegranej obrona będzie apelować i dziennikarz tym sposobem będzie miał dwie szanse. Czy w tej sytuacji dogadza panu rola świadka?

— Przyznaję — powiada po dłuższym namyśle Apollo — że tego rodzaju publicznej prezentacji wolałbym uniknąć. Przykro mi, ale chyba i za cenę odmowy koledze. Przekonał mnie pan.

— Jeszcze dzisiaj będę się widział z poszkodowanym — mówi Pan Wacław. — Czy upoważnia mnie pan do zakomunikowania mu pańskiego stanowiska?

Apollo jakby się trochę przyrumienił.

— Tak — powiada. — Pojutrze mam ważne sympozjum. Nie będę miał okazji oznajmić mu tego osobiście. Będę panu zobowiązany.

— Mam nadzieję, że zdania już pan docent nie zmienia?

— Jestem mocno zajęty, nie będę miał czasu myśleć o drobiazgach. Poza tym, rzeczywiście, z powodów osobistych i zawodowych, nie powinienem narażać się na osławienie. Uświadomił mi pan również, że człowiek powinien swoje problemy roztrząsać sam, w żadnym razie nie w restauracji, gdzie podsłuchują drażliwi osobnicy. Dziękuję za naukę i muszę pana pożegnać.

Pan Wacław ostatni raz przytrzymał piłśniak nad głową.

— Poszkodowany jest człowiekiem trudnym i nieprzejeźdnym. Będę mimo to starał się dać mu satysfakcję — powiada docentowi. — Nie mniej mój klient, panie docencie, ma subiektywne poczucie krzywdy. Przeżywa pewnego rodzaju kryzys. Odwiodłem go od myśli o kontrooskarżeniu.

— Rozumiem — mówi Apollo. — Oczywiście.

I przez drzwi skute łańcuchem wyciąga szuflę z mankietem i spinką.

— Przepraszam pana — mruczy do mnie i funduje dłoń.

— Bardzo mnie przyjemnie szanownego pana bliżej poznać — powiadam do niego i przytrzymuję mu szufladę za długo między drzwiami.

Apollo szybko ją chowa do swojej ładnej chałupy i zatrząskuje drzwiami.

— Smród z głowy — mówi Pan Wacław, jak wyruszyliśmy spod pałacu. — Przy takim powodzeniu u świadków nie powinniśmy trzymać w nieświadomości głównego bohatera.

— Mamy tam do niego jeszcze iść? A jak zawezwie milicję?

— Milicja nie będzie mieć podstaw. Przysiadamy jeszcze raz z przeprosinami, w razie czego nikt nie jest nachalny. To my cierpimy od niego upokorzenia.

Taryfą na mój koszt jedziemy na bis do mojej ofiary. Dzwonimy do drzwi, otwiera nam ta jego ślubna bruneta. Patrzy na nas, poznaje, zaraz chce zamknąć drzwi, ale Pan Wacław grzecznie przytrzymuje wrota lakierem.

— Męża nie ma — powiada ona i popuszcza zawiasów, nie za bardzo wie, co robić.

Pan Wacław w pilśniaku na głowie wchodzi do przedpokoju, ja za nim.

— Lepiej by było, żeby był — mówi. — Mam mu do przekazania ważną wiadomość.

Bruneta patrzy na mnie, widać, się boi wpuścić bandytę do lokalu.

— Tego człowieka — powiada Pan Wacław — niech się pani nie obawia, Jemu nie co dzień przychodzą do głowy głupstwa. Rzadko ma kłopoty.

— Nie wiem — mówi bruneta; przypatruje się teraz Panu Wacławowi, jego pilśniakowi siedzącemu zgrabnie na głowie, reniferom na rękach, parasolowi. — Mąż pewnie nie będzie chciał rozmawiać jeszcze raz panami.

— Niech pani powie, że mam dla niego informacje z pierwszej ręki.

Ona się jeszcze nie rusza, tylko patrzy na Pana Wacława; widzę jak powoli dostaje lekkiego świerzbu w oczach, podoba jej się zadbany, elegancki chłop, co wsadza nogę w zawias.

— Niech go pani poprosi — powiada jeszcze Pan Wacław.

Poszła po sztywniaka. Coś musieli ze sobą rozmawiać, wyszedł dopiero za minutę; Pan Wacław i ja staliśmy w przedpokoju jak służba. Popatrzył na nas, zeszytniał, jak mnie jeszcze raz zobaczył, i krew go trochę zaczęła zalewać.

— Proszę pana — powiada zaraz do Pana Wacława. — Jeszcze raz chcę pana prosić, żeby nikt mnie nie nachodził w moim domu.

— To jest po prostu skandal! — dodaje mu zaraz otuchy oparta o drzwi do pokoju żona-bruneta. — Trzeba mieć trochę umiaru i taktu! Z jakiego świata przychodzicie obaj?

Pan Wacław zdejmując pilśń i się kłania obojgu.

— Byliśmy rano z przeprosinami, z należną skruchą i ubolewaniem. Przykro mi, że jeszcze raz nachodzimy państwa.

— Powiedziałem, że nie zadowolę się żadnymi przeprosinami. Dane personalne tego osobnika kryjącego się teraz za pana plecami mam. Jutro idę do zespołu adwokackiego i mam nadzieję spotkać panów dopiero w sądzie. Ostrzegam, że pójde na milicję, jeżeli jeszcze raz zadzwonicie do moich drzwi!

— Jak tak można! — powiada zaraz bruneta, a oczy jej tańczą po Panu Wacławie. — Bić bez powodu nieznanego człowieka, a potem nachodzić go uporczywie z przeprosinami! Tamten pan rzeczywiście lubi się kryć za plecami!

No, to ja wyszedłem przed Pana Wacława; wielki uczony się cofnął, jego ślubna też.

— To nieporozumienie — prostuje sprawę Pan Wacław. — Rano rzeczywiście przychodziliśmy z przeprosinami. Teraz chcemy pana poinformować, że sprawy sądowej nie będzie. Chyba że pan chce złego przedstawienia.

Wielki uczony patrzy na Pana Wacława.

— Sprawa sądowa będzie i pański podopieczny będzie musiał odpowiedzieć za napaść. Ja tego płazem nie puszcze. Niech pan nie myśli, że się dam ubłagać. Możecie tu przychodzić co dzień. Zasady społecznego współżycia muszą być przestrzegane!

Pan Wacław się uśmiecha.

— Proszę pana — mówi mu. — Zasada, którą ma pan na myśli, wymaga istnienia zasad wspomagających. Sprawa się nie odbędzie z braku świadków.

Teraz się uczony wielki śmieje i bruneta w drzwiach.

— Z braku świadków? Świadców mam trzech. Wystarczy?

— Muszę pana rozczarować — odpowiada Pan Wacław. — Byliśmy dzisiaj nie tylko u pana. Odwiedziliśmy wszystkich trzech pana znajomych. Żaden nie chce być świadkiem. Zarysowały się istotne różnice w spojrzeniu na sprawę.

Uczony zdjął okulary, popatrzył na Pana Wacława rozmiękłymi oczami.

— Zwykły bluff — mówi. — Znam ich nie od dziś. Nie wierzę, żeby się dali zastraszyć.

— Znam się wystarczająco na prawie — powiada Pan Wacław — żeby nie ryzykować, samemu sprawy karnej. Nikogo nie straszyłem. Rozmowy przebiegały zgodnie z prawem. Tylko że tamci, to naukowcy. Patrzą na rzecz obiektywnie, z uwzględnieniem wszystkich punktów widzenia. Wszyscy trzej doszli do jednomyślnego wniosku, że sprawa jest trudna do wygrania. Poz-

woli pan, że się nie będę wdawał w szczegóły. Pożegnamy już pana.

Uczony wielki wsadził okular na nos, zrobił się czerwony, jego bruneta zeszytniała w swoich drzwiach.

— Niech pan poczeka — mówi moja ofiara Panu Wacławowi. — Ja zaraz do nich zadzwonię. Przekona się pan, że kłamstwo ma krótkie nogi.

— Niech pan nie idzie — radzi Pan Wacław. — To są pana znajomi, będzie panu przykro wysłuchiwać odmownych odpowiedzi. Wszyscy trzech upoważnili mnie do złożenia panu oświadczenia w ich imieniu, że nie chcą figurować na liście świadków.

— Kłamstwo! — drze się teraz uczony.

Idzie do pokoju, za nim skołowana bruneta, ja i Pan Wacław też idziemy: zapięcie ma być widoczne. Naukowiec bierze słuchawkę i wykręca sobie pierwszy numer.

— Cześć — mówi — tu Ryszard. Mam u siebie niepożądanych gości. Twierdzą, że nie chcesz być moim świadkiem.

Tamten coś odpowiada, wielki uczony kładzie okulary na biurko, zakłada szkiełka z powrotem na nos, przybladły rzuca słuchawkę na telefon. Bruneta patrzy na niego.

— I co? — pyta.

— Mówią prawdę.

Podnosi słuchawkę i zaczyna wykręcać drugi numer.

— To nie ma sensu — powiada i kładzie słuchawkę. — Pierwszy raz w życiu spotyka mnie takie świństwo! — mówi do brunety.

— Nie miał pan takich przypadków? — dziwi się Pan Wacław.

— Pierwszy raz.

— Przykro mi. Człowiek się musi liczyć z odmową pomocy, kiedy jej najbardziej potrzebuje.

A uczony wielki rumieni się jeszcze, blednie.

— Coś podobnego! — powiada. — Co za draństwo!

My z Panem Wacławem wracamy skromnie do drzwi w przedpokoju, oni we dwoje idą za nami jak powiązani sznurkiem. Pan Wacław zaczyna przekręcać zamek, czas nam już było iść, ale się obraca do uczonego.

— Proszę szanownego pana — mówi. — Przykro nam. Ale ja mam do pana parę ludzkich słów. Ten człowiek pana przeprasza. Jeżeli chce pan od niego pozasądowej satysfakcji, jest do pana dyspozycji.

— Satysfakcji? — pyta wielki uczony. — On mnie? Jakiego rodzaju satysfakcję może mi w tej sytuacji zaproponować?

— Nie wiem — mówi Pan Wacław. — Nie musi się pan decydować teraz. Możemy się do pana zgłosić jutro, pojutrze, za tydzień.

— Satysfakcji! — powiada wielki uczony znowu.

Kolorki goniły się jeszcze po naukowym obliczu i ręce mu się trzęsły jak na mnie patrzył.

— Wie pan, że owszem — mówi nagle do Pana Wacława i posuwa do mnie. — Ja jemu tak samo dam w twarz!

Podnosi karcącą rękę sprawiedliwości, żeby mi przyłożyć i ja bym się może nie ruszył, ale jego bruneta zaraz w krzyk i Pan Wacław złapał jego pięczę rączką od parasolki, jak żem już prawie czuł fangę na mojej szczęce.

— Byłby pan popełnił zasadniczy błąd — powiada do uczonogo. — On by nigdy pana nie uderzył w swoim mieszkaniu.

Teraz zamknęliśmy za sobą drzwi i wyszliśmy na schody. Stamtąd, z wysokości, idziemy na ulicę.

— To chyba można mieć pewność, że sprawy dla mnie nie będzie? — pytam po jakim czasie Pana Wacława.

— Ty myślisz — odpowiada on — że ja ich tak słabo znam, że cały dzień bym zmarnował? Nic nie będzie.

W zadowoleniu dużym idziemy do domu do Pana Wacława. Tam na schodach cipi dalej Święta Teresa od Dzieciątka Jezus i pluje pestkami po podeście.

— Weź miotłę — mówi do niego Pan Wacław — i zaraz mi zmiąć to świństwo! Wolę mieć przy sobie dziesięciu bokserów niż jednego narkomana.

— No i co? — pyta w mieszkaniu Ataman. — Taktyka dobra była?

— Każda taktyka jest dobra na start i kiedy materia ludzka jest jednolita — odpowiada mu Pan Wacław. — A tu się liczyła tylko improwizacja i działanie twórcze przy każdym następnym kroku.

Wyciąga z kasetki piersiówkę i szkło do nalania.

— Męczy mnie ta ich niedojrzałość — powiada i leje nam po trochu. — Oni, ci nasi świadkowie, myślą, że ich solidarność i przyjaźń, to luksus duchowy dla upiększenia charakteru albo prezent kochanej cioci na imieniny. Można go dać, nie dać. To niech tak u nich będzie. U nas — powiada — to zasadniczy fundament działania, racja bytu naszego i dynamicznego rozwoju.

— Sprawy, znaczy się, dla Szpindla nie będzie? — pyta Święta Teresa i z uciechy pluje pestkami pod wyro Pana Wacława; on się po domowemu przebiera w pizamę.

— Jak ma w tej sytuacji być sprawa? Tamten się nie ma na kim oprzeć. Ja mu mam swoich ludzi pożyczać, a im wszystkim przybliżyć dobre zasady?

— No, to szulim! — woła Ataman i podnosi musztardówkę.
— Za dobrą pomyślność Pana Wacława!

Wypijamy wszyscy, a ja biorę lakiery Pana Wacława i wyczyszczam mu te skoki dobrze.

POCHÓWEK

Tata gnój ze stajni wywalał, ja żem na kobyłce siedział, ośnikiem stylisko nowe do wideł zbierał, Azor z łańcucha spuszczonego pysk w słońce jak w miskę z żarciem wsadził i go grzał, i ja żem się ośnikiem zaciął.

— Połamańca-kalekę będę w domu trzymał? Sobie nie myśl!
— powiada tata.

— Rękę to by w mig obstrugał — mówię.

Jak raz sołtys na podwórze zaszedł i Azor z ogonem podwinętym się do niego podniósł, go po swojemu od zadnej strony powitać.

— Kąsa on? — pyta się sołtys.

— Gdzie tam! — mówi tata i widły stawia. — A on tu czego? — powiada cicho do mnie. — Chce od nas co? Składkę jaką pisać?

Azor się tym czasem sołtysowi do nogawki przymierza, w mordę ją lepiej zbiera, sołtysa nazad za bramę wyciąga.

— A idź ty w kibinimater! — powiada on do Azora. — Weź go — mówi do mnie — zabierz! Portki mnie ostatnie z zadka zedrze! Gnój wywalacie? — pyta się taty.

— Gnój? — mówi tata. — Ja wiem? Coś się robi.

Sołtys się podparł przy tacie o framugę.

— Zanieś ośnik do chałupy! — drze się na mnie tata, prowadzi za ucho od kobyłki i powiada: — Idź, powiedz matce, Hance, niech się nie wydają, że jakie pieniądze w chałupie są. Musi on chce co od nas wydrzyć na darowiznę jaką.

To żem poszedł i mówię mamie, a mama: co on, głupi? Nie wiem, po co przychodzi? I ja zaraz do taty na podwórze. Sołtys tam sporty wyciąga, tacie jednego daje, tata powiada,

nie pali, to sołtys sam przypalił, kurzy, popatruje na gnój, na tatę, na Kasztana w stajni, ja myślę sobie, co on chce, tak samo Azor mu przy nogawce wartuje.

— Siał by co trzeba było — powiada sołtys do taty. — Ciepło się w powietrzu robi.

— Siał? — mówi tata. — Ja wiem? Może by co trza było.

I stoją oba, nic nie mówią. Tata popatruje na widły, na gnój, drewnkiem chodaki obskrobuje, nie wie, co by sołtys chciał, po co się po ludziach szwenda.

— Może by co tobie trzeba było? — powiada on. — Przydziału jakiego? Na budowanie budulca?

— Na budowanie? — pyta się tata. — Przydziału? Nie mam głowy, co by mnie budować było. Nie musi.

Tata stoi i sołtys stoi, buta sobie ogląda, czy gdzie w gównu nie wlaź. Azor przy nogawicy mu stróżuje, złodzieja na kilometr wyniucha, może mu od sołtysa czym słyszeć, myślę. A sołtys się po kieszeni maca, papier w niej jakiś przekłada, ale go nie wyciąga, nie pośpiech mu, pieczęcie tak samo po kieszeniach nosi, mazanie do nich niebieskie w puzderku.

— Matka twoja — powiada znów do taty — z Mazgajów ona była?

— Kto? Matka moja?

— No. Nieboszczka.

— Z Mazgajów? — pyta się tata.

— No. Z Mazgajów czy ona?

— Kto? Matka moja? — dziwuje się tata. — Ona przecie nie żyje. Dziesięć lat będzie, jak żem ją pochował. A bez co pyacie, czy ona pomała?

— Że się jej pomało, to ja wiem. Mnie ciekawość tylko, czy ona z Mazgajów była?

— Matka niby?

— No — powiada sołtys.

— A co ona zawiniła? — pyta się tata. — Zapisane co po niej do płacenia jest?

— Zapisane nic nie jest. O to się tylko rozchodzi, czy z Mazgajów była?

To tata się na widły patrzy, na Azora się patrzy, na mnie.

— Ja wiem? — powiada. — Jak mój dziadek ze strony matki Mazgaj był, a ona była jego córka, to mogła być ona i z Mazgajów.

— O to się mnie rozchodzi. Ostań we zdrowiu — powiada sołtys.

Azor go zaraz za nogawkę do bramy zaprowadza, a tata się za nimi dwoma patrzy.

— Co on tu za czym niuchał? — pyta się mnie. — Widział żeś co?

— Nic żem nie widział — powiadam. — Na tatę się patrzył, na Azora, gnojowi się przypatrował, Kasztanowi we stajni, może mu się rozchodziło, czy my tu jeszcze siedzimy? Może mu kto mówił, że my już pomarli?

— O twoją babkę się pytał.

— A co? Miał nic nie gadać, tylko przepatrować jak u złodziei? To się pytał, co sobie zapamiętał.

— Musi twoja prawda — powiada tata i dalej gnój wywala.

A z rana na drugi dzień sołtys znów w bramę włązi.

— A idź ty w kibinimater! — powiada do Azora. — Jeszcze mnie co zmarnujesz albo obeszczysz! Tata w chałupie? — pyta się mnie.

— Musi w chałupie.

— Idź, wołaj go! — powiada. — Sprawę mam.

No, sobie myślę, ja tu nie będę po tatę chodził, ciebie samego zostawiał. I ośnik leży i widły, i gacie taty na drucie od Azora wysychają przy studni; zapodzieje się co, gdzie będę za czym chodził? Jak raz Włodek Dumień zdłużył płotu laź.

— Bierz go! — powiadam Azorowi, to on do płota, obszczekuje Dumienia przez dronki, szczek ma jak lew jaki. Tata z chałupy wyłazi i się patrzy.

— Kto tu, job jego raz, po obejściu znów wacha? — drze się z ganka.

— Sołtys do taty przyszedł — mówię. — Sprawę, powiada, ma.

Tata z ganka zlaź i oba się przywitawszy przy studni przy-marży, stoją długo, nic nie mówią jak wczoraj przy gnoju.

— Trzeba tobie co? — pyta się po jakim czasie sołtys. — Przydziału jakiego? Na budowanie budulca? Na co innego? Drzewa może tobie potrzeba?

— Drzewa? — pyta się tata.

— No. Drzewa. Z lasa. Nie trzeba tobie?

— A co by mnie takie drzewo na co było? Na krokwie? Do przetarcia?

— Do przetarcia choćby. Nie trzeba tobie?

— Ja wiem? — mówi tata. — Na co by mnie się takie drzewo przydało?

I znowu oba stoją, nic nie mówią. Sołtys z kieszeni sporty wyciąga, jednego tacie daje, tata powiada, nie pali.

— Z Mazgajów ona? — pyta się sołtys, widzę, ma jakiś papier w kieszeni, a go nie wyciąga.

— Kto z Mazgajów czy był? — pyta się tata.

— No. Matka twoja.

— Z Mazgajów — powiada tata. — I ona wszystko popłaciła. A pomału dziesięć lat będzie, jak żem ją chował.

— Siostrę miała jaką? — pyta się sołtys.

— Kto? Matka moja?

— No. Nieboszczka.

— Ja wiem? — mówi tata. — Nikt nie robił, jak była słaba, na jej polu. Tyle co ja i moja. To co by się kto miał do niej meldować? O spadek?

— Nie o spadek — powiada sołtys. — Tak się tylko pytam. Może ona kogo miała?

— Mieć mogła. Gdzieś w Ameryce siostra żyła. Stara ona była jak mama, to musi tak samo pomału.

Sołtys za papierem w kieszeni pomacał.

— Żyć ona może — powiada. — Gdzie indziej prędko nie wymierają. Życie mają inne.

— Jak dobrze ma, to może i żyje — godzi się tata. — A co mnie ona wadzi, żeby miała nie żyć? Nic mnie nie wadzi!

Sołtys zaraz poszedł, już myśleli nadobre, ale jutro o tej samej porze znów go przyparowało do nas. Azor obniuchał go tylko, poznajomili się widać. Tata zły na jego zachodzenie, nie bardzo mu się chciało wyłazić z chałupy, ale wyszedł.

— List do urzędu przyszedł — powiada zaraz sołtys. — Od ciotki twojej, z Ameryki. Umierać by tu chciała, na swojej ziemi być pochowana.

Tata się zadziwił.

— To one nie mają się gdzie chować? Żyć mają gdzie? Tu się na umieranie wracać będzie, jak jej tyle czasu nie było?

— Coś taki honorowy? — powiada sołtys. — Ciotka to twoja jest. List do urzędu przysłała, donieść jej, jakiego krewnego czy ma. Do ciebie tak samo by chciała, ugodzić się na pochówek przy ojcach swoich.

— Do dupy ze wszystkimi! — powiada tata. — Co tu? Za pochówek się nie płaci? Grabarz darmo łopatę wrazi w ziemię? Ona tam bez grosza, że się wybiera? Na pochówek to ja dla siebie nie mam, jakby na co przyszło, albo na babę. To jak ja dla kogo z Ameryki mam mieć? Skąd bym tyle nabrał?

— Ona pisze, że na pochówek by miała i jeszcze tobie nadgrodzić, Godzisz się ją przyjąć?

Tata się po głowie poskrobał.

— Co mam się godzić albo nie godzić — powiada. — Chce,

niech umiera, gdzie chce. Mnie do tego nic. Byle mnie obciążenia od niej, podatku jakiego od państwa nie było.

— Jakie obciążenie ma być? One tam zarabiają, dolary mają, nie przyjeżdżają na czym garnku dożywać. Bogate są. To co jej mają z urzędu napisać?

— Co chcą, niech piszą — powiada tata.

— Powiem, niech napiszą, że twoja matka pomarła, a ty że żyjesz.

— Co mam nie żyć? Żyję. Na swoim. A cmentarz we wsi jest. Ma pieniądze, to się ją pochowa.

— Ty żeś do końca zgłupiał! — powiada mama do taty wieczór. — Gdzie ona ma pieniądze? Musi jej nie lekko, to patrzy, przy kim by dożyć. A ja będę dzieciom odejmać?

— Co się drzesz? — powiada tata. — Przyjechała ona? Jeszcze się zobaczy.

Sołtys kazał w urzędzie napisać, że tata żyje. Ze dwa miesiące przeszło, już my wszystkiego zapomnieli, tata pług z szopy z rana wyciągał ziemniaki podorywać, jak Perlak listonosz w podwórze rowerem zjechał. Tata ze szopy się patrzy, jak go Azor za bramę wyciąga.

— Coś się mnie przywidziało, że do ciebie pisali — powiada Perlak i w torbę zaziera. — Ale jakoś nic nie widzę. A idź ty w kibinimater! — powiada do Azora. — Portki mnie z dupy urzędowe zedrzesz, będę do krawców za swoje chodził? Kto mnie uwierzy? Poszedł won!

Tata cepigi od pługa patrzy, czy się nie ruszają, Perlak rower postawia przy stodole, sporta zapala.

— Trocha — powiada — dobrej saradeli mam. Mogę tobie sprzedać.

— Saradeli? — pyta się tata. — Do zasiania?

— Do zasiania. Tanio sprzedam.

— Nie mam pieniędzy na zbyt — powiada tata.

— To się kiedy policzymy. Przecie nie wyjeżdżasz gdzie do Ameryki? Oddasz za rok, będzie dobrze.

— Za rok tak samo nie będę miał.

— U ciebie mnie nie przepadnie.

Tata na to nic, to Perlak na rower wsiadł i pokopując za siebie na Azora za bramę wyjeżdża.

— Sołtys — powiada tata. — Listonosz. Co one u mnie powąchały? Pachnidło jakie, że ich ze szosy wodzi?

— Ciotkę ma tata teraz w Ameryce — mówię. — Chcą się przypodchlebić, jakby czego dobrego poprzywoziła. Bogata może jest.

— Gówno nie bogata! Jak ona chce umierać, to ona nie bogata. Mizerota tak samo jak my. Na pochówek ledwo uzbierała, na bilety tu przyjechać.

— Czym by ona jechała? — pytam się taty. — Sputnikiem jakim amerykańskim?

— Jakim sputnikiem?

— No, na księżyc takim latawcem latały.

— Na księżyc? Do góry? I ty w to, głupi, wierzysz?

— Co mam nie wierzyć? Nie latały?

— Do dupy latały! — mówi tata. — Propaganda i tyle. Wyleciały w powietrze, pokręciły się gdzie nad polami, żeby ich parę godzin widać nie było, to zaraz mówią, na księżycu były, a głupie wierzą i im płacą.

— To czym ona z Ameryki przyjedzie?

— Ja wiem? Koleją musi.

— Jak morze jest między Ameryką — powiadam. — Dużo bardzo, okręty po nim chodzą. Okrętem jakim zjedzie? Zatonie jeszcze.

— Zatonie — powiada tata — to się nie będzie jej grzebać.

Nie było kiedy więcej gadać, bo my w pole poszli do obiadu i potem my jeszcze tam byli. To jak my wieczór do spania się kładli, ja leżąc przy Hance sobie myślę, może ona tu do nas i przyjedzie? Choć ona stara jest, myślę sobie, to jak tak jechać na same umieranie? Musi jej markotno, będzie chcieć nie dojechać za szybko na pochówek swój, na pogrzeb. Lat parę może zejść, jak się gdzie w koło świata wybierze, żeby nie zaraz było. Przed takim umieraniem to ja bym jeździł i jeździł, dopokąd by mnie pieniędzy na jeżdżenie było. I zaraz myślę sobie, jak ona jest nie bogata, to jej pieniędzy może zbraknąć gdzie w drodze, umrze gdzie w kraju nie naszym, do nas nie trafi? Spać żem przez te myślenie nie mógł, tak samo tata, słyszę, nie śpi, przy mamie się przewraca.

— Ciotka twoja ona jest — powiada do niego mama. — Nie honor jej będzie bez gościńca zawitać. Ma chyba jakie dolary naskładane. Przywiezie co.

— By co i mnie przywieźla — powiada Hanka. — Tam się u nich ubierają ładnie. Napisać by do niej co, słowo dobre jakie, pamiętała by co zabrać!

— Się baby namagają swojego! Nie wiedzieć, co ona za człowiek — powiada tata. — Kutwa może? Będzie wam zaraz darować! Spać! Jutro was do roboty pogonię. Obaczycie gościńca, jak nie będzie co z pola, z roboty waszej sprzedać!

Mnie by tak samo mogła co poprzywozić, nóż jaki dobry, piłkę do kopania, albo co, pomyślał żem sobie, i tak my trochę późno

spać poszli. Jak my rano wstali, to na wieczór Perlak do nas przyszedł.

— Byłem — powiada do taty — na dniu. Chałupa zamknięta, wszystkie w polu, to żem sobie pomyślał, wieczorem przyjdę.

— Saradeli żebym kupił? — pyta się tata. — Grosza nie mam. Na podatki, co miałem, poszło.

— Za rok mnie oddasz, będzie dobrze.

— Za rok tak samo mogę nie mieć — powiada tata. — Kontraktu żem z Panem Bogiem nie podpisywał. Bank za rok otworzę, żebym pożyczone płacił?

— Eee! — Perlak powiada. — Jak tak sobie myślę, może i w banku jaki grosz mieć będziesz? Różnie bywa. Jeden w totołotka wygrywa, inny w co innego, może i tobie jaki grosz przyjdzie większy liczyć? Co my? Jednakże żywot mamy wszystkie prowadzić? Nie porozsadzało naszego losu po zagranicach różnych, po wschodzie, po zachodzie? Może on czasem pod naszą strzechę ma prawo się zawrócić?

Tata się na niego popatrzył, a Perlak siedzi ważny jakiś. Będiesz tak prawil o saradeli, o losie porozsadzanym, myślę zaraz, a może ciotka już gdzie jest? Z zagranicy może czym dojeżdża? Gdzie pod Tamkami się od kolei na piechotę telepie? Mów ty zaraz! Patrzymy wszystkie na niego, a on jak jaki urzędnik przy stole się rozpościera.

— List masz — do taty powiada. — Jakoś się mnie przy robocie pocztowej roztworzył, ale w niem nie było, pieniędzy żadnych.

Wyciąga list z kieszeni w kopercie białej, długiej, ze znacznikiem, pieczęci na nim ze dwadzieścia.

— Masz — powiada. — Czytaj.

Tata list wciął, obejrzał, pomacał trochę.

— Czego? — powiada. — Przeczyta się. W niedzielę będzie więcej czasu, ze sumy się przyjdzie. Teraz trza koniom, krowom obrządek robić.

Tata list wsadził za obraz, wiadro do pojenia wziął z pomocy, do stajni poszedł. Perlak się na zadku zakreślił, chcąc nie chcąc do domu połażł.

W niedzielę po sumie, wróciwszy, tata list wyciąga zza obrazu, ogląda go, maca, mu się przypatruje.

— Szmat drogi jechał. Bez morze. Czytaj — powiada do mnie. — Do nas to jest pisane?

Nazwisko było taty, nasza wieś, jak się nazywa.

— Do nas — powiadam. — Z Ameryki.

— A skąd tak zaraz wiesz, że z Ameryki? Napisały, w kopertę wsadziły, powiedziały, że do nas, a ty zaraz, że z Ameryki!

— Znaczkę nie nasze są — mówi Hanka.

— Nie nasze? Mało to znaczków? Co to? Nie malują ich gdzie indziej za pieniądze sprzedawać?

— Amerykańskie pisanie na nich jest — mówię. — Nie nasze. O, US — czytamy — pisze, postage, pisze, piętnaście ce. Jeszcze napis jest: Oliver Vandell Holmes. To co ma być nie amerykański?

— Na Rusi albo u Niemców nie mają takich? — pyta się tata. — Co ty taki głupi?

— Dziecko się uwziął! — drze się mama. — Kazałeś czytać, to on tobie czyta, co napisane! Nie ciotka twoje pisała do urzędu? Nie od niej to jest?

— Od niej — powiadam. — Z tyłu na kopercie pisane jest, jej adres musi. Mrs Stephen Warkoczewski — czytamy.

— Kto? — pyta się tata.

— Warkoczewski.

— I to moja ciotka jest? Przecie to chłop jakiś! Mężczyzna!

To ja żem zgłupiał. Warkoczewski? myślę sobie. Co to ma być? Łysakowski, go znam, chłop jest. Kowalewski, ze mną do szkoły chodzi, jego ojciec chłop jest. Grabaszewski, nie ma żony, a chłop, portki jak rozpinał za stodołą, żem widział. Rajewski, chłop. To czego by Warkoczewski nie chłop, nie mężczyzna, a baba? Coś im się po drodze pokręciło. Patrząc na tatę, tata list wsadza za obraz.

— Idź — powiada do mnie — koniowi nasyp. Oszukaństwa nam porobiły.

— Nigdzie nie idź — mówi mama. — Do końca niech wiem, co w liście napisane. Co pisze na kopercie? — pyta się wzięwszy list z za obrazu.

— Adres jest — powiadam. — 44 Jackson Street South, Shreveport, La. USA — czytamy. — Usa to jest Ameryka.

— Dobrze — mówi mama. — Czytaj dalej, co we środku jest?

— Oszukaństwo czyste — powiada tata, do komory idzie buty niedzielne przesuwać, koniom dać.

— Czytaj! — mówi mama. — Co we środku pisze?

— On może nie da rady — powiada Hanka — amerykańskiego pisanie czytać?

— Pocałuj ty mnie gdzieś! — mówię.

— Czytaj! — drze się mama.

No, to ja czytam:

„Niech będzie pochwalony, witajcie krewne moje, ty Józek, żona twoja i dzieci twoje. Mnie odpisali z urzędu, do was ja piszę ten list. Żyję, jakem wyjechała, między obcemi ludźmi, całe moje życie mnie przechodzi. Teraz umierać mnie trzeba, siedemdziesiąt sześć lat ja kończę na dziesiąty September. Mąż mój Stephen Warkoczewski zmarł, a Polak był. Syn tak samo, chorobę miał, coronary trombosis, w aucie przez to zmarł, żonę miał Amerykankę, sama teraz jestem. Naszych nie jest za dużo w Louisiana State, bo to na Południu. Rzeka Red River w mieście płynie, życie dobre jest dla młodych. Ja bym przy ojcach chciała się chować, na cmentarzu w Krzemieniu, to wy mnie pochowajcie. Na pogrzeb ja wam przyślę, dopomogę, co by kosztowało. Napiszcie mnie, co wam potrzeba, ubranie jakie. Zdrowia wam życzę. Wasza ciotka Michasi zmarłej siostra. Mrs Stephen Warkoczewski, Marianna z domu Mazgaj. God bless you. Boże Wam Błogosław”.

— Ciotka — powiada mama i łyzy obciera. — Starowina. Dobra widać, jak i nieboszczka była. Niech przyjedzie. Pochowamy starowinę.

To ja we drzwi i do stajni.

— Ciotka ona jest! — powiadam tacie; stał przy Kasztanie ze zgrzeblem. — Marianna Mazgaj. Tamten to mąż jej nieboszczyk.

A tata zgrzeblem drze zad Kasztanowi.

— Nastąp się — mówi. — I co ona? Chce, żeby my ją chowali?

— Tak pisze. Miejsca tam nie ma dla niej. Obcych nie chowają w Ameryce.

— Gruntu musi im szkoda, mało go mają, na cmentarze dla nieboszczyków marnować — powiada tata. — Tak samo u nas. Jak się ludzi napleni, będziemy się wybierać na umieranie gdzie na Ukrainę.

— Pisze, żeby my napisali, co nam potrzeba. Będzie wysyłać.

— Gównu będzie wysyłać — mówi tata. — Tak pisze, żeby my jej nie odmówili.

— To nie można napisać, co by trzeba było? Jak oszukaństwo jest jakie w tym liście, to będzie zaraz wiadome. Co by nam trzeba było?

— Ja wiem, co? — powiada tata. — Chałupę mamy, starą, bo starą, nowej nam z Ameryki nie zapakuje, nie przyśle. Konie

dwa są, krowy są, ziarna nam dobrego nie przyśle, traktora tak samo.

— Pieniędzy niech wsadzi w paczkę. Będzie nam co potrzeba, same pokupimy.

— A mnie ich na co? — powiada tata. — Na złakomienie ludzi, żeby do nas przychodzili wachać? Będą się cisnąć, wypychać, sprzedawać, co nam nie potrzeba? W polu nie będzie kiedy robić.

I tyle było naszego gadania, dopiero jak my spać poszli, mama do taty zagadała.

— To jak ją chować będziemy? — pyta się. — Plac na cmentarzu kupić, księdza płacić, grabarza, wszystko. Koszt będzie, niech ona co przyśle.

— Tobie, jak co chcesz, to pisz, skamlaj. Nie będę z ciotką pochówkiem handlował. Nie ma się gdzie ułożyć, niech tu umiera. Desek ja parę mam, na szalowanie się podbierze, dużo tego?

— Tobie nigdy nie trzeba! Dzieciom twoim tak samo nie trzeba? Obdarte chodzą? Hankę będziesz wydawał, to ją w kufajce do ołtarza puścisz?

— Musi się wydawać? — pyta się tata. — Źle ma przy nas? Nie ma dla niej na czym robić? Pola nie ma? U obcych ma harować, w domu niech siedzi.

— Jak ty tak gadasz, to trzeba spać iść. Jak żeś mnie brał, toś się wypytywał, co ci za mną dadzą? A córce nie pomyślisz?

Na to Hanka leżąc przy mnie w łóżku wzięta chlipać, pod pierzynę z łbem włożyć, gorąc od niej nie do zniesienia, miejsca nie ma leżeć.

— Idź ty w kibinimater! — powiadam do niej. — Miejsca mnie na spanie daj! Gdzie się z dupą rozpościerasz? Telewizor by my jaki kupili — powiadam. — Filmy grają, jest na co popatrzeć.

— Telewizor? — mówi tata. — Żeby mnie, kto chciał, do chałupy z gadaniem włożył? Z pokazowaniem, co chce? Żeby mnie w chałupie pyskował głupoty swoje? Widzę, ja się przy waszej pazerności nie wyśpię — mówi. — Na siano idę, a wy tu nożem dzielcie te amerykańskie dobrocie. Jak wam będzie dość, to ja się na was popatrzę.

I tata na siano spać poszedł, ja żem przy Hance zasnął, a mama musi długo nie spała.

— Chcesz od niej co, nic nie chcesz — powiada do taty na drugą niedzielę, — twoja sprawa. Odpisać wszystko jedno ciotce trzeba, ona tam czeka nowiny. Niech nie pomyśli, że my jakie pogany bez serca, nie chcemy ją pochować.

— To pisz do niej. Ja się nie będę w wasze kalkulacje

na krewniakach wdawał. Albo Hanka niech pisze, do kiecki jej ślubnej pilno. Za kogo ty się wydawać chcesz?

— Za nikogo — powiada Hanka poczerwieniona na gębę; sekrety ja jej trochę znam. — Co się mnie ma do czego pilić?

Tata znów poszedł do koni, raz ich zgrzeblem w niedzielę wycesać, ja za nim do stajni idę.

— Gzić się z chłopakami lecis? — pyta się mama.

— Co będę przy was darmo siedział. Do stajni idę.

— Nigdzie nie idź. List nam napiszesz. Ojciec był zawsze przeciwny.

— Nie wiem, jak się do takiej pisze — powiadam.

— Adres się przepisuje na nową kopertę — mówi Hanka.

— List sam dojdzie. Dowiozą go, tak samo jak nam Perlak dowiozł.

A tu Perlak, jakby go zmówiła, na podwórze włązi, za nim sołtys, jeszcze za nim Paweł Kolano z wąsami jak wiechcie, magazynierem on w gieesie był dopokąd go nie wywalili, za nim Misiak Kasper, co stróżuje przy gminie. I wszystkie do chałupy wchodzi.

— Pochwalony — powiada Misiak. — Ojciec gdzie?

— Gdzie by? — powiada mama. — Przy inwentarzu. Idź, wołaj ojca — powiada do mnie. — Goście są.

— Ja ich żem tu nie spraszał, nie posyłał żem po nich — mówi tata w stajni. — Co one chcą? Sołtys drzewo sprzedawać, Perlak saradełę, a tamte dwa ze swatami do Hanki, czy jak? Diabli przy niedzieli tłuką gośćmi po chałupach!

— Może by Hankę wyswatać? — powiadam. — Miejsca w chałupie nie za wiele, ja się jeszcze ożenie, gdzie będziemy ze wszystkimi dziećmi siedzieć? Na kupie? Przyjdzie nam we stajni przy koniach życie prowadzić!

Tata się na mnie popatrzył.

— Te lata lecą — powiada. — Anim się obejrzał, a stary chłop z ciebie. Dwanaście lat tobie idzie. Patrzeć, będziesz się żenił. A masz już kogo? Dziewczynę upatrzoną jaką?

— Co mam nie mieć — mówię. — Mam.

— Ładna ona? Która to?

— A, jedna taka. Niebrzydka.

— Już żeś się z nią zmawiał? Do zgody żeście jakiej doszły?

— Co żem się miał zmawiać? Nie zmawiał żem się — mówię. — Z babą będę gadał? Czas mnie się będzie żenić, to się rozmówię.

— Ojców one wszystkie mają, z niemi się trzeba godzić — mówi tata. — Jak jej tobie nie dadzą, poradzisz co?

— Rozgonię starych w kibinimater — powiadam. — Będą się młodym sprzeciwiać.

— Twoja prawda — przyświadcza tata. — Trzeba nam do tych gości iść. Co mają czekać.

— No, szybciej się wyniosą — powiadam.

Paweł Kolano w chałupie pół litra stawia na stół, wiechciami ściany w chałupie obmiata jakby zakąski patrzył, Perlak na Hanke popatruje, oczami ją śpili, zadek jej szeroki obmierza jak jaki krawiec, Misiak nie mówi nic, sołtys jakby we wzdęciu siedzi, się nie rusza, ważny jest.

— Przyszli my was odwiedzić. Po sąsiedzku — powiada do taty Misiak.

Witajcie — mówi tata. — Z Nowego Przysiółka do Krzemienia nie za daleko jest, sąsiedzy my z dawien dawna. Wy po czterdziestce, ja tak samo, a jeszcze my się nie poodwiedzali — powiada i patrzy się na nich.

— Woda po polach wiosną stała — przetłumacza Kolano.

— Zaspy w zimie przejść nie dają — mówi Misiak.

— A robota to w lecie nie przedziela? Łatwo nie jest! — dopowiada Kolano.

— Witajcie — powiada tata. — Przynieś tam co do chleba, słoniny jakiej! — każe mamie.

Mama przyniosła im do jedzenia i sobie siedzą. Niby pogwarzają, ale nie bardzo mają o czym, więcej niegadania przy stole, jak gadania. Ja nic nie mówię, mama tak samo nic nie mówi, Hanka gały na gości wylupia, a one się nie patrzą na tatę, ani na mnie, a po sobie, jakby jakiego znaku czekały, sołtysa, może kogo z góry, co go z nimi nie widać; telefon może ze sobą przyniosły jaki zmyślny w kieszeniach i czekają kto do nich zatelefonuje, rozkaże, jaką sprawę mają z tatą załatwić. Pół litra wypity, nikt do nich nie telefonuje, może zaraz pójdą, myślę, ale widzę, sołtys popatruje na Perlaka, Perlak Kolana pokopuje pod stołem, a Misiak od sołtysa rozkazu czeka.

— Drzewa, słyszałem, tobie potrzeba — powiada sołtys.

— Drzewa? — pyta się tata. — A mnie go na co?

— Budować się masz — powiada sołtys. — My tobie drzewo ułatwimy, kwit się tobie jaki wyrobi do lasa.

— Nic nie mam budować! — mówi tata. — Trza by mnie co popierw rozwalać było. A co? Stodołę jak nową mam. Chlew, stajnia, dobre one tak samo. Nic mnie nie potrzeba budować.

— Chałupę — powiada Kolano. — Nie najlepsza ona we wsi.

— A by pasowało, żebyś miał najładniejszą — przyświadcza Perlak.

— Tylko patrzeć, jak się tobie na łeb zawali — powiada urzędowo sołtys.

— Przecie ona dobra jest. Sucho w niej jest — mówi tata.

— Kiepska ona. Stara — powiada Misiak. — Wstyd twoja chałupa wsi nasze przynosi. Musowo budować nową.

— Może ona i stara — mówi tata. — A za co ja się mam budować?

— Eeee! — śmieje się Kolano. — Chałupę tobie postawimy lepszą jak u agronoma. Krewniaki tobie tak samo pomogą, my tobie po sąsiedzku poparcie damy.

— Jakie krewniaki?

— Zakrywasz się przed nami! — powiada tacie Perlak. — Pasuje to tak? Nie masz ty ciotki w Ameryce? Dolarów tobie na chałupę nie ponaprzysyła? Jakby nie miała przysyłać, to by się nie odzywała, by siedziała cicho!

— To wy tak wszystko wiecie — powiada tata — jak policja jaka?

— Co mamy nie wiedzieć? Nie przez nasze ręce wszystko we wsi przechodzi? — pyta się sołtys. — Mamy nie być wiadome, że swoich masz w Ameryce? Bogatych? To my się zebrały, uradziły, że pomoc tobie trzeba w budowaniu dać. Cement się gdzie załatwi, cegły tak samo. Drzewa na stolarkę przywieziesz z lasa. Budować tobie trzeba! Jeszcze twoje krewne pomyślą, że ty tu żyjesz pomiędzy sąsiadami jak sierota. Pomożemy tobie, chałupa stanie z oknami szerokimi, z piętrem, z gankiem wielkim, żeby twoja ciotka, jak do wsi przyjedzie, na pola mogła popatrzeć nie wychodząc z chałupy, starowina jedna. Będzie jej z tobą dobrze.

— Jak wam się o nią tak rozchodzi, to same jej dom postawcie — powiada tata. — Dla niej osobiście. Co ona ma się z nami ścieśniać, nawykłe one tam w jednej izbie ze wszystkimi spać? Będzie chrapania mojego, pierdzenia dzieci słuchać? W swojej chałupie będzie miała dobrze.

Tamte popatrzyły po sobie, Kolano sołtysa kop pod stołem, Perlaka to samo, Misiaka z dalsza sięgnąć nie mógł, to tylko nogami zawierzgał, a sołtys zaraz głowę kręci.

— Tak to nie będzie — powiada.

— Nie może ono być tak — wsparcie mu daje Perlak.

— A bez co by miało tak być? — dziwuje się Misiak.

— A jak ono ma być? — dopytuje się tata. — Mam się dla niej budować? Nie dam rady!

— Tak to nie będzie — powiada sołtys, wstaje dla ważności i o stół się opiera jak na akademii. — Ona sama jest. Kto jej gotować będzie, w piecach palić? Za stara ona.

— W piecach palić? — powiada tata. — A Jaśka Szubowa, co w urzędzie zmiata? Dodacie jej parę złotych, gotować będzie, w piecach grzać.

— Jaśka jest na państwowej robocie — powiada sołtys. — Do celów prywatnych używana być nie może. A chałupy nie ma co dla ciotki twojej osobliwie stawiać. U ciebie ma ona być, przy rodzinie dożywać. Obrządek będziecie przy niej robić, jak się nie będzie czuć. Krewne przecie jesteście bliskie!

Tata się na czole spocił.

— Przynieś — powiada do mamy — flaszkę z komory. Za co się mam budować? — pyta się ich. — Naskładał żem pieniędzy jakich w kasie, że mnie tylko brać, na budowę wydawać?

— Ciotka tobie przyśle — mówi sołtys.

— Co ona przyśle! — powiada tata. — Gówno wielkie!

— Dolary ma, to przyśle. A jak nie przyśle tobie na całą chałupę, to my tobie pomoc damy, kredyty damy, pierwszy będziesz w potrzebie twojej.

— A po co mnie to? — powiada tata. — Ona tu na umieranie chce przyjechać! Nie na życie! Nie na siedzenie!

— Co nie na życie! — obstaje przy swoim sołtys. — Na życie! Na długie! Będzie ona żyć. Będziemy dbać o nią. Lekarstwo się jej jakie kupi, doktora przywiezie. Pożyje, całą wieś poratuje, pobuduje co. Nie przysyłały gdzie indziej na szkoły, na kościoły, na zamki? W gazetach pisały, ich chwaliły! To i nam z nią dobrze będzie. Będziemy ją uważać.

— Szkoła we wsi imienia nie ma — powiada Misiak. — Będzie się od niej nazywać.

— Wszystkim nam będzie z nią dobrze — powiada sołtys. — A my się pokumamy, będziemy wszystkie jak rodzina.

I wszystkie się zaraz na krzesłach obracają, na mnie patrzą się, Hance się przyglądają dobrze, skwarki w rynce na kuchni przegarniała.

— Ho! Ho! — powiada Kolano patrząc na jej zadek. — Syna mam. Za dwa lata po wojsku będzie, trza go będzie ożenić, co mu ma śpik wysychać!

— Co on tam za chłop do żeniaczki! Kurdupel taki! — sprzeciwia się zaraz Perlak. — Mój zdalszy jest, jak raz może mu się twoja córka upodobać, bo co by nie? Dobra jest, zwalista jak stara!

— Zielone to jeszcze, nieprzestałe — powiada tata. — Nie ma co dziecka pilić. Niech żyje przy nas dopokąd może.

— Mój — powiada Misiak — tak samo niezgorszy jest. Wszystko robi, na stolarce się zna, okna zaskkli, chałupę by tobie

pomógł stawiać. Przecie ta twoja ciotka nie będzie żyć za długo, chałupa zostanie młodym, na swoim będą siedzieć.

— To pobuduj syna — powiada tata. — Ja się nie będę kosztował.

— Przepijmy sprawę — powiada sołtys i patrząc się po izbie leje z flaszki po stole. — I budować się tobie trzeba, czasu nie za wiele jest. Wsi budowanie jest potrzebne twoje, dobrodziejstwo spłynie na okolicę od ciotki. Ty się nie sprzeciwiaj, a buduj.

Wypiły jeszcze drugie pół litra i nakazując tacie budować, do siebie poszły weselsze. A tata się w nocy na łóżku przewraca.

— Sie wywiedziały wszystkiego, psiekrwie — powiada mamie. — Już by mnie chcieli w chałupie mojej rządy prowadzić, budować, dziecko moje swatać.

— Żle one tobie nie gadają — mówi mama. — Dzieciom przecie stawiać będziesz, nie obcym. Nie masz się od czego odrzekać.

Tata, słyszę, znów się na łóżku kręci, przewraca.

— Pieniędzy na budowanie nie mam — powiada. — Zgłupiała żeś?

— Dopomogą tobie, powiadały.

— Do dupy z niemi Ciotce się chcą za moje przypodobać, wydrzyć co od niej, jak przyjedzie.

W drugą niedzielę tata tak samo spać nie może, bo tamte znowu przyszły. Perlak zaraz na Hankę synowa mówi, Kolano się za nią dla swojego syna po izbie rozgląda, sołtys tak samo się za nią patrzy, a wszystkie nic, tylko tatę do budowania judzą. Nie dziwota, że się po łóżku rzucał.

A Hanka się tak samo przy mnie na łóżku kręci, ją to gadanie, że dobra jest do ołtarza iść, tak rozparzyło; podobnie o tych rzeczach różnych z Ameryki do przysłania od ciotki myśląc, rzucała się pod pierzyną na mnie następując, żem musiał ją kolanem w zadek od siebie jak krowę od szkody zawracać. I tata, słyszę, nic tylko się kręci, je go to wszystko dobrze, spać nie może.

I mnie się to wszystko podobać trochę przestawało. List, myślę, od ciotki przyszedł, niby dobry, ludzki, co tam komu umierania gdzie chce zabraniać, ale z listu tego nie dobrze dla nas wyszło, wszystko się nam w chałupie na złe poprzemieniało. Tata się odmienił, inny jest, nie gada do mnie jak dawniej, za ucho mnie nie pociąga, tak o chałupy budowaniu myśli. Na obejście co rusz popatrzeć wychodzi, próchno ze ściany palcem dłubie, wapno z chałupy skrobie, dachowi się przygląda, ołówkiem na brzegu gazety starej rachuje. Mama po robocie w domu siedzi, Hankę niby iska, obszywa, tatę opiera, mnie niby to, owo, przy

gonitwach z chłopakami rozdarte igłą do kupy ściaga, a myśli o taty ciotce, o niej gada, paczki od niej, dolary liczy, Hance w głowie mąci, na zadek jej jak agronom na cielę do sprzedania na spędzie patrzy i się do daty dziwuje: ledwie to odrosło, a już dupiate, cycate, już by ją chcieli za synową brać. I Hanka tak samo nie jak potrzeba jest. Do strojów swoich w mamy kufrze nie zagląda, przed lustrem się obkręca, na chłopaków śmieiej patrzy. Mama jej do roboty nie każe iść, mnie goni, a do niej mówi: ty możesz tu we wsi wybierać, przebierać możesz, nie taka ty ostatnia. Ciotka ciebie tylko patrzeć z ubóstwa, z sieroc-twa wyciągnie. Jakie one są, te dolary amerykańskie, myślę sobie? Tyle z nich zamieszania we wsi i u nas. Lepsze one, czy jak?

Źle jest, widzę. To i ja po nocy spać nie mogę. Czego ta ciotka, tam, gdzie żyje, nie chce jak inne umierać, tylko do swoich się pcha, życie psuje, odmienia, spokoju nie daje? Lepiej niech ona tam umiera, myślę, a słyszę, tata tak samo barany w pamięci rachuje i się przewraca. I tak się to u nas co dzień robi.

— Tato! — powiadam jednej nocy. — Ja tobie mogę co powiedzieć?

A tata na łóżku siada, na mnie się patrzy, głową kiwa.

— Dziecko mnie — powiada — najmłodsze tak samo odmieniały. Ty bez co spać nie możesz? Czego tobie potrzeba? Auta jakiego, motocykla? Sputnika do latania?

— A mnie to po co? — mówię. — Ja bym tobie co innego chciał powiedzieć. Jakie one są, te dolary amerykańskie?

— A tobie ich do czego? Z chłopakami za stodołą w dołki grać?

— Nie o to mnie się rozchodzi. Lepsze one od naszych?

— Ja wiem? — powiada tata. — Może one lepsze, może nie lepsze. Tyle co większe. Naszych się więcej w jednym zmieści.

— A nasze co? Źłe są?

— Źłe? — powiada tata. — Ty mnie ich daj, ile mnie potrzeba, to one będą najlepsze!

— Ja tobie co chciałem powiedzieć, wiesz?

— Nie wiem — powiada tata.

— Napisz ty do ciotki, że ty ich, tych dolarów, od niej nie chcesz.

— Ty mnie po nocy nie politykuj! — odzywa się ze swoim mama. — Jak one już przysłane będą, to one będą najlepsze.. Śpij. Ciężko tobie co wyrozumieć.

A tata, słysząc, chrapanie już rozpoczyna.

— Tato! — mówię. — Nie śpij jeszcze!

To tata chrapać przestał.

— Stul japę o tej porze! — powiada. — Do szkoły masz jutro wstawać? Będiesz, myślisz, gnić do południa!

— Za nasze pieniądze — pytam się go — trumnę kupić da rady?

— Co ty? — mówi tata. — Kogo byś ty grzebał?

— Nikogo. A grabarzowi tak samo można nimi płacić?

— Można. Nie musowo. Jędrus za wódkę grzebie.

— A księdzu tak samo płacić można?

— Księdzu nie księdzu. Diabłowi tak samo. Śpij.

— To ty ciotce na to wszystko do Ameryki wyślij. Niech ona u siebie umiera. Można jej jeszcze, dopokąd będzie żyła, jedzenia przez kogo podawać, jajek jakich, koguta. Czego ona ma do nas jechać?

— Ja bym i wieprzka dla niej nie żałował — mówi tata. — I kiełbas bym co roku na godnie święta wędził, wysyłał. Ale się ona naparła, a krewna jest, to jak jej mamy nie przyjąć? Pisać, żeby tam siedziała?

— Nie ma pośpiechu — ja na to. — Pomyśl, żeby było dobrze.

— Pomyślę — powiada tata.

— Zgłupiały oba! — mówi mama wysłuchawszy. — Same się dobro do chałupy pcha, to one po swojemu, trutnie oba! Dziecku bym się nie dziwowała, ale staremu?

— A tam, do dupy ze wszystkimi! — powiada tata. — Srać na dobro! Nie będę orał, siał, a będę o jej pochówku myślał, o czyjem umieraniu, budowaniu, co mnie go nie potrzeba!

I tata by pewnie do ciotki napisał, ale się zanim rozmachał z pomysłem, list zaraz drugi od ciotki przyszedł, dziesięć dolarów w nim było. Tata kazał sobie list przeczytać. A za tydzień po liście paczka przysłała, w niej szmaty babskie, bluzki jakieś, koszule z materiałów cienkich, kolorowych.

— Łe! — mówi mama. — A kto by tu chodził w takich? Zagłupiała na starość cienkie kupować?

— One tam w takich chodzą i u nas tak samo! — powiada zaraz Hanka. — Tośka Cacajowa nie ma takich z Francji przysłanych?

I zaraz w paczce grzebie i gacie z niej wyciąga długie do pół łydek, prześwitujące całe z koronkami.

— Musi to dla ciebie — powiada mama do taty — kalesony.

— Też to babskie!

— Długie są, to nie babskie. Przywdziej, może się nadadzą.

Tata splunął, na mamę się popatrzył, to ona zmilkła. Hanka

zaraz zabrała gacie, chodzi po chałupie, przykłada do siebie, naciąga jak proce, przymierza, na dół ściąga, to znów ku górze zbiera, nijak nie chciały dobre być.

— One babskie są — powiada. — A to by się tata wybrał! Ludzie by się śmiały!

— A ty to będziesz paradować w takich? — pyta się tata. — Całą dupę będzie tobie widać!

— Co mam nie chodzić? Przecie nie będę nosić na wierzchu, a pod sukienkę!

— Wszystko jedno wyłazić będą — mówi mama.

— A co mnie! Niech ludzie wiedzą, że my z Ameryki dostali!

I jak żeśmy w niedzielę poszli do kościoła, to Hanka przed nami paradowała na przedzie, żeby wszystkie widziały, jak jej te gacie przydługie spod kiecki wyglądają. Baby się za nią obzierały, ksiądz się tak samo w kościele zaciął, jak ją wszedłszy na kazanie z kazalnicy zobaczył, ledwo się pozbiierał z gadaniem. Po sumie zaraz wyszedł z kościoła i na tatę poczekał.

— Los się wam, widzę, odmienił — powiada. — Krewniaki się wasze odezwały.

— Się odezwały — mówi tata. — Ciotka moja. Umierać się jej widzi, to się odezwała, żeby ją tu przyjąć na umieranie.

— Nic dziwnego — powiada ksiądz. — Swój do swojego ciągnie. Czego by wasza ciotka miała być chowana w obcej ziemi, jak z naszej ona wyszła i mowy naszej chrześcijańskiej wśród protestantów się nie wstydziła pamiętać? Tak samo wiary swojej polskiej pewnie nie zapomniała, nie zmieniła?

— Co by miała zmieniać, jak przechrzta się zapierać? Bo to tam kogo do czego przymuszają?

Ksiądz się na tatę popatrzył.

— Dobrze by się było dowiedzieć — powiada. — Delikatnie przebadać żeby nikogo nie obrazić. Napiszcie, że kościół, gdzie ją ojcowie chrzcili, stoi jeszcze, choć stary jest i wspomnienia miłosiernego wymaga, naprawy głównej. I że ksiądz ludzki jest, nie inkwizytor. Pogrzeb wyprawimy jej wspólnie, dobry, chrześcijański, ze śpiewami. Organista będzie śpiewał, ja będę śpiewał. A póki nie umrze, życzymy jej z całą parafią, dobrodziejce wiary świętej, zdrowia dobrego.

I się teraz ksiądz Hance przypatrzył względem gaci.

— Wyrośłaś — powiada. — Niedługo Veni Creator zaśpiewamy. Dziewczyna wam urosła ładna. Ubrana — powiada — ładnie.

I się patrzy na te amerykańskie gacie do pół łydki, na te

koronki cienkie na Hanki nożyskach poobdzieranych przy sianie, zdartych za jagodami w Zawadzie.

— Nie są one za długie te majtki? — pyta.

— Modne — mówi mu Hanka, się cieszy i przed księdzem przegina. — W zadku na mnie dobre, jednej zakładki nie musiałam żem robić.

Ksiądz dalej się jej przygląda.

— Młoda jesteś, skąd byś miała wiedzieć — powiada. — Oni w takich strojach sypiają. Pidżama się to nazywa. Do tego jeszcze bluzka jest z takiej samej materii.

— E tam, sypiają! — mówi Hanka. — Gdzie by się w takich chciały pod pierzynami chować! Nie pokazywać nikomu? To po co by kupowały? Śpi się przecie w byle czym, nie w koronkach takich!

— Co kraj, to obyczaj — powiada ksiądz. — Na Grenlandii, na wyspie takiej, na Alasce, tamtejsi ludzie, Eskimosi, w futrach, kozuchach grubych sypiają. Smalec rybi piją jak my tu mleko albo herbatę.

Hanka zmarkotniała, po gaciach się patrzy.

— A tam! — mówi tata. — Jedne sypiają, drugie nie sypiają. Niech dziecko ma swoje urozmaicenie. Poparaduje, ponosi, sypiać w tym nie będzie, ma koszulę.

I my do domu wrócili, a tam już na nas czekały: sołtys, Kolano, Perlak, Misiak.

— Przyszli my komitet do budowy ustanowić — powiada sołtys. — Będziesz się sam mordował? Razem pójdzie rażniej, kosztów się zaoszczędzi na jaki wychodek ciotce z wodą sipiącą we środku.

To tata się na nich popatrzył, na mamę tak samo, na mnie, na Hankę.

— No — mówi. — Komitet? Dobra jest rzecz. Tyle w niem ludzi. Będziecie mieć co wszystkie w tem komitecie robić?

— Sołtys — powiada Perlak — przewodniczący będzie, komitetem rządził będzie. Misiak dozorca będzie, żeby jakiego oszukaństwa w robocie nie było, partactwa żeby tobie nie narobiły.

— A ty? — powiada do niego tata. — Nie chcesz w komitecie być?

— Co mam nie chcieć? Gdzie ludzi więcej, tam owoc od radzenia większy. Księgi obrachunkowe będę prowadził. Pie-niędzy będę sprawdzał, rachunki rachował. Jeden wszystkiego nie spamięta. Tu się parę groszy zapomni, tam parę, jeden chce oszukać, oszwabić drugi. Wszystko trzeba zliczać. Bez księgo-wości nie da rady. To ja będę na liczydłach liczył, przyuczę się.

Tak samo na poczcie listów twoich będę pilnował, żeby się nie opóźniały, nie zapodziały gdzie.

— No, a co ja mam w tem wszystkiem robić?

— Ty? — dziwuje się Perlak. — Co się masz myśleniem zjadać, po nocy o co kłopotać, nie spać? Ty budować będziesz, pieniądze dawać będziesz!

Tata się w głowę skrobie, spocony jest, nie po myśli mu to; niewyraźnie jest, widzę. Sąsiadów dobrych mamy, znajomych, komitet tacie zrobili, jak tu od takich pomocy odmówić, nie budować? Obraża będzie. Krewniaki amerykańskie, powiedzą, pieniądze amerykańskie, powiedzą, tacie rozum poćmiły. I sam tata nie wie, co im odpowiedzieć.

— To taki potrzebny komitet jest? — pyta się.

— Potrzebny — odpowiada sołtys. — Widzisz, ile tu spraw różnych przy budowaniu będzie. To dla twojego dobra i nie trzeba się sprzeciwiać.

— Ja się nie sprzeciwiam — mówi tata i się patrzy jakby im gdzie ucieknąć, do obrządku, do krów pasienia za Hanke, za mnie do chłopaków się bawić, baciarować, ale nie gdzie indziej one, a przy naszej chałupie rozkraczone, powrastane stoją, odmówić się nie dadzą, do chałupy wleżą.

— Sprzeciwiasz się! — mówi sołtys.

— Ja się — powiada tata — z myślami biję, żeby wam czasu nie marnować. Może by tej chałupy nowej nie stawiać, może za rok, za dwa, jak się trochę grosza uzbiera, dopiero budowę rozpoczynać?

— Co to, to nie! — powiada zaraz Perlak. — Takiego opóźnienia w planie być nie może. Ona tu za parę miesięcy przyjedzie, za parę tygodni, może już gdzie w drodze jest? Nie ma co opóźniać. Niech, jak się sprowadzi, chałupa choć pod dach podciągnięta stoi, resztę się na wiosnę zakończy. Zaczynać i tyle!

— Wy mnie może i dobrze radzicie — powiada tata — bo czego by źle, tylko gdzie ja pieniędzy na budowanie znajdę? Kamienia na fundamenty trza by kupić, cementu kupić, cegły tak samo, piasku ze dwadzieścia, trzydzieści fur na początek przyprowadzić, wapna pogasić, żeby zlasowane było. Skąd ja pieniądze do tego nabiorę?

— My tu do ciebie na naradę w tej sprawie żeśmy przyszli — odpowiada sołtys. — Tylko stojący na podwórzu źle radzić.

— Wasza prawda — powiada tata i się poci zmordowany myśleniem. — Nie będziemy na dworze radzić. Chodźcie do chałupy, siądziemy przy stole.

Weszły do chałupy jeden za drugim, po chałupie się roz-

glądają, buty obtupują, mama się patrzy na tatę, pod piec go woła.

— Co ja mam z nimi robić? — pyta się. — Jeść im dawać?

— Trza im dać co wypić. Wypiją, może się z tem radzeniem opóźnią.

Tata do nich wrócił, flaszkę z komory przyniesioną na stół postawił, mama słoniny z ropy wyjęła z beczki, na stół pokroiła. Wypiły po kieliszku, to Perlak z kieszeni papierów nawyciągał, ołówki trzy przed sobą chemiczne na stół położył, na jeden popluł, żeby pisał dobrze.

— Protokół będę robił — powiada. — Zapisywać trzeba, co się tu powie. Uchwały podejmować będziemy jakie, postulaty zgłaszać, rezolucje stawiać, trzeba to wszystko mieć na papierze, żeby się nie zapomniało — powiada i się zaraz zapisywać bierze, co sam powiedział.

— Tak ono ma być — przyświadcza sołtys. — Zapisywać wszystko, co petent powie.

— Jaki ze mnie petent? — mówi tata. — Poła trochę mam, chałupę, babę, dzieci się dwoje po obejściu pęta, to ja zaraz petent?

— Petent to taki, co od urzędu chce — powiada Perlak. — A zapisywać będę, bo co mnie ma kto potem wmawiać. Pisane, to się ono zawsze przydaje.

I zaraz swoje gadanie pisze, a tata na mazanie po papierze patrzy, straszno mu się, widzę, na duszy wyrabia, boi się. Co się ma nie bać, jak tam wszystko, co powie, zapisane będzie? Jak się tu tacie przy nich odzywać?

— No, to — powiada wreszcie tata i kielicha podnosi — za nasze zdrowie wypijmy. Żeby się nam wszystkim dobrze działo, z urodzajem, ze wszystkim, i dzieci nasze żeby były zdrowe i na chwałę jaką wyrosły. I wam się tu wszystkim pięknie kłaniam, w razie czego nie miejcie do mnie, że nie tak mądrze gadam. Co złe, to nie ja — powiada i wstaje, i kieliszek do nich na stojący wypija.

To one tak samo wszystkie wstały i z kieliszkami swoimi podniesionymi do taty każdy mówi swoje.

— Niech się tobie szczęści — powiada sołtys. — I nam tak samo. Odpowiedzialność my na siebie wielką, bardzo wielką całym komitetem przyjęli, brzemień bardzo wielkie. Dlatego my mamy wszystkie — powiada do tych swoich przyprowadzonych — być ze wszystkiego zadowolone i nasza wieś tak samo, żeby my jej zaszczytu przysporzyli dobrego, z podjętych zobowiązań się wywiązali bez kar żadnych i bez jakich nieprawidłowości. Kontrolować — powiada — będzie się tutaj wszystko. Nadużyć

żadnych tolerować się nie będzie. Legalnie ma być zrobione podług prawa i na czas podjęty. Sprzeciwu żadnego ma tak samo nie być, bo to dla dobra ogólnego!

Każdy zaraz to samo głosi i kielich wypija. A Perlak gałami po wszystkich wodzi, ucha nadstawia.

— Co ja mam po naszym wypiciu zapisać?

— Zapisuj, jak ja tobie mówię! — rozkazuje sołtys. — Że my się zebrali po sumie na zebranie. Komitet budowy domu z gankiem, z pięterkiem tak samo, z oknami szerokimi, z wychodkiem, jak wyjdzie z oszczędzenia, żeśmy zawiązali. I ja, że przewodniczący jestem. Petent! — powiada do taty. — Ty tak samo masz prawo do protokołu co powiedzieć. Wnioski jakie, zachcenia twoje względem tej budowy.

— Co ja tam za wnioski mam! — powiada tata. — Nie mam pieniędzy, to wniosków ja tak samo nie mam. Bo co ja za wnioski mieć mogę? Ja ze wszystkiego zadowolony jestem — powiada i się patrzy na Perlaka, co on pisze — i to zapisać na mnie trzeba. Nic do nikogo nie mam, a najlepiej by było — powiada do niego — żebyś napisał, że ja nic żem do protokołu nie powiedział, bo żem też nic do niego nie mówił.

— Jak żeś nie mówił, kiedyś mówił! — powiada sołtys. — A jak żeś co powiedział, to zapisać trzeba. Taki jest przepis dla komitetów ustanowiony.

— A co ja żem mówił? — pyta się tata. — Mówił żem co? Nic żem nie mówił! Co mnie ma kto gadać, że ja żem co powiedział? Jak ja ze wszystkiego jestem zadowolony i podatki ja płacę, i w polu robię jak każdy inny, to co ja mam być w protokole? Dzieci mam — powiada. — O! Franuś mały! O! Hanka! Dobre dzieci! A i żonę mam dobrą, robotną. To trzeba zapisać w protokole, żem powiedział. Wypijmy sąsiedzi na zdrowie. Niech się wam wszystkim dobrze wiedzie, żeby my dobrze Nowego Roku doczekali. We zdrowiu i we wszystkim!

— Mam co zapisywać? — pyta się znowu Perlak i ołówek obślinia. — Co mam pisać, jak on powiedział, że nic nie powiedział?

— Pisać masz! — powiada Kolano i pięścią we stół bije. — Coś ty taki? Pies, że my zapadli decyzję o budowie domu na odgórne zarządzenie losu, znaczy się na przyjazd ciotki z powodu umierania krewnej z Ameryki, Marianny Mazgaj, wdowy po mężu swoim. Dzieci ma ona? — pyta się taty.

— Syna miała, w jakiejś katastrofie na serce poprzód zabity.

— Pisz to — powiada Kolano do Perlaka.

— Dolarzy tobie jakie przysłała? — pyta się sołtys urzędowo.

— Gdzie tam przysłała! — powiada mama.

— A my słyszeli, że przysłała! — mówi na to Misiak. — Lepiej do protokołu nic nie zakrywać!

— No, dziesięć ich przyszło — przyznaje się tata.

— Pisz dziesięć — powiada sołtys do Perlaka. — Co będziesz z temi pieniędzmi robił? Sprzedawał?

— Ja wiem? Niech leżą. Zawadzają mnie one? Dzieci podrosną, będą lepiej wiedzieć, mądrzejsze będą.

— Pisz! — powiada sołtys na Perlaka. — Będziesz pieniądze trzymał? — pyta się i patrzy na tatę.

— O! Nam się takie twoje postanowienie nie podoba! — powiada Misiak. — Nie tak my wszystkie uradziły! Jak się twoja krewna w Ameryce odnalazła, jak ona żyje i chce tu przyjechać, to ono tylko takie gadanie babskie jest! Ona o swoim umieraniu nie myśli! Przyjedzie do ciebie pożyć, nacieszyć się! I gdzie ona będzie siedzieć? W twojej starej chałupie? Po tych dobrociach amerykańskich, po jeżdżeniu samochodami, będzie u ciebie na kupie z rodziną się mordować? W jednej izbie? Toż to przecie dobroczyńca twój! Dziesięć dolarów tobie przysłała, a ty chcesz dzieciom trzymać? Jak bym takie pieniądze skąd dostawał, zaraz bym wiedział, co z nimi robić! Ja bym się budował zaraz!

Na to sołtys wstał, przeszedł się po izbie, w ścianie pazurem pod obrazem jednym dłuźnął, butem z cholewą w podłogę zatu-pał, że szkło brzękło na stole, piecowi się przypatrzył wachając mamie po garnkach i zaraz tynk wziął ze ściany nożem odłupy-wać, kurzu wielkiego narobił. Z pół metra go od ściany oddarł i do taty się zawrócił zły bardzo.

— Nam się te twoje myślenie nie podoba! — powiada. — Komitet my dlatego założyli dobrowolnie i ty w tym komitecie tak samo jesteś. Uchwałę trzeba podjąć, realizować ją w termi-nie, bez opieszałości, bez sprzeciwu. Chałupa stara jest, ściany próchnieją, grzybieją, tyle co wapnem byle pobielone i zgnilizny za dziadków twoich, za sanacji kapitalistycznej starożytnej sta-wianej nie widać. Piec tak samo spękany, wiatr w niem hula, w podłodze sęki same zestały. Wniosek potrzeba zarządzić nie będziemy darmo twojej wódki pić, siedzieć, radzić co dnia! W kibinimater z taką robotą!

— Co tam! — mówi tata. — Posiedźcie z nami po sąsiedzku, wypijcie. O budowie się jeszcze pomyśli.

— W kibinimater z takim załatwianiem sprawy! — drze się sołtys. — My nie oszukańce, nie kumotry, żeby my przy wódce siedząc oko zamykali na zło obiektywne! Zgłaszam wnio-

sek do usprawnienia złego stanu rzeczy! — powiada i się na tatę patrzy. — Chałupę tobie pobudujemy zaraz, to nie będziemy się przed twoją ciotką wstydzić, oczów za czyje plecy chować! Komitet się nie będzie wstydzić!

— Jak ja pieniędzy na chałupę nie mam — mówi tata. — Na nic pieniędzy nie mam. Na cegłę mam? Nie mam. Na wapno mam? Tak samo nie mam. I na drzewo do stolarki nie mam. Na parę jakich pustaków na podmurówkę niedrogich, to bym może wyskrobał. To co ja się będę za budowanie brał? Dzieci będę z przyrodziewku rabował? Z jedzenia? Każde jajko, co kura zniesie, będę leciał, sprzedawał? Mleko będę wynosił z domu, jak złodziej? Dzieci na głodnego do szkoły gonił, za krowami, w pole do pomocy mnie ciągnął? Nie dam rady budować!

— Dolary masz — powiada Perlak. — To się nie sprzeciwiaj uchwale!

— Ty nie gadaj dużo! Zapisuj, że on się sprzeciwia! — powiada sołtys. — Pieniądzy, powiada, nie ma? A dolarów gdzieś kto dostał? Kto będzie jeszcze dostawał? Ja? A łachy kto dostał? Nie twoja córka w amerykańskich tych po kościele paradowała? I ty budować się nie chcesz? To jak my będziemy całą wsią wyglądać, jak ona przyjedzie? Jak dziady! Gdzie ją zameldujesz? W tem starem chlewie? We stajni? Już żeś karę mieć powinien, że w takim dziadostwie dzieci chowasz i dalej chować chcesz! Zarazę po wsi rozpleniąc, suchoty jakie!

— Daj Boże zdrowie! — powiada tata i kielich do nich podnosi. — Komu się pili? Co my tu? Zaraz dzisiaj będziemy budowę napoczynąć, materiały wozić, budulec, czy jak? Trza pomyśleć, jak by co tanim sposobem załatwić. Przecie wiem. Jak mnie umierać przyjdzie, to dzieci w tej starej chałupie nie zostawię. Trza ich pobudować, Ale się chałupa przecie nie zawala. Trza spokojnie miarkować, co i jak. Wypijmy!

— Wypić? — mówi sołtys. — Czego nie? My przecie dobre sąsiady. Tylko decyzję trzeba najprzód podjąć, przegłosować ją, zatwierdzić, do protokołu wpisać, że my tu po kumotersku nie działamy, na przekupstwa żadne z tobą się nie kusimy, na szachrajstwa żadne. Dolary żeś od ciotki dostał? Dostał. To my z całym komitetem pilnować będziemy, żeby do jakiej malwersacji z niemi nie doszło. Nie na co innego, a na budowanie one tobie przysłane. A co się rozchodzi o decyzję, to jedna ona być może, chałupę zaraz budować!

— Diabli nadali — powiada tata — że się ona z tej Ameryki odezwiała. Mogła siedzieć, umierać, jak chce, nie umierać. Kłopotów mnie tylko, nie dobrodziejstwa narobiła.

Perlak się patrzy krzywo, papiery ołówkiem zapisuje.

— Decyzja ma być — powiada — i ty masz ją podjąć z dobrej woli. Jaką twoją decyzję mam zapisać? Negatywną? Będziesz się opierał? My dobrze dla ciebie myślimy, z pomocą przychodzimy, o twojem dostatku myślimy!

— Co by mnie z opierania przyszło — mówi tata. — Przemogę kogo? Tylko wy mnie za prędko budować każecie. Niech ona jeszcze popisze, parę listów przyśle, zamiary objawi, będę ja lepiej wiedział, kiedy budowę otwierać.

— O co tyle gadania? — pyta się sołtys. — Będziesz budował, czy się sprzeciwiasz?

Tata się po głowie skrobie, niby się śmieje, widzę, a mu ciężko co do protokołu powiedzieć.

— Co mam się sprzeciwiać — powiada. — Dziesięć dolarów przysłała, cały mój majątek!

— Paczkę żeś tak samo z poczty brał — mówi Perlak — to tam trocin tobie z Ameryki ciotka do niej nie nasypała, nie wysłała krewniakom!

— Paczkę? — powiada tata.

Do komory idzie i zawraca ze wszystkim, co w paczce przyszło.

— To się — powiada — popatrzcie, jakiego dobra napoprzychodziło! Szmatki jakieś babskie, że dupy tem nie zakryje! Kawy jakiejsiś z czegoś zrobionej pudełko, że my spać po niej nie mogli! O! — pokazuje. — O te gacie się wam pewnie rozchodzi, Hanka w nich do kościoła dziś chodziła!

Wszystko tata przed nimi na stół kładzie, gacie dopiero co z Hanki zdjęte, ciepłe jeszcze, na deskach rozpościera, wygląda, wszystkie się nad nimi pochylały, żeby im lepiej widać było.

— Babskie czy jakie? — pyta się Perlak. — Nie widziałem takich!

— Babskie — powiada Misiak. — Cienkie są, delikatne.

— Iliiii — mówi sołtys. — Za długie. Gdzie żeś ty widział, żeby babom gacie spod kiecki wystawały? Wstydu nie mają?

— One by wszystko powystawiały, jak by nie my — powiada Perlak.

— A co? Chłopskie one? — pyta się Kolano.

Maca gacie w kroku, kieliszki od nich odsuwa, rozpościera lepiej, palcami protuje.

— Rozporka nie ma! — ogłasza. — Jak się tu z takich odlać? — się patrzy na sołtysa, żeby sprawę urzędowo wyświetlił.

Sołtys gacie w garści mnie, Hanka się markotnie od pieca patrzy.

— Miękkie jakieś — powiada sołtys jak z ambony. — A rozporka jak nie było, tak nie ma. Co one tam? Nie szczają? — rozmyśla. — Nie mają czym? Jak one tam żyją?

— Co mają nie mieć czym — powiada Perlak. — Mają. Tak samo jak my w Polsce. Tylko jak z takich gaci przepięknych szcząć? Nie wypada!

— Może bez te koronki? Dziurki w nich jakie takie są — odzywa się Kolano. — Musowo go wystawiać? Jak wiatry silne wieją, to lepiej bez siatkę!

— Powariowały chłopy! — mówi mama. — Gdzie tyle o gaciach?

A sołtys się śmieje, ręką w gębę bije.

— He! He! — powiada. — Oglupieć można przez te gacie! A bo on tylko do odlewania jest? Do innej roboty się nie nada? A jak się nada, to jakim sposobem one działają? Tak się przez gacie pocierają i mają załatwione? A to dopiero odmieńce amerykańskie!

— Hanka! — powiada tata. — Co się tu, dziecko, po izbie ze starszemi wodzisz? Idź gdzie, krowę wygoń, głodna jest!

— Idę — powiada Hanka zła i gacie im sprzed oczów ściąga. — Będą się nad gaciami wydziwiał! To nie gacie są — powiada. — To się pidzama nazywa. W tym się tylko na noc chodzi i się do łóżka w tym kładzie! Jak u Eskimosów!

— Kto się kładzie? — pyta się sołtys. — Chłop czy baba?

— Gdzie by chłopu delikatności takie na się wdziewać! — powiada mama. — Baba się w nich kładzie!

— No, ja żem dobrze skalkulował! — śmieje się sołtys. — Przez pocieranie one rzecz załatwiają. A paczkę — powiada urzędowo do taty — żeś dostał. I dolary tak samo. To się tobie budować trzeba!

— Za dolary — powiada tata — będzie parę worków cementu na fundament i tyle. A gaciami to musi dach będę krył, czy jak? Papier z paczki na dach będę ciął?

Mama tym czasem na stole saganek z kawą ugotowaną stawia, do garnków im nalewa, ziarek każdemu łyżką nakłada po równo.

— Spróbujcie — powiada. — Ono tak samo w paczce było. To one popijają, dmuchają na gorzkie czarne picie.

— Jasiek — powiada sołtys — syn mój, taki mnie w mieście spirytus diabelski dał do wypicia. Po kawiarniach nad tym godzinami siedzą. Myślenie sobie naprawiają.

— Trza by im w mieście więcej tego wypijać — mówi na to tata. — Jak bym wiedział komu, to bym im tych ziarek podesłał. Mnie one na nic, a im by się do dobrego zdały.

Sołtys wypiwszy sporta zapalił i się patrzy.

— To budujemy — powiada zadowolony. — Wszystko my już obgadali, trza by twoją decyzję zapisać. Jaka ta twoja decyzja?

— Decyzja moja — mówi tata — jest taka. Jak trzeba budować, to ja się na budowanie godzę, ale niech mnie komitet z terminem nie pogania.

— Źle tobie z nami nie będzie — powiada sołtys. — Pilić się nie będzie za mocno. Tyle jak my drugi raz na zebranie komitetu do ciebie przyjdziemy, niech Perlak ma co w protokóle zapisać, że zrobione jest. Odpowiedzialność na tobie spoczywa.

— To co ja mam zapisać, żeby dobrze było? — pyta się Perlak.

— Źe my do jednego wniosku doszli jednomyślnie. Budowa się zacznie przed żniwami, budulec petent będzie zwoził do budowania.

— Składki by jeszcze na komitet zarządzić — powiada Miśiak. — Księgi rachunkowe mieć z czem rozpoczynać.

— Za posiedzenia — dopomina się zaraz Kolano — trza tobie nadgrody jakiej komitetowi udzielić, za czasu marnowanie, za mordęgę grosz jaki dać.

— To się mnie kosztą budowy podniosą — mówi tata. — Może ja bym te rachunki sam rachował, a wam po sumie sprawę przedstawiał? Oszczędności nie będę miał na wychodek ciotce.

— Co nie będziesz miał? — powiada Perlak. — Materiały się tobie taniej jakie przecenione sprzeda, nadzór od nas nad sobą tak samo będziesz miał, opłaci się tobie parę groszy dać, co masz sobie krzywdować? Na swoje dajesz, nie na cudze! Mularze robić przyjdą, cieśle, zduny, na ręce im trzeba patrzyć komitetem całym, żeby co tobie nie pokradły.

— Niby tak — powiada tata — a szkoda dawać, jak nie musowo.

— Z dobrej woli daj! — nastawa sołtys.

— Parę złotych — mówi Kolano. — Rachunki będziemy sprawdzać, liczenie będziesz miał dobre. Jutro do miasta za sprawami jadę, porozglądam się za budulcem, koszty jakie będę miał. Z czego popłacę?

— Za pokazanie komu będziesz dawał, za powiedzenie, gdzie droga do cegielni jest? — pyta tata. — Za to będziesz płacił z pieniędzy moich?

— Ty się tu nam nie stawiaj! — powiada Perlak. — Nie wszystko tobie do zrozumienia jest! Co się będziesz kosztów przed nami zapierał? Przed kim się będziesz bronił? Przed

złodziejami czy przed swoimi, co dobre dla ciebie są? Sam komitetu członkiem jesteś, to sobie grosza na potrzeby będziesz żałował? Jesteś czy nie jesteś komitetu członkiem?

— Ile by wam tego dać? — pyta się tata.

— Nie za wiele — mówi Kolano. — Setkę, dwie setki, jak się tam na groszu czujesz.

— Daj — powiada tata do mamy — czerwońca. Masz gdzie?

Mama przy kuchni świniom otręby w cebryku miesza, tłukiem ziemniaki bije, się nie odzywa; tata idzie do niej.

— Daj — powiada.

— Na czyste stracenie! — mówi mama.

— Wykręcę się od nich, czy jak? Nie widzisz ich ile o ten pieniądz skamla? Samaś budowy chciała!

— A idź ty w kibinimater! Bo jeszcze ciebie i komratów tłukiem obłożę! Komitet! Dzieciom żałujesz, a będziesz nierobom wpychał?

— Komitetu członkiem jestem — mówi tata zafrasowany. — Składki się ze mnie należą.

I tata dał im sto złotych swoje. Pogodziły się zaraz, uspokoiły. Wypiwszy co jeszcze we flaszcze było, Perlak się zabrał z tatą kumać względem syna swojego ożenku z Hanką, na zapowiedzi iść zaraz do księdza tatowe sto złotych dawać, ale ich mama zwyzywała, to pocichły. Nie za długo z chałupy poszły, a tata popity po obejściu chodził do pół nocy. Chałupę obchodził, w przyciesie butem pokopywał, parkotał do siebie zły.

A złościć się miał czego. Bo tamte, ich komitet cały, jak im trochę czasu ze swojej roboty zostawało, zaczęły teraz do nas na dobre przychodzić. Przychodziły, oglądały chałupę, dziamoliły, że stara, że to próchno same, jak by nie szalowanie, by się z niej wysypowało na szosę i po całym podwórzu. I zaraz miejsce na nową chałupę zaczęły wybierać, mało się przy tym za łby nie podarły. Misiak chciał popierw starą chałupę walić, choćby konie do węglów orczykami przyprzęgać, Perlak znowu, że stajnię by przenieść w inne miejsce, albo oborę, najlepszy plac pod budowanie zajmują na obejściu. Kolano stodołę by nawet całkiem dobrą walił, żeby ciotka widok na pole i na las bez wychodzenia z chałupy miała.

I tak się wadziły, swarzyły, do chałupy do taty zachodziły, przesiadywały, gadały, na drzwi komory patrzyły, co by tam jeszcze do wypicia, do zjedzenia było. Tatę pytały, oddechu nie dając, kiedy będzie plac pod budowę obczyszczają, doły na fundamenty kopał, budulec przywoził, bo termin w protokóle zapisany krótki. A jak się tata robotą w polu zastawiał, to oni do siebie, że trza by było opornemu karę jaką zapisać, na potrze-

by komitetu ją wydać, a jeszcze przykazywały, żeby piwnica wielka była, pięterko nie za niskie.

To nie dziwota. Tata na dobre spać nie mógł, po nocach się przewracał, na łóżku pod powałę skakał, z mamą przez złość na tamtych, przez zmartwienie swoje nie chciał za wiele gadać, na pole chodził nie jak dawniej, a ciężko jak na szarwark. Na nas się darł o byle co, jak nie na swoje dzieci. Hankę biczyskiem zdzielił po zadku, jak się w niedzielę na sumę w te gacie długie koronkowe do spania oblekała. Tak i ja żem mu z oczów schodzić zaczął, co w szkole było już żem nie miał śmiałości mówić, pieniędzy na zeszyty, ołówki prosić, tylko do mamy żem szedł. Mama niby nic, tylko w kufrze grzebała, wzdychała, do góry oczy podnosiła jak męczennica w kościele z obraza, grosz, jaki żem chciał, przez pół dzieliła, a jak żem mówił, że mnie mało, bo na gumkę jeszcze, na Krzyż Czerwony, na oszczędzanie w szkole, tom się musiał drzwi blisko trzymać.

Nadojadło mnie to życie w domu popsute. Już żem sobie myślał i tak i owak, i nic mnie z tego nie wychodziło, tylko jak jaki sierota dom rzucać, do ludzi, do świata iść.

Raz z Hanką już my w łóżku leżeli.

— Spisz? — powiadam do niej.

— Nie śpię. Czego ty?

— Niedobrze z naszymi ojcami jest — mówię cicho.

— Niedobrze — przyświadcza Hanka. — Żyć się mnie przez to nie chce.

— Przez chałupę? — mówię. — Przez ten komitet, co?

— Acha — ona na to.

A tata posłyszał i się drze na nas.

— Cicho! Spać już, psiekrwie, nie dają!

To Hanka mnie za łeb i pod pierzynę ciągnie.

— Tu — mówi — gadaj, bo jeszcze co po dupie zbierzemy.

A pod pierzyną dychać nie ma czym, miejsca mam mało. Żle mnie ze wszystkim.

— Ja już — powadam — nie wytrzymuję tego. Co mnie taki dom, jak się odezwać przy tacie niebezpieczeństwo wielkie. Drze się w chałupie jak milicjant jaki.

— No — mówi Hanka i chlipać po babsku rozpoczyna. — A mnie to nie pobił przez te gacie? Krzywda mnie się tak samo wielka dzieje! Głowy już nie mam, co by robić!

— Przez ciotkę, przez jej umieranie wszystko — powiadam. — Nie mogła, zaraza jedna, w Ameryce cicho siedzieć, się nie odzywać? Umierać się jej u nas zamało na nasze nieszczęście!

— Ciotka — mówi Hanka — by nam żyć dała. To te kumotry tatowe, pomagierzy taty komitetowe! Chałupa im się nasza

nie widzi, to żyć tacie nie dają. Najduchy się schodzą, piją, w protokółach na tatę piszą, tata się boi co powiedzieć. Przez to się na nas drze, bo na swoim on nie jest swój.

— Ty! — pytam się ją. — To tak będziemy cicho siedzieć, aż nas obce ludzie z ojcowizny przegonią? Coś by nam trzeba robić było!

— A co?

— Ja wiem? Nie poszła ty byś ze mną gdzie?

— Gdzie? — pyta się Hanka.

Gorąc od niej pod pierzyną idzie, dychać nie mogę.

— Zaraz — powiadam. — Daj mnie powietrza złapać.

— Ja tak samo dychać nie mam czym. Cuch jakiś od ciebie niezdrowy bije.

Ode mnie! sobie myślę. Co to ja, baba? Głowy wystawiamy spod pierzyny, patrzymy się z Hanką do księżycy, a tata w gaciach z łóżka od mamy wylazł, po chałupie cichcem na bosaka jak jeź poczłapuje, mamy chrapanie słysząc. Stukam ja Hankę pod bok. Patrzymy się oboje, a tata ściany maca, jak dzieciół sośninę chorobliwą w lesie obstukuje, pod nosem mamrota jak przy spowiedzi do konfesjonału, żeby grzechów jego słysząc nikomu nie było. Niedobrze jest, myślę. Włazimy z Hanką pod pierzynę. Z nią, myślę, potrzeba uciekać. Lepiej by było bez niej, ale mnie szkoda tacie na zmarnowanie zostawiać, siostra ona moja jest. Ją tata tak samo przez tą chałupę nową, przez ciotkę, przez kumotrów swoich nie patrząc na nic zmarnotrawi. Potrzeba ją ze sobą brać.

— Poszła ty byś ze mną gdzie? — pytam się ją znowu.

— Gdzie?

— Gdzie? — powiadam. — A przed siebie! Na zmarnowanie mam przy ojcach siedzieć? Szkoła się moja za miesiąc zakończy, chleba weźmiemy na drogę, jak nie będą widziały, potem się im skąd odesła. Nie zarobimy na życie u ludzi?

— Uciekać ty z domu chcesz? — pyta się Hanka cicho. — Na dobre?

— Nie będę ja tu siedział! Najmę się gdzie do służby krowy paść, konie, drzewa komu rąbać, ty tak samo będziesz co robić. Dorosniemy razem jak ludzie.

A Hanka płacze.

— Ja iść z tobą nie mogę — powiada.

— Przez co nie możesz? Strach ciebie bierze? Ty się babskiej natury odrzeknij! Zmarniejesz przy nich i tyle ciebie będę widział!

— Poszła bym — powiada Hanka. — Czego nie? Tylko że ja nie mogę.

— Przez co nie możesz? Gorsza żeś?

— Ojców mnie wszystko jedno szkoda.

— Głupia żeś! — powiadam. — Mnie ich tak samo szkoda. One bez nas się zmarnują, jak przy nas. Ludzie nimi rządzą. Pójdziemy, za jakich lat parę, jak się z chałupą uspokoją, przyjedziemy do nich odrobić robotę, jak by została, kiedy nas nie było.

Hanka na to bardziej pod pierzynę włązi, mnie do siebie ciśnie i się maże, po babsku zawodzi, skowyczy.

— Zgłupiała żeś? — mówię zły. — Tata posłysz! Czego lamentujesz?

— Bo mnie i ciebie szkoda. Poczekajmy trochę z uciekaniem. Może się i dla nas los odmieni?

— Nie ma co czekać na odmianę. Jeszcze tydzień, a nas na dobre zaczną katować.

Hanka chlipie, gębę mnie, przyciśnięta, moczy, mokry się robię jak cielę po urodzeniu ze soli wylizane. Tom się sam został, myślę. Ojciec przeciw mnie, siostra się boi. Żeby to ja miał brata bliźniaka, los by mnie nie krzywdził jak ze siostrą. Sam, widzę, iść będę musiał.

— Czego ty, głupia, czekać chcesz? — pytam się ją jeszcze. — Aż nas komitetowe pobiją, powyganają?

— Tego — powiada Hanka — ja czekać chcę, że swatów jeden po mnie będzie przysyłał.

— To i co?

— Jak się one z tatą dogadają, to ja za niego pójdę, ciebie do siebie wezmę, we troje żyć będziemy.

Ja łeb na powietrze wysadzam, Hanka za mną, patrzę się, tata jeszcze jak jaki pekaes po izbie kursuje, wzdycha, ściany jak pijany maca, parkoce do siebie. Trochę my odetchnęli, z powrotem pod pierzynę włożymy.

— Ty! — pytam. — A on się tobie podoba?

— Co się mnie ma podobać? Co mnie tam jakie fidrygałki. I z chałupy pójdę na swoje, nie będę służącą w domu. Bić mnie może jak tata nie będzie śmiał, choć z chłopem nie wiadomo. Mamę tata z początku zbijał. Dziadek mu nieboszczyk zabronił, to się zląkł. Może mnie przy tobie nie ruszy?

— Który to jest?

— Powiem tobie, jak będzie wiadome, co będzie.

— Do dupy taki interes! — powiadam do niej. — Jak się on tobie nie widzi, to co się masz za kogo wydawać? Pójdziemy we świat, dorobimy się czego, sama będziesz chłopów wybierać. Ja tobie sam jakiego zdalego znajdę.

— Nigdzie ja stąd nie pójdę — ona na to.

— I się za byle kogo, jak cielę na zarznięcie, wydawać będziesz?

— Może nie będę — mówi ona. — Kto inny może się będzie chciał ze mną żenić.

— Kto taki znowu? — pytam. — Kogo ty patrzysz? Masz kogo zmówionego?

— A, tak my sobie zapowiadali, że trzy niedziele będzie, z Mietkiem Gorczyców.

— Przecie on jeszcze do szkoły, do technikum jeździ — powiadam. — Gdzie się będzie żenił?

— Na wieki wieków uczyć się nie będzie.

— No, może nie — powiadam. — A on ciebie chce?

— Co by miał nie chcieć?

— Ty! On się na ciebie złakomi za rok, za dwa, a tata za ten czas całkiem od rozumu przez chałupę odejdzie! Musi jeszcze nie śpi, a ściany obmacuje.

Głowy my spod pierzyny zaraz wystawiamy, a tata jeszcze chodzi, po ścianach się ściele.

— Widziała żeś? — mówię do Hanka pod pierzyną.

— Widziałam.

— To pójdziesz ze mną?

— Nie pójdę.

— Nie ma co z tobą czasu tracić — mówię zły — głos pod pierzyną zdzierać! Siedź z nimi, a piśniesz zawczasu jakie słowo, że ja będę uciekał, to się do śmierci ciebie nie przyznam!

— Nie będę mówić. Tyle byś lepiej został.

Odwrócił żem się od niej. Hanka się jeszcze kręciła przy mnie, zadkiem z gorąca napierała, aż my oboje posnęli. A rano my się na podwórzu zobaczyli i Hanka zaraz mówi:

— Nigdzie ty nie będziesz uciekał! Ja tobie nie dam pomiędzy obcych na poniewierkę iść! Siostra twoja jestem! Ja mam radę. My mojego wesela w spokoju doczekamy.

— Jakim sposobem możemy doczekać, jak tu jest co dnia gorzej?

— A napiszemy wszystko, co się u nas wyrabia.

— Gdzie? Do gazet? Tata by nas tasakiem jakim za taki wstyd we wsi porąbał!

— Nie do gazet będziemy pisać. Do Ameryki. Do ciotki. Niech ona nam co poradzi, u siebie niech siedzi, niech nie umiera, dopokąd ja nie będę na swoim.

— Kto tak do niej napisze?

— A ty i ja!

— Perlak naszego listu nie poda dalej. Tacie go odniesie. Będzie takie same bicie, jakby my do gazet pisali.

— To Mietek w mieście list nada. Stamtąd tak samo do Ameryki trafi jak od nas — powiada Hanka.

Trzeba nam było tak zrobić. Trzy dni żeśmy ten list do ciotki pisali i on przez Mietka do Ameryki poszedł.

Tydzień jeden przeszedł, odpowiedzi nie ma. A tamte się jak u siebie rządzą, komitetują, dwa dni ich nie ma, to na trzeci przychodzą, radzą, miejsce na budowę dobierają. Już i stodołę w protokóle przedstawili na inne miejsce i ją z powrotem na dawnym placu zbudowali, bo źle im było. Tak samo i chałupę rozebrali, ale ją postavili, żeby my mieli gdzie do wiosny przezimować. I ona się, nowa chałupa, za te pieniądze, co ich tata nie ma, coraz im większa na papierze robi. Piwnic pod spodem dużo, ma, okna wielkie, że ścian nie ma gdzie zmieścić, to za chałupą stoją, na dachu kogucik do wiatru ma, imię ciotki z dachówek poukładane, wychodek dla niej osobny pod więzem stoi, żeby miała z cieniem wygodę i komitetowi wstydu żeby nie było. I z tatą się o to wszystko swarzą i wadzą, kosztu nie żałują, tacie w protokóle za sprzeciw kary różne do zapłacenia ponapisywały. A ciotka się do nas nie odzywa, Perlak z komitetem przychodzi, listu nie przynosi. To my z Hanką nie wiemy: robi nam ona dobrodziejstwo, czy na nasze wygnanie będzie przyjeżdżać umierać?

Drugi tydzień tak samo przeszedł, nowe kary tata, że budulca nie zwozi, w protokóle ma zapisane. To on we złości, jak komitet poszedł, w domu się powytrząsał, Hance gacie koronkowe siekierą na pniaku pociął, mnie pobił, bo koń sieczki nie chciał, za sianem patrzył, mamę tak samo scholerował, potem się w komorze zasunął i nie wyłaził do późna nocy.

A ciotka się jednakowo nie odzywa, wytrzymać coraz ciężiej. I ja myślę, szkoła się nie za długo skończy, żniwa się po wsiach robić zacząną, robotników potrzebować, będą. Jak ja się z uciekaniem przez ciotkę opóźnię, to kto robotnika na zimę będzie najmował, choćby i mało jedzącego? Widzę, niedobrze się dla mnie przedstawia. A jeszcze tydzień przeszedł i chleb ja żem zaczął dla mnie i dla Hanki, bo może i ona pójdzie, z komory podbierać.

Aż tu jednego dnia w poniedziałek pocziarka tacie w spółdzielni mówi, Perlak list do nas z Ameryki dostał, to go przyniesie. Czekamy z Hanką trzy dni, Perlak z listem nie zachodzi, a w piątek paczka od ciotki przyszła. To one zaraz przyleciały całym komitetem ją oglądać. Tata przymuszony paczkę przy nich otwiera, ale tam koronek żadnych, szmatek nie ma, tylko konserwa jedna, sporawa, pozamykana dobrze. Coś na niej po ame-

rykańsku popisanie jest. Poczytał te napisy sołtys i Perlak, Misiak i Kolano, postukały w denko, popotrząsały przy uchu, posłuchały.

— Mięso musi jakieś amerykańskie — powiada sołtys. — Nie jadł żem takiego. Ciekawość z jakiego to stworzenia mięso tam robią? Może z zakazanego, ze żab jakich?

— Mnie żaby nie wadzą — powiada Perlak. — Mięso jest mięso. Ja bym i ze szczura ugotowane zjadł.

— Okropność — mówi sołtys — że ludzie we świecie po świńsku jedzą. Nie mają co, że się byle gówna łapią?

Kolano konserwę jeszcze raz przy uchu poprzewracał.

— Nie chleboce — powiada. — Picie może. W proszku. Wysuszone.

To tata konserwę przechyla przy uchu.

— Kawa to może być. Lekko jest we środku.

I wszystkie się na konserwę patrzą.

— Można by było popróbować — wniosek Perlak daje — jak już my się razem na zebranie zebrały.

— Piątek dzisiaj — powiada sołtys. — Się nie godzi w postny dzień dobrego używać. W niedzielę po sumie przyjdziemy na naradę do uchwały potrzebnej dojść, to się otworzy.

— To nie ma co siedzieć z darma racji — podnosi się Misiak.

— Dzieciom byś na święta tej słodkości zostawił — powiada mama, jak wszystkie poszły. — Rozgonisz po obcych. Popiją, pojedzą, jeszcze tobie karę zapiszą, jak im się nie zwidzi dobre.

— Niech piją — powiada tata. — Co mnie mają po wsi obmawiać, żem dla siebie chował!

— Dolary może tam we środku są. Lekkie takie — odzywa się Hanka.

— Gównu nie dolary! — drze się zaraz tata. — Śpij! Bratu daj spać! Ojcu matce tak samo!

No, jak się ciotka w liście na naszą prośbę o umieranie w Ameryce skarżyć będzie, pójdzie w ruch rzemień na naszych zadkach, myślę. W strachu wielkim doczekali my z Hanką niedzieli.

Przyszły kumotry po sumie komitetem całym. Kolano jeszcze syna przyprowadził względem Hanksi. Tata flaszkę z komory na stół postawił, Perlak księgę z protokołem przy flaszcze rozprostował, ołówek wyostrzył, na gazecie popróbowował, tata jeszcze konserwę amerykańską na środek stołu postawił, sołtys zebranie komitetu krótkim słowem otworzył.

— Wypijmy na początek — powiada zaraz tata. — Maryśka!

— mówi do mamy. — Przynieś co do chleba do przegryzienia z komory!

— Nie ma nic — mówi mama. — Żdziebko słoniny starej się poniewiera we fasce na dnie. Nie dam tego, bo to ostatek dzieciom. Trzeba wam, to idźcie do gospody kupić.

Tata się po głowie skrobął, popatrzył się na kumotrów z komitetu, a one po sobie się popatrzyły. Sołtys się wyprostował nierad i na mamę źle popatrzył.

— No, to — powiada — posiedzenie komitetu zaczynamy. Zebrali my się tu wszyscy, żeby rozpatrzyć, jak nam ono idzie, nasze wspólne dzieło budowy dla ciotki twojej — powiada i popatruje na mamę. — Prześledzenie poszczególnie musimy zrobić, uchwały jak się realizuje na budowie. Gdzie będziesz — pyta się taty — chałupę stawiał? W którym miejscu?

— Ja wiem? — mówi tata. — Nie za bardzo miejsca jest na obejściu. Wozem nie ma gdzie obrócić. Trza się przypatrzeć, gdzie by było lepiej.

— Znaczy się, jeszcze żeś nie postanowił?

— Patrzył żem to tu, to tam. I tu by było dobrze, i tam by było dobrze. Nie mam głowy.

— Pisz w protokóle — powiada sołtys do Perlaka. — Nie ma jeszcze miejsca postanowionego na budowanie.

— E tam! Wypimy — mówi tata. — Prawować się będziemy? Plac na budowanie mój jest, chałupa ma stanąć moja. Co się będziecie zdzierać, zdrowie na czyje budowanie tracić!

— Nas nie zagaduj! — rozkazuje sołtys. — Postanowień naszych ty nie wykonujesz! Nic żeś nie zrobił! Jak to ono ma być?

— Coś się ta robiło — powiada tata i się kręci przed nimi. — W pole żem chodził robić, o zwierzynę żem dbał, o dzieci. A o budowaniu tak samo żem myślał.

— Myślał żeś? — śmieje się sołtys niedobrze jakoś. — A idź ty w kibinimater z myśleniem takim twojem! Gdzie ty jaki budulec na budowę masz? A gdzie jakich kamieni trochę? A gdzie żeś choć jedną furę cegły albo piasku zwiózł?

— Na cegłę musowo przydział mieć — mówi tata. — A ja od kogo miał żem przydział dostać? Z Ameryki?

— Do cegielni trza było jechać, sprawę przedstawić! Sprzedali by tobie bez gadania, jak twoja ciotka z Ameryki ma przyjechać! Będziesz na przydziały czekał?

— Nie sprzedadzą bez przydziału — powiada tata. — A przydziału nie dadzą, bo ja nie mam pozwolenstwa na budowanie!

— To trza było tobie takie pozwolenstwo mieć! Bez niego mógł żeś wykopy pod fundamenty porobić! Porobił żeś?

- Nie porobił — przyznaje jemu tata.
- Malwerzając żeś popełnił! — powiada sołtys? — Karę się tobie należy zapisać!
- Karę? Żem swojej chałupy nie zaczął stawiać? Co to? Dla państwa żem się podejmował?
- Chałupa jest twoja rzecz — powiada Perlak. — Ale żeś na komitet nasz, na uchwałę wspólną dupę wypiął, to kara ma być! Ile mu tej kary zapisać? — pyta się sołtysa.
- Nabroił wiele — powiada Kolano. — Trza mu karę powiększyć. Pieniędzy niech on zapłaci jakich.
- Nie mam pieniędzy — broni się tata. — Ani na kary, ani na co.
- Dostał żeś od ciotki dziesięć dolarów? To tych dziesięć dolarów dawaj! — woła Misiak. — Nie będziesz swoje zarobione wydawał!
- Dziesięć dolarów nie dam — powiada cicho tata. — Moje one są, nie wasze, żadnego komitetu.
- Mam zapisać w protokole, że ty się naszemu komitetowi, uchwałąm naszym sprzeciwiasz? — pyta się Perlak. — A ty wiesz, co kto sobie pomyśli, jak to wyczyta? Co on może na ciebie gdzie powiedzieć? Miarkuj się! My do ciebie z dobroci!
- Daj lepiej te dolary. My tobie na tygodniu pokwitowanie wypiszemy, będziesz miał czarne na białym, żeś z dobrej woli dał — powiada Misiak.
- A jest jemu za co dawać? — pyta się mama od pieca. — Nie na jego budowanie ten komitet?
- Posłuch ma być — powiada sołtys. — Godził się na nasz komitet? Godził się! My jego zgodę zapisaną mamy, świadków tak samo mamy, że się godził! Ty lepiej dawaj te dolary, na twoje dobro będą!
- Widzę, tacie tych dolarów szkoda.
- Co mam robić — powiada. — Mnie się bez ten komitet krzywda dzieje.
- Wynagrodzimy tobie te dolary — łagodzi Perlak. — Nie dośle ona nowych? Sam tobie do chałupy przyniosę!
- I tata się chcąc nie chcąc pogodził ze swoją krzywdą.
- Będę wam kary płacił za każdym razem, jak się mnie co na budowie opóźni? — pyta się ich jeszcze.
- Co masz nie płacić, jak możesz płacić! — powiada sołtys.
- Twoja ciotka przyjedzie przed postawieniem chałupy i my się wstydzimy za ciebie będziemy! Przez co nas chcesz tak ukrzywdzić? Co my tobie winne?
- Przecie moja chałupa we wsi nie najgorsza — mówi tata.
- Niech te, co gorsze mają, się na przyjazd ciotki budują.

O, Gumieniakowi się na łeb wali! Jaśkowi Bolce dziury w dachu widać! Tobie — powiada do Kolana — stajnia się wykrzywia, podpierasz ją!

— Jego tak samo się przymusi, się nie martw! — odpowiada sołtys i się na Perlaka ogląda. — Ale my się nie za wszystkich od razu wziąć damy rady. Za wiele by roboty dla komitetu było. To ty im przykład masz dobry dać. My ciebie będziemy pokazywać, chwalić się tobą będziemy, mówić o tobie, gdzie potrzeba. Dyplom tobie pierwszemu damy, że człowiek jesteś społeczny, ohotny. Ulgi może mieć będziesz, dobrze pójdzie.

Ja na nich zza pleców taty się patrzę, a one się pod stołem nogami trykają. Krętać to jedno wielkie, żem sobie pomyślał, nie wytrzymam, powiem tacie co w sieni na nich, jak do komory po nową flaszkę pójdzie. Ale żem sobie tak samo zaraz pomyślał, ciotka może nie będzie przyjeżdżać, to mnie jeszcze nie potrzeba mówić. A jak się ciotka uprze na naszą zgubę, to mnie zaraz w chałupie nie będzie, do innych ludzi, do świata ucieknę, a tata niech ich słucha, niech im kary płaci. To nic nie mówię, a sołtys, wytrykawszy się ze swoimi, do Perlaka się odkręca.

— A zapisał żeś ty, co potrzeba, w tem twojem pisaniu?

— Co miał żem nie zapisać? — powiada on. — Wszystko jest.

— I o tych dolarach, że on się zgodził z dobrej woli dać?

— Tak samo jest.

— No, to wypijmy — powiada sołtys i kielich podnosi do taty. — Ty się tu nie frasuj! — mówi. — Roboty nam nie psuj, na nas się nie gniewaj! Pomożemy tobie. Chałupę będziesz miał we wsi najlepszą. Jeszcze nam podziękujesz, jak tobie ciotka za te twoje dobrodziejstwo wór z dolarami na stół rzuci.

— Będziesz ty nas jak obcych na drodze mijał, nie poznawał! — powiada Perlak.

— Co mam mijać! — mówi tata. — Znam was.

— Będziesz mijał! — drze się Kolano. — Ty już teraz na nas nie patrzysz, choć przy jednym stole siedzimy, jedną wódkę pijemy! Ty byś nas od razu znać nie chciał! My tobie serce pokazujemy, a tyś się zatwardziały przez te dolary zrobił!

Wypili zaraz, we flaszcze trochę zostało.

— Ty byś nas zaraz dzisiaj ze swojej chałupy w kibinimater pogonił! — powiada Kolano gębę obtarłszy. — Nie znam takich? Dobrze one, jak im jakiej pomocy od sąsiadów potrzeba! I ty żeś taki sam. Gdzie ty na nas popatrzysz, jak dolary od ciotki dostaniesz? Będziesz ich trzymał gdzie we słomie, nie będziesz się przyznawał! Aż mnie się płakać od tej krzywdy chce, co

nas od ciebie spotyka! A niech tam! — powiada i łyzy obciera. — Żyj z nami po sąsiedzku!

Perlak w protokóle smaruje, za kieliszek się wypity trzyma, włosy na głowie mierzwi, ołówek chemiczny jęzorem wyschłym od wódki maże i na tatę popatruje z boku.

— Karę by tobie zapisać z góry jaką — powiada — żeś taki honorowy! Co on ma na nas patrzeć, nie przyznawać się do braci swoich? — pyta się kumotrów. — Nie my mu żeśmy chałupę stawiać pomagali? Nie na krzywdę swoją tyle razy my do niego przychodzili? Co on taki faryzeusz? Karę mu trza dobrą przyrznać, niech płaci!

— Karę? — pyta się tata. — A z czego, jak żeście mnie te dolary odpisali?

— Ty się nic nie przejmuj! Jak by dobrze przepatrzył po chałupie, to by na ukaranie co znalazł! — powiada sołtys i konserwę od ciotki od taty odsuwa.

— Musowo mu karę zapisać! — drze się Misiak. — Niech płaci!

Widzę, tata teraz bez mojego gadania widzi, że go one z gospodarki z torbami we świat wyprawia. Co on na komitet poradzi? Chyba by za jaką kłonicę, za siekiere złapał, z chałupy przegonił, ale się boi. Źle jest, myślę, bo mnie taty wszystko jedno szkoda, a jeszcze więcej mamy. Ona mnie i Hance tak przez tę ciotkę za skórę nie zalazła, nie przez mamę ja będę uciekał! A tata się boi, pięściami pod stołem trze. One tego nie widzą, i tak by się tego nie przestraszyły, bo choć tata silny chłop jest i by ich wszystkich dobrze wybił, rzeczy zapisanych w protokóle się boi, dlatego im kary da i jeszcze z pola odpisze, jak ! się do niego przyprą.

— Tylko co mu na karę zapisać? — pyta się Perlak i się po izbie rozgląda. — Co on do zasekwestrowania ma?

— Nic mnie takiego w oko nie włązi — powiada Misiak, a na konserwę się patrzy. — Garków mu nie będziemy zabierać, sprzedawać. Krowy tak samo nie weźmiemy, dzieci do wyżywiania ma. Brać mu nie ma co! — powiada, w konserwę paznokciem grubym połamanym popukuje i się na sołtysa patrzy.

— A te amerykańskie jedzenie! — powiada zaraz sołtys. — Trza mu konserwę zarekwirować na obowiązkowe! Otworzy się, popatrzy, może jak raz się nada?

I się wszystkie zaraz konserwie przyglądają, stukają w nią palcami, do światła obracają, na podpisy się patrzą. Tata tak samo na pudełko się patrzy, nie wie, co we środku jest, może dolary zatrzaśnięte, zalutowane, żeby nikt w drodze nie wydłubał jak złodziej z kieszeni na odpusćcie. To on tak samo w konserwę

puka, do ucha przytyka, głowę jak kura wykręca i nad nią konserwą trzęsie.

— Coś ono tam chroboce w tej żelaznej ciarupie — powiada Misiak. — Wsadzone coś jest. Do zjedzenia musi.

— Nie inaczej ono jest — powiada sołtys — tylko do zjedzenia. Otwórz to nożem jakim — powiada do taty.

Tata w posłuchu nóż bierze, ale się nóż powyginał, poszczerbił na żelazie.

— Piłką ciąć trzeba — mówi tata. — Nóż żem, jak jaki głupi, zmarnował.

— Niech będzie piłką — powiada sołtys i w garści konserwę trzyma, żeby jej tata do komory po narzędzie idąc z izby nie wyniósł, nie pochował.

Tak samo chce ją trzymać Misiak i Perlak i Kolano, tyle co syn Kolana się do niej nie dopycha, za Hanką po izbie gałami wodzi. Tata z komory z piłką wraca, to one się biorą za pomaganie. Sołtys najsilniej konserwę przy sobie trzyma, Kolano paluchem denko ciśnie, Perlak ołówek za ucho wsadził jak urzędnik jaki, z drugiej strony dogniata, żeby się nie ruszała przy piłowaniu, a mama z Hanką stoi przy nich i na konserwę się patrzy.

Tata piłką chełta po żelazie, opiłki się na stół sypią. Nie dużo zeszło, a z konserwy coś się wzięło wysypywać. Zaprzestały wszystkie na chwilę roboty i się przypatrują.

— Dziurka jest — powiada Misiak. — Można już popatrzeć, co we środku siedzi.

— Dalej ciąć trzeba! — rozkazuje sołtys. — Będziemy w dziurę jak szpak zaglądać?

— Gazetę by podstawić — doradza Kolano. — Wysypuje się.

Perlak protokoły swoje podkłada, tata tnie dalej.

— Coraz lepiej leci — mówi sołtys. — Piłuj! — drze się na tatę. — Chełtasz jak nie na swoim!

Tata piłką wodzi, blachę obkrawuje na okrągło. Wieczko za niedługo na dobre puściło i się proszku dużo powysypywało na protokoły. Sołtys palce obślinił, buch go w proszek i co mu się nalepiło, do gęby niesie. Palec językiem obwinał, oczy zamknął, posmakował.

— Dziwnawe — powiada — jedzenie mają.

Kolano, Misiak, Perlak, tak samo łapy w proszek powsadzały, do gęby pchają.

— Może być — powiadają. — Dobrze.

Mama też chce przy nich popробować, ale ją tata zatrzymuje.

— Ich ono jest — powiada. — Nie będziesz mojej kary zjadać.

— Jego prawda — przyświadcza sołtys. — Ale my nie takie. Popróbuj, Maryśka. Dzieci tak samo niech wiedzą, jak się w Ameryce sprawy z jedzeniem mają. A on jak nie chce, niech się smakiem obejdzie.

— Dzieci mają co jeść — powiada tata. — Nie głodują, żeby miały komu nadbierać.

— Ono się nawet nie godzi inaczej — mówi Misiak.

— Zabierać będziemy to z chałupy? Do siebie nieść? — pyta się Kolano.

— Nie będziemy zabierać — powiada Perlak. — Gościnę zaraz zrobimy. Trzeba zobaczyć, co to takiego jest.

— Kawa musi zmielona w proszku — odzywa się syn Kolana, cicho do tych pór siedzący pod oknem. — W klubokawiarni bez gotowania dawali, zmielonych ziarek raz im zbrakło. We wrzątku się to rozpущa.

— Uwarzyć by tego w jakim garnku można — powiada stary Kolano do taty. — Co?

— Maryśka! Uwarz im tego proszku! Jakie to? — pyta się sołtysa. — Słodkie dość?

— Ja wiem? Nie za bardzo.

— Cukru im postaw! — każe tata mamie.

To wszystkie teraz na picie czekają, gadają po sąsiedzku o tym, owym. Tata markotny jest, na konserwę się patrzy, szkoda mu jej jednakowo. Jak by jej nie dał, my by wszystkie w domu popróbowali, a tak, to one wypiją. Nie za długo zeszło, mama im w garnki kawy ponalewała, cukier na stół postawiła, to one dalej słodzić, mieszać, smakować.

— Dobre jest ! — powiada sołtys. — Gorące. W brzuchu grzeje.

— Spirytusu by do tego dać — powiada Perlak. — Lepsze by było. Nie mdłe.

— Nie mam spirytusu — mówi tata. — Ostatnią wódkę na stół żem postawił.

— No. To wypijmy, co jest — powiada sołtys do taty. — Nalewaj po równo.

Tata im nalewa, sobie nie, widzę, się zaciął. A one z sagana kawy dobierają, zaraz się dno pokazało. W konserwie, widzę, pół proszku zostało. Pozabierają, ścierwa, resztę, myślę sobie, nie pozabierają? Perlak się zadowolony przy stole rozparł, nogi na pół izby wyciągnął.

— Dobre ludzie żyją w Ameryce — powiada. — Picie dobre mają, w proszkach wszystko, grzeje w jelitach, po żołądku.

— U nas by mogli taki proszek wyrabiać — mówi Misiak. — Za głupie są.

— Dogotować wam jeszcze? — pyta się tata. — Wrzątek jest.

— Będzie tego dobrego — niby się wstydzi Misiak. — Na posiedzenie komitetu na drugą niedzielę trza zostawić. Zaklei się konserwę, to nie będzie wietrzało, nie nadbierze nikt.

— Ja bym wypił jeszcze — powiada sołtys. — Dobrze na zdrowie mnie robi. Nie ma co zostawiać, otworzone popsuje się. Maryśka! — powiada do mamy. — Uwarz jeszcze!

— Ugotuj — popiera go Perlak — a ja tobie podarunek dam.

— Mnie nie potrzeba podarunków — mówi mama. — Nie będę za gotowanie podarunków brać.

— Podarunku nie chcesz! — śmieje się sołtys. — Ale się honorowe całą rodziną porobiły! Dobrze on ma te podarunki Perlak! Z daleka!

— Z miasta? — pyta się mama.

— Z dalsza — mówi Kolano i tak samo się śmieje. — Ale honorowe! Z Ameryki samej ten podarunek przysłany! Nie chcesz?

Perlak list z kieszeni wyciąga i go mamie pokazuje.

— Z Ameryki. Gdzieś się mnie w torbie zaplątał i go dopiero wczoraj żem odnalazł — powiada, list daje mamie, mama go do taty wyciąga, tata do mnie.

— Schowaj go — powiada. — Za dnia przeczytasz. Nie będziesz oczów w pociemku marnował.

— Z Ameryki listu nie będziesz do jutra odkładał! — powiada sołtys. — My tak samo chcemy wiedzieć, nie jesteśmy obce, komitet twój dobrowolny jesteśmy! Będziesz przed nami skrywał? Niech go zaraz czyta!

Tata zęby ścisnął i powiada do mnie:

— Ja już się od nich nie oswobodzę. Wyprowadzać się mnie ze swojej gospodarki z ich rządzeniem trzeba.

— Każ chłopakowi, niech czyta! — rozkazuje sołtys. — Co ty mu tam powiadasz?

— Czytaj — mówi tata.

Ja w strachu kopertę roztwieram, dwie kartki duże wydjmuję, sołtys, Kolano, Misiak, Perlak, na ręce mnie wszystkie patrzą.

— Dolarów we środku nie ma? — pyta się sołtys.

— Nie ma — mówię.

— Popatrz dobrze. Pod bibułką lubią być.

— Nie ma bibułki żadnej — powiadam. — Kartki są dwie.

— Daj mnie tę kopertę! — rozkazuje sołtys, obmacuje ją zaraz, rozdziera. — Nie ma — powiada. — Co ona? Darmo będzie pisać? Czytaj list! — każe i się za stołem do słuchania rozpiera.

Hanka, widzę, na drzwi patrzy. Przyglądam się jednej kartce, a na niej nie po naszymu pisane. Litery niby nasze, ale poprzestawiane, odczytać nie da rady.

— Na nic — powiadam. — Nie po naszymu to pisanie.

— Pokaż — mówi Kolano. — Ja może rozczytam.

Bierze się do czytania, ale jemu tak samo nie idzie. To się patrzy jak głupi, do Perlaka się odkręca.

— Idź ty w kibinimater! — powiada. — Coś za papiery im dał?

— Do nich przecie pisane!

— Zmyłkę żeś zrobił, baranie! — powiada sołtys. — Kto by do nich tak pisał, jak one takie ciemne?

— Jeszcze jedna karta jest — mówię.

— Po jakiemu? Po polsku? — pyta się sołtys.

— Po polsku musi.

— To czytaj! Co ślepie wyrapiasz jak żaba? Tamta się im kartka przez zmyłkę wsadziła. Czytaj!

No, to ja czytam. Na początku pieczęcie jakieś są, nie po polsku na nich, to ja bez pytania mijam. Czytam, co dalej jest, a one wszystkie słuchają.

„Tłumaczenie. Pan Józef Chudzik. Krzemień. Poland. Polska.

Szanowny Panie. Wypełniając wolę ciotki pańskiej, zmarłej pani Stephen Warkoczewski z domu Marianny Mazgaj, z przykrością zawiadamiam, iż ciotka Pańska zmarła 12 czerwca 1972 roku w Shreveport, Louisiana, w domu stanowym 'Nadzieja' dla ludzi podeszłych wiekiem.

Zmarła nie należała do osób zamożnych. Nie zostawiła żadnych nieruchomości ani przedmiotów, które by mogły przypaść Panu jako prawnemu spadkobiercy. Skromne oszczędności zostały zużyte na koszty pogrzebu, a także na opłacenie niezbędnych opłat urzędowych. Na życzenie Pana prześlę Mu wykaz wydatków.

Stosownie do tutejszego zwyczaju, a także zgodnie z wolą zmarłej, jej zwłoki poddane zostały kremacji na tutejszym cmentarzu. Popioły wyślę Panu jutro, aby spełniając gorące życzenie zmarłej, pochował je Pan w grobowcu rodzinnym obok jej rodziców i siostry Michaliny.

Proszę przyjąć wyrazy szczerego ubolewania. Pański William C. Shyster, adwokat”.

W izbie się zrobiło cicho, jak żem to skończył.

— Pomarła — mówi po jakich dwóch minutach Kolano. — Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie!

- A światłość wiekuista — powiada Misiak i się żegna.
- Niech odpoczywa w spokoju — mówi sołtys. — Pomarła? Jak to tak?
- Ano pomarła — powiada Perlak.
- Przeczuwała starowina śmierć swoją, nie zdążyła dojechać — mówi mama i oczy fartuchem obciera.
- Tata tylko nie mówi nic, jakby go zamurowało.
- To one tu nieboszczkę przysła? — dziwuje się Misiak.
- Taki szmat drogi na pochowanie?
- Przywiez ją gotową, we trumnie — powiada Kolano do taty. — Nic się nie przejmuj. Nie będziesz trumny płacił.
- To my nie mamy co w żałobie zawadzać — mówi sołtys.
- Przywiez ciało, to się na pogrzeb pójdzie komitetem całym, ziemi garstkę nieboszcze na trumnę rzucić.
- Nie będzie pochówka żadnego — odzywa się tata.
- Jakim sposobem nie będzie? — pyta się urzędowo sołtys.
- Co z nieboszczką zrobisz? W polu zakopiesz? Bez co ma nie być pochówka?
- Bez co? — mówi tata i się na konserwę patrzy. — A bez to, że wy żeście jej pochówek zrobili!
- Coś ty się? Spił? — powiada Perlak. — O jakim ty pochówku mówisz? Gdzie?
- A o pochówku w bebeczach waszych, ludojady jedne! — mówi tata. — Przecie to ona jest w tej konserwie!
- W imię Ojca i Syna! — powiada Kolano. — Jakim prawem ona? A co by się z nią porobiło?
- A to — powiada tata — że tam ludzi spalają po umarciu. To i ciotkę spaliły i przysłały w konserwie do pogrzebania, a wy żeście z niej kawy narobiły!
- Kawy? Kiedy? — pyta się Misiak, zagląda ogłupiały w swój garnek.
- A o teraz! — mówi tata. — Przecie pisze adwokat, że ją wyśle. To ją wysłał i ona przyszła prędzej listu, bo go Perlak od poniedziałku w torbie nosił czekając niedzieli.
- To one się wzięły po sobie patrzeć, na konserwę. Sołtysowi ślepie wyrapiło, Misiak zaraz wielkie bekanie rozpoczął. Kolano się za brzuch chwycił, w gardle mu wzięło bulgotać jak indorowi złemu.
- To ona tu była, że my ją z garków wypijali? — pyta się jeszcze sołtys.
- A kto? — powiada tata.
- I my to wzięli wypili? — pyta się Perlak. — Ty nie gadaj byle czego, bo to w protokóle być może!

— A co ja gadam? Tyle że ja żeście wypili. Chcesz, możesz zapisywać w protokóle.

— Nie jest to prawda! — powada Kolano. — Doprawili by ją czem, pieprzem jakim, że się tak dała wypijać?

Na to Misiak we drzwi, sieni dopadł, tam go wzięło mordować. Kolano się chwiejąc wylażł z izby ze ślepiami na wierzchu. Za nimi sołtys, Perlak i syn Kolana, we trzech. My z tatą żeśmy popatrzeć na nich wyszli. Na dworze płotu dopadły, tam wzięło z nich rwać i tak ich rwało. Co który zakończył, to zaraz od nowa rozpoczynał popatrzawszy na kuma. Za niedługo Misiak i Kolano z sieni do nich dobiły i wszystkie pięć na płocie ich wisało. Tata przy mnie przy boku stał i się na nich patrzył.

— Cały płot mnie oporządzicie — powiada na koniec. — Zabierajcie się gdzie ze swoją robotą. Do siebie idźcie.

A one dalej rzecz prowadzą, aż pomęczyło ich bardzo, że nie mogły, wzięły odpoczywać.

— A to mnie zmordowało! — powiada sołtys, łzy z gęby obciera. — Do chałupy nie dojdę swojej jak na czterech!

Kolano odzipnąwszy tak samo gębę obtarł i syna przy płocie przytrzymuje.

— Ciebie wymorduje — powiada go szkodując. — Wnętrności sobie popsujesz. Może tobie dość tego?

— Nieboszczkę my wypili! — lamentuje Misiak.

— Się nie ma co ludziom pokazywać — odzywa się sołtys. — Śmiechu z nas będzie. Ty nic nikomu nie gadaj — powiada do taty — a my tobie te kary na jakie łeższe przemienimy.

— A z komitetem co się zrobi? — zapytuje Misiak. — Dobry był. Szkoda go dalej nie prowadzić. Chałupę my jemu mało nie pobudowali.

— Musowo komitet rozwiązywać? — pyta się Kolano. — Może by go przechować do innej potrzeby?

— Głowy nie mam — powiada Perlak. — Mało mnie flaki gębą nie wylaży.

— Rozwiązywać komitet będzie trzeba — mówi Kolano — jak budowania chałupy u Chudzika nie będzie.

— Nic się nie będzie rozwiązywać! — rozkazuje sołtys. — Tyle się go w chodzie zatrzyma. Poratuje się jeszcze kogo.

— To co ja mam do protokółu zapisać? — pyta się Perlak.

— A idź ty w kibinimater! — drze się sołtys. — Przez ciebie to wszystko! Napisz w niem, żeś rzygał!

— Wszystkie my rzygały — powiada Perlak.

— Umrę czy jak? — markoci się Kolano. — Zatrucie mam, że mnie w żołądku ssie?

— Ty się nie przejmuj! — powiada tata do niego. — Ty umrzyj tylko, a komitet jak raz się tobie przyda. Pogrzeb tobie kumotry robią, ludojadzie! Nogę tobie albo co lepszego obgryzą!

Powykrzywiały się na to na gębie, płuć wzięły, bo ich jeszcze we wnętrzu od kawy darło. Postały, potem się zabrały do siebie. Pierwszy sołtys szedł, od roboty zapomnianej dawnej w polu nogami ciągnął, za nim Misiak, potem Kolano syna podpierał, na końcu samym Perlak w jedną stronę przegięty od torby z pocztą. My żeśmy wszystkie z Azorem patrzyli za nimi. Tata mnie za ucho wziął i do chałupy my poszli.

GŁĘBOKĄ NOCĄ. WALC

Chryste Jezu! Półchłopek!

Ja!

Dolek Diabli Wygiętus!

Kręciło Wierciło!

Kuraś Wojtek!

Anielka Dupna!

Kaleki! Niemowy! Leniwce!

Smrodne wrzodziate niedojdy popychadła!

Jękały! Krzywe!

Ze dwa mendle nas we wsi takich!

Bez bab! Bez chłopów baby! Bez dzieci!

Komorniki w chałupach swoich służebne, wstydlive!

W pociemku! Popod płotami! Po zastodolu! O Jezu!

A tam zabawa! Muzyka! Czosnki grają! Chłopy piją! Baby tańczą! Dziewczyny piszczą! Kawalery ich do bawienia prowadzą! Na bufecie się kufle z piwem, z wódką leją! Ludzie się bawią! Radość mają i wypocznienie! Rozweselenie wsi całej, udręczenie nasze, zawstydzenie i przypomnienie nasze? To całe życie już takie?

Ja w ciemności dostatniej, po co mnie ma być widać, zakryty, zasłonięty płotem stoję, przede mną te światła i granie i świergotanie dziewczyn, mężatych bab jazgot nierozumny, kawalerów bawienie, chłopów basowanie. Ode mnie z lewa, za sąsiedzkim płotem, drugi złym żywotem dotknięty, Półchłopek mały, jak baba nie porośnięty na gębie, w największym się cieniu jak złodziej skrywa. A za nim po sąsiedzku Dolek Diabli Wygiętus, w tył przegibnięty, przez dziurę w bramce się patrzy, kością od mostka w przód marynarki się bodzie, matce ze stoła dzieckiem

spadłszy garba się dorobił. Dalej Kuraś Wojtek, niemowa, przy swoim płocie wartuje, a jeszcze więcej nas takich, więcej!

Kręciło Wierciło Cymbałek, mu się każdej nocy przedstawia bandyta idący do niego w siano śpiącego zaszlachtować jak wieprzka, z siekierą chadza spać, klapę w powale na noc zabija i ją odbija z rana. I Jedrusz Grabarz, przygłupi, na cmentarzu w trupiarni sypiający, babie swojej, jak spać mu w domu dozwalała, dzieci narobił tuzin. I Maciek Opasiuch, bez portek lubiący paradować na pośmiech, czerwienienie dziewczyn, choć mu kanarek z przodu jak dziecka noga wisi, z wielkości żadna baba używania dotąd nie miała. Tak i Karolcia, mokrość robiła w kościele, jak organy zagrały, że ją zaprzestali do przybytku prowadzić, bo się głupia przez to szczanie swoim widziała. I Henek Kałpi-tuwa, na gońca przy gminie się wykierował, choć on bez rąk, pamiętanie ma dobre. I Gienek Pogorzalców z Cholewianej Góry, tu osiadłych. I Anielka Dupna, dziewczyna dobra, się każdemu rozkłada. Więcej nas we wsi jest, organizację by my jaką mogli zrobić, o swoje dbać!

A tam? Jezus Maryja! Ludzie wszystkie zdrowe, chłop w chłopą proste, dostatnie, dziewczyny piękne, dupiate, baby mężate krępe, kawalery też z nimi zdałe, i starych ludzi przygnało popatrzeć.

Czosnki muzykanty rzędem na ławie siedzą, na ludzi z góry patrzą, a co przystaną, to z nowa grają. Walek, ojciec trzech synów najstarszy, na akordeonie niemieckim ze szmuglu walc *Głęboką nocą* prowadzi, Jasiu, najstarszy po ojcu, najzdalszy, smykem po skrzypkach wodzi, na dziewczyny z wysoka patrzy, magazynierem w gieesie jest, boków na tydzień ma więcej, jak inny zarobku przez miesiąc, Stach na saksofonie niczym byczek młody do jałówki pobekuje, tony dobywa, na trąbce Bolek, nie bardzo muzyczny, popiskuje różnie tamtym roboty nie psując, na końcu ławy Mietek Rodzeniów po bębnie pałkami bije, ludziom krok trzymać pomaga.

I bawią się tak, ze dwie godziny, jak rozpoczęli.

Bufet na powietrzu stoi, zakąski zimne, popić chętnym jest, piwa do smaku, wina, wódki. Walek Bednarz wszystkim tam rządzi, z komitetu zabawowego na budowę ustanowiony. Na ławkach, stołach z desek pozbijanych chłopcy siedzą, cygary kurzą, piwo piją, wódkę do siebie wypijają, kiełbasy jedzą, salcesony, pasztetowe.

Ja widzę, słyszę, więcej się ich coraz weseli, dziewczyny stoją po dwie-trzy, chichotają, obmawiają kawalerów, swojego czekają. Stare baby z plotami przylazły, byle co brechają, czasu mają nie mało.

Do południa zebranie frontu było i się odbyło, uchwały ukazane ludzie uchwalili, w kościele się suma odprawiła, chciał kto, na nieszpory szedł. Proboszcz, ze wsi Nienadówki się wywodzi, z brewiarzem, z różańcem, wieczrę od gospodyni swojej podjadł, po szosie bokiem się snuje, niby nie przepatruje, a obserwację robi, jakie się grzechy dziać po nocy będą. Choć przy spowiedzi wszystkiego posłysz, ciekawość go wodzi po szosie, spać nie daje, przemyśliwa, coś knuje, trza by mu co robić, naród kościoła, sakramentów zaniedbywa. Jemu naprzeciw bez swojej, sekretarz gminny, Bartłomiej, niby po gospodarsku budynki przepatruje, suszarnie tytoniu nowe w głowie stawia, przy bazie maszynowej kółka naszego staje, a myśli, rozum poganiania, żeby przed władzami co mądrego w dobrej godzinie powiedzieć, ludzi do czego zmówić, proboszczowi owieczek podebrać.

Mijają się oba, zawracają, orkiestry Czosnkowe granie na szosę ku im wychodzi, przed nich się ściele, a oni z naprzeciwnika idą, jeden drugiego niby niedowidzi, inne urzędy ich na wsi, to ich ku sobie ciekawość zamiarów prowadzi. Ksiądz brewiarz w szarówce odmyka, w niego basem mruczy, modli się, a słucha, co się z zabawy doniesie. Sekretarz naprzeciw mu kroczy, minąć się oba mogą jak dwa kopiaste wozy, droga szeroka, to się mijają, nie przystępują do siebie, jeden się cuka, drugi, nijak się ozwać pierwszemu.

— Niech będzie pochwalony! — powiada ksiądz, jak się mijają. — To żeście nie na zabawie Wicenty? Bawić się trzeba, między ludzi wejść!

— Na wieki wieków, dobry wieczór — odpowiada sekretarz. — Ja nie Wicenty, pomyliliście się. Ano, nie na zabawie. Ksiądz, widzę, to samo nie między owieczkami. A Chrystus bywał i w Kanie Galilejskiej z ludem się bawił i bratał. Nie za blisko wam, widzę, Bóg swoje owieczki dopuszczać dozwala. Dobry pasterz i po strzyżeniu do owczarni zagłada.

— Wasze przodki po fachu — powiada mu proboszcz — też ponoć od wesela nie uciekali. W Londynie, słyszałem, na placu Piccadilly, obydwaj najprzedniejsze chcieli po wódce kogoś bić. Ludzcy byli, nie mocarze bezgrzeszni, a wy coś stronicie od wesela i wypoczynku zwykłego człowieka.

— Może i tak było, oni oba mogli. Kto ich tam urzędowo pilnował, jeszcze się wszystko nie rozrosło. A teraz, jak się jedni bawią, inni muszą baczyć. Czasy się pozmieniały. Ktoś ich musi wystrzegać, pilnować, nie brać udziału. Ludzie do siebie żale mają, łatwo się w bijatykę wdać, nie po dobrej się stronie zaangażować, autorytet stracić. Na boku trzeba, obiektywnie.

— Nam, widzę — powiada katabas — los podobny pisany. Ale — powiada — coś nie widać pod kościołem desek na poprawienie dzwonnicy, na gonty nie ma. Jak to będzie? Kościołowi ojców swoich się, Bartłomieju, nie przysłużysz?

— Obiecywałem — powiada sekretarz, a patrzy jak by mu odejść z honorem — ale nie bardzo wiedząc obiecywał. Zamroczenie mnie wzięło, posłuszeństwo stare, względu na urząd nie pamiętałem. Jakże to się mam deski kościołowi starać? Z miejsca kto przyskarży, żem opium dla ludu gotować pomagał. Rzeczywistość obiektywna nie pozwala.

— Przed ludźmi się nie wstydzisz, obietnicy zapominasz!

— Ksiądz tak samo cesarskiego zapomina, obywatelu. Z podatkiem, z dostawami obywatel zalegał. A teraz niejedno słowo z ambony wpływ by mogło na ludzi mieć pozytywny, front by się nasz mocny umocnił. Zbawienie przez ludzki żywot na człowieka przyjść może.

— Widzę, nie pozbieramy się w jedno. Kto kął, kto pszenica, chcesz oddzielać, a to boskie prawo. Jeden na lewicy pańskiej, na prawicy drugi, kto się wypowie, gdzie by chciał?

— Naród nasz lekkostrawny, obywatelu. Chleba on z dawna patrzy, nie wybawienia.

— Ano — wzdycha proboszcz. — Mijamy się na podzielonej ścieżce. Przy robocie, przy święcie. Pilnujmy, niech z ludzkiego wesela łyż nie płyną. Tam zabawa, my się swarzymy, a nasz fach prawie jednakowy, tyle że do innych portów statki prowadzimy. Niech choć spokojnie płyną. Wszystkiego dobrego i z Bogiem!

— Z Panem Bogiem — powiada sekretarz, mijają się, rozchodzą.

A ludzie się bawią. I my tam wszystkie pójdziemy, niech się lepiej pociemni. Ze łbów się trochę wykurza, trzaski się z podłogi w tańcu obłupują. Czosnki się nadymają, przy saksofonie, przy trąbce, Jasiu najstarszy smykiem wodzi, skrzypki mu grają jakby jakie cygańskie. Stach saksofonem panny na zabawę przyzywa.

Wyka Maniś najpierwszy jedną wyciągnął z ciżby, Jankę Marutową do bzu pod mój płot prowadzi, po drodze ją obejmuje, przyrzeka. Ona wzdycha, palce kręci, w stawach wyłamuje, oczami struchlałymi od babskiej chęci ciżbę przy zabawie obmiata, ojca swojego w strachu patrzy, czkania dostaje z ochoty. Maniś jak kogut przyskakuje do niej, odskakuje, skrzydłami trzepie, w ucho kładzie, żeby mu nie uciekła do siebie ciągnie.

— Nie pożałujesz — zachwala. — Za wiele nie gadam, ale ci się uczciwie odwdzięczę, do ślubu, głupia, co masz, pragniesz

musowo dochować? Kto ci powiedział? Ze mną ślub być może! Nie ma co zwłoki robić, chłop jednej nie dostanie, do drugiej leci, nie ma sposobu na naturę gorącą. Ty mnie tu dzieła mojego nie utrudniaj, nie sabotuj mnie się, żebym gdzie z inną w nieszczęście gorsze nie popadł!

Janka go słucha, przegina się w boleściach, palcami grubymi prztyka, powietrzem zipie, przy płocie się chwieje.

— Maniś — powiada z męki. — Coś sie tak na mnie zawzięł? My żeśmy się nawet nie poznajomili, nie potańcowali. Ojciec krzyku narobi, że sie z bezwstydnikiem szłam pokłaść!

Maniś ją w bez wiedzy, krzaki dziewczyną łamie, tratuje.

— Chodź! — powiada. — Na zabawę wrócimy, pobawimy się jeszcze, znajomość pogłębimy. Chodź! Jeszcze trocha, chodźcie nie bede mógł jak na czterech!

W krzakach zasiadają, nie na siedzenie siedzą. Janka powietrze łapie, Maniś ją rozodziewa, ona się broni.

— Puść! — syka na niego jak zmija przydepnięta, szamotanie na liściach idzie. — Co mnie takiego chcesz tu robić? Puść, bo szpitala sie dochrapie! Oooj, Maniś, cholero, puść! — skomle. — Czegoś ty mnie tak poprzygniatał! Puść, jeszcze co we mnie podrzesz! Maniś, cholero, puść! Oooj, ja teraz co tobie połamie!

Słyszę ja z lewa, podług płota idąc Półchłopek niby cap pobekuje, niesie tam swoją głębę podniesioną, przy sztachetach podryguje jakby tańcował, z prawej Dolek Wygiętuś w przód wysadzony, jak jaki wielki pan brzuchaty do bżów na palcach postępuje. I one oba, ja trzeci, w te krzaki bzu się wpatrujemy, one dychają jak w młockę, nie gorzej Wyki Maniusia, dolo nasza nieszczęsna, niedziela i z zabawą piątek bez omasty?

Maniś za chwil parę przed krzaki sam wyłazi, portki poprawia, jak kogut piórami się strząsa, do zabawy krokiem idzie, gardło w bufecie przepłukać, okiem dziewczyny przepatrzeć, może już jaką w kroku spiera, trza mu miarkować, jaką. Chybie się lekko na nogach, Janka mu wódkę wypitą rozbełtała we łbie. A ona sama za nim z kraków wychodzi, kieckę na siebie ściąga, rozgląda się, może kto na nią patrzy, sukienkę od nowa podnosi, pończochy wygładza, majtki zesunięte na swoje miejsce poprawia, idzie popatrzeć na zabawę; nie jeden raz ruchana, bo tak w spokoju zawraca.

Popatruję przez płot, Kuraś Wojtek wlaź już blisko podłogi, pokrzykuje jak dziecko, nie każdy wyrozumie, co by chciał. Kręciło przy bufecie posterunek przyjął, ośkę od kosy, nóż za pas sobie wsadził, podryguje na Czosnkowe granie, że to jemu grają w głupiej się głowie przedstawia. Anielka Dupna szpagatem

przepasana, w chodakach ode gnoju, cielęcym głosem beczy. Dolek Diabli Wygiętuś zza krzaka się wysuwa, kapotę na garbie wzdętym zapina, Póchlópek cygara popala, przez rów na szosę wychodzi. To ja też bramkę przy wrotach roztwieram i do zabawy posuwam, nie ma co więcej stać, na opóźnienie wystawać. Do ludzi się tam wkrecam, Olek Piędlów się do mnie obraca, na bufet mnie pokazuje, ludzie puste flaszki na ziemię rzucają, pół litra można ze szkła zrobić. Ale ja na co innego dziś uważam, co mnie tam flaszek parę! Inny interes będę robił.

Patrzę się na ludzi, a one jeszcze nie pijane, popatrują dużo, gadają. Kумы i krewne, kto ma załatwienie, przy jednych stołach siedzą, młodsze im picie z bufetu znoszą, baby oszacowanie, rachunki robią, ile ich męża na wódkę już wydały, pilnują, ma być po równo, według potrzeby. Dzieci ojców za kapotę ciągną, grosz na cukierka skamla, na tygodniu ciężiej wyprosić. Pijący się jeszcze nie bratają, do ucha sekretów nie mówią, jeszcze się im rachunek w wódce nie zatopił: w interesach się wysmykują, kołują, do jakiej ugody nie za tanio przystąpić.

Gdzie indziej inne nie bawiące stoją. Ryś, karciarz, pogorzelec, za przegranie w karty stodołę mu podświeciły, przy podłodze stróżuje, zabawa mu się nie widzi, w karty by grał, wódki bez kart nie uważa. Żonę mu, patrzy, w tańcach odbijają, lubi się ona bawić, karty mężowe jej nie wadzą, nie gzi się, a ładna, najładniejsza, rosła kobieta, do ula by tego nie jeden za nią laźł, ale się Rysia boją, że mu powie. I ona mnie się najwięcej podoba, ją ja bym chciał ze wszystkich dzisiaj mieć.

Idę dalej, widzę, pierwsze się na zabawie, przy bufecie, nie chłopcy z pradiada wiodą, nie gospodarze, a te, co są od innych spraw na wsi, albo co przyjeżdżają do ojców z walizkami w niedzielę. Kazek Saganów, z powiatu, młody, słuchają go, co powie, może im da zmiarkować losy w mieście pisane. Dają mu wypić, patrzą, żeby mu kto krzywdy nie zrobił, bo by na swoją wieś był zły, w powiecie on i swoich podatkiem obłożyć może, kolegów ma, do wyższych dostępuje, może co podpowiedzieć, nałgać. Olszowy syna do Warszawy wyprawił, nie wiadomo, w czym robi, może w centralnym jakim głównym, u jakiego ministra radca, od porządków na ulicach największy, albo do Ameryki wypuszcza, do Kanady, parę tam naszych z wojny nie wróciło. Syn komendanta Ryciucha to samo z powiatu zjechał, kolegów nie ma, sam jest, co się syn wywie, ojcu będzie wiadome. Stach Bełzów na inżyniera wyszedł, Jaś Krudysz robi w milicji, władzy ze wsi powyrastało, coraz bardziej wyrasta, gdzie kto kogo zaczepi?

Tymczasem, jak tak chodzę, bardziej się pociemnia. Koło giesu świateł rozjarzyło, na zakręcie przy szkole jasność, przy kościele się świeci, tu przy zabawie. Widzę, wszystkie kaleki bliżej życia idziemy dla siebie co odkroić, kiedy zabawa jest, ludzie nas nie pilnują, a piją. Idziemy tak od świata do świata, a każdy przecie nie nasz, nie nasz to świat, o, Jezu!

Ja czekam, myślę, co z tego będę miał? Robić co trzeba, próbować, ale zawczasu jest. Idę w pomiędzy ludzi, na szosę się zawracam, tam ksiądz się z nowa z sekretarzem mija, teraz już różnie oba na siebie patrzą, co mieli złego, powiedzieli, teraz by co ludzkiego trzeba. Jeden od ludzi chce malowania w kościele, drugi dom dla kultury budować, oba pieniędzy nie mają. Jeden chce przez kulturę silniej wieś do państwa przyciągnąć, prelekcje mu z powiatu magistry robić będą, drugi od biskupa sądzony po malowaniu będzie, to przystępują do siebie i gadają.

— Ile to malowanie malarza będzie? — pyta się sekretarz gminy. — Wieś nie za bogata, nie za bardzo pierze drzyć trzeba. Kościół postoi bez malowania, co ludziom po malowidłach, dziś w malowaniu stare w górę idzie. Od ołtarza się ludzie obracać będą, na malowanie patrzeć, nie na księdza. Ile to będzie tego kosztu?

— Pieniądzy się Bogu nie odmierza, bo to wszystko jego — proboszcz odpowiada. — Nie było kultury, kościoły były, tam, się ludzie dowiadawali, jak żyć. Teraz się więcej ludziom mówi, a oni coraz mniej wiedzą, więcej złego robią. Kawę piją jak hrabiowie przed wojną, mecenasowie w mieście i urzędnicy siedzą, grzechu wieś doświadcza więcej. Syn Pikuły wypił sześć szklanek na raz, opanowania nie miał, za dziewczynę niewinną się zabrał. Ile to ślubów brzemennych będę musiał dać? Może ten dom odłożyć?

— Jestem odpowiedzialny — mówi sekretarz — a ludzie będą głosowanie robić, trzeba pokierować, mnie nie za kościół chwalić będą. Może by my ustalili, kto pierwszy?

— Ustalajmy — powiada ksiądz. — Według tego, kto dłużej rządzi. Bóg, czy urzędów przełożeni? Według starszeństwa, jak dawniej. Tak będzie dobrze?

— Nie będzie dobrze. Kto na co dłużej czeka. Kościół ludzie mają, a jednakowo grzeszą. Jednej niedzieli żem nie widział bez konfesjonału.

— To nie Bóg dla ciebie starszy? Wprzód ciebie w kościele chrzcili, a potem żeś legitymację na urząd dostał. O Bogu trzeba myśleć!

— Bóg nie na wszystko radzi.

— No, jak ty tak mówisz, to się będziemy ubiegać przed ludźmi.

— Będzie, jak ma być. Idę teraz do domu kultury z ludźmi pogadać.

— Jątrzyć ich będziesz przeciw malowaniu, to wiem, ale pamiętaj, mój urząd starszy, między ludźmi żyjesz swoimi, oni twoimi sędziami będą pierwsi, zanim ci gdzie indziej fakturę wystawią.

— To będziemy i my faktury wypisywać — mówi jemu sekretarz. — A moja prędką do zapłaty.

— Jak tak, to sobie do powiedzenia nie mamy — odpowiada ksiądz, brewiarz z kieszeni wyciąga, odmyka go, za ciemno jest na czytanie, wsadza go pod sutannę do portek, idzie w swoją stronę, sekretarz w swoją, dziesięć kroków uchodzą, ale się nie rozchodzą.

— Barłomieju — powiada ksiądz. — Nasz fach prawie jednaki. Szanujmy siebie.

— Malowanie kościoła może czekać — odpowiada sekretarz. — We wsi ludzi starych dużo, dzieci ich nie dożywają, odpoczynku nie dają. Żeby ksiądz za domem dla nich agitował, żeby tam mogli nawet do królestwa niebieskiego dojrzewać, może bym przeciw propagandy nie robił.

— Królestwo Boże nie z tego pochodzi świata. Mnie nie wypada w ludzkie sprawy tyle starania wkładać. Po śmierci szczęśliwi będą, jakoś się jeden z drugim do bram niebieskich dokołata. Dom, twoja sprawa, a ty za kulturą.

— Bo przez nią światłość większa na wieś spłynie, ludzie żyć będą ukierunkowani, ksiądz im nie będzie z ambony grzechów liczył.

— Kiedy to tak będzie?

— Przyszłe pokolenia mieć będą jaśniej.

— Fach nasz jednakowo podobny, a w inne strony płyniemy. Nie odejmujmy sobie wiatru z żagli.

— Nie damy rady bez ludzkiego głosowania.

— Może nie damy — powiada proboszcz.

I oba od siebie odchodzą, na dobre się tym razem roz mijają. Ksiądz się na plebanie kieruje, sekretarz tak samo do domu. Czosnków granie coraz lepiej na całą wieś się rozchodzi, psy we wsi szczekają zaciekawione muzyką, dzieci po szosie się szwendają, po bramach wiszą, na podwórzach się bawią, ojców i matek nie ma w obejściu do spania ich zagonić.

Idę ja do zabawy, na mnie już teraz nie będą może patrzyć. Ale tu się jeszcze na dobre nie roztańcowali, nie rozochoćili. Bufet ma zatrudnienie, zabawę trzeba w pierw pokolorować z flasz-

ki, inaczej tylko po wierzchu chłopskiego losu pływa, a pod nią, pod bliskim spodem, dzień ich widać codzienny, szarość ich, gnój ich, a na tym gnoju zgnojone, bardziej gnoju pogniło. I na samym wierzchu jeszcze kalectwo nasze widać, nie życie to. Ich tu, tych zdrowych, pościagać na dół, tu do nas ich wszystkich dać, na nasze ubóstwo i kalectwo rozumu, ciała, my tam nie musimy za nich do góry się pchać, niech wszystkim w dole równo będzie. I może ono będzie, jak ja się do tego przypnę, czekać potrzeba jeszcze.

Widzę, Ryś karciarz, jak ja tak samo stoi, na żonę spogląda, ona odrabia z innymi szarwark taneczny. Kręci się na podłodze, obraca, głową, włosami przemiata, obkręca się, sukienka jej się w tańcu podwiewa, nad nogami białymi półdupki zdrowe w majtkach cienkich koronkowych do połowy nie przykryte widać, z przodu przyrodozenie zgrabne jej się w koronkach odznacza, tych pieniędzy by na nią z bufetu nie wydolił, chyba by Ryś raz za razem przegrywał, na łaszki nie dawał, na zabawę na przyozdobienie w jedwabie, co tam pod kiecką ma. Zwabię ją, myślę, niech się moje sprawdzi.

Dalej idę, Zarzycki, Sekuła, trącąją się kieliszkami, stojący piją. Sekuła pół litra w garści ciśnie, stoję im za plecami posłuchać, dobrze wiedzieć, nie szukać po omacku, ale one do siebie nic nie gadają. Hanus z biblioteki, po chorobie, po babsku kufelek w palcach chybotze, patrzy się na córkę, jego Maryśka ożenku z lepszym szuka, przyjezdnych jest trochę kawalerów, na nich się ona łakomi, ale się obce razem wodzą, nie za wiele piją, uważają. Przy muzyce, przy Czosnkach, Piela spod Markowizny, Łach Michał z Wygona, Dumień, Lis Wacht, Stach Partyka i jego bliźniak Ludwik, coś sobie doradzają, odradzają, ale to tak, by wiedzieli, że przy sobie stoją.

— Osiemnaście? — powiada Dumień. — W mieście po sklepach więcej biorą, syn mówił na kupowanie wyrobić nie da rady.

— Osiemnaście — odzywa się Łach Michał. — A ty półdarmo! Kurzy paść, złodzieje, jak za dziesięcinę.

— Tą, to by, kurde frak, przydymał — powiada ich słuchając Stach Partyka do brata.

I oba na Rysiową patrzą, na babskie przedsięwzięcie, co im się w tańcu z jej przodu i na tyle objawia.

— W dupie by jej, kurde, zachręściło.

— Chręściło by tobie, kurde. W krzyżu, jak by się do ciebie zabrała. Patrz na Rysia, oklapnięty jest, bawić mu się nie chce. Ona ma ognia za siedem. Przez co Ryś w karty gra, jak urzędnik żyje, nie żeby orał, siał jak inne? Siły do niej

mus mieć, wypocznienie. On nie przychodzi z pola na morde padający, jak my we trzech z ojcem na kolanach. Słyszał żeś, żeby ojciec do matki szedł? Przecie stary nie jest, jeszcze by dał rady!

Stach się od brata obraca, na Rysiówą się patrzy, na jej półdupki w tańcu grające, kawaler opierzony, mu się mani.

— Ile to lat się Witosowi pomarło? — powiada Dumień.

— Drugiego nie widać — Łach Michał mu przyświadcza. — Nie dasz, zmarniejesz, dobrze wiedz. Lepiej byle jak, a żyć, nie skakać do czego wysokiego. Cierpliwości mus mieć, do posnego być nawykły. Jakby wam co przyszło, my by nie wyżywiali wszystkiego? Trza kupować?

— Witosa by nam trza, żył by tu z nami, gospodarkę miał, głowę za nas.

— Bez uszanowania najtrudniej — powiada Piel, fryzjerstwem przyuczony w wojsku dorabia. — Nie nasz to ten, co się do miasta od nas przeflancuje? Z pustymi walizkami do ojca jeździ? Nie nasz?

— Wieś mu za nic, a w mieście czapki nie zakłada — dogaduje Łach Michał. — Sie kłania, żeby go za swojego przyjęli, ojców wstydzi, do czego lepszego popatruje, żeby go dopuścili. Nie im to ojcowe daje?

— To on się stąd do miasta dostał, tam swojego patrzy, ustępuje, do lekkiego życia dojścia szuka. Tam się do fabryki najmuje, do sklepu sprzedawać idzie — Lis Wicek obciera gębę z wódki.

— W gospodach usługiwać, kurwa, pieniądź nie ze swojego robić pazernością, bez wiary w co, bez rozpoznania — powiada Dumień zły i popluwa. — Najpierwszy on w zaprzaństwie, z czapką w garści pozdejmovaną, wżeniony w tych przyjmujących pokłony, we wszystkie okolice, kurwa, powdziejczany, posiany, powschodzony, jak oset, kąkol, jak poślad jaki się pleni!

— A przecie trudniejsze my byli, jak Cygany — smędzi Piel — do poosiedlania, do wynadgradzania, żeby my się tylko jazdy na wozach swoich odrzekli, żeby my nie byli swoje, do nikogo przystałe, żeby my się do robót różnych najmowali, panów mieli, pieniądza czekali.

— Na listy — powiada Dumień — żeby nas, kurwa, powciągać, porejestrować, pokatastrować, żeby wiadome było karać kogo, za posłuch kogo nadgradzać!

— Tak to ich z wozów cygańskich pozdejimali — przydaje Łach — przy malowaniu, budowaniu rozdzielili. To i my ostatnie ze swoich wozów jutro będziemy zsiadywać, konie na mięso

do jedzenia bić, oddawać się, sprzedawać. Kto będzie na nas uważanie miał? Nikt!

Wycieka im to gadanie jak z konwi rozeschniętej, co wycieknie, obsycha, szkody żadnej, mokości nie robi.

— Kościół, powiada ksiądz, trza by malować. Pieniędzy dać — odzywa się z nowa Piel.

— Mnie w chałupie na łeb cieknie, nie mam na deski nabrać — powiada Lis Wicek.

Przepijają kompanią.

— Spowiada urzędników, mu nie odmówią — obciera gębę Lis.

— Kostka Gumieniaka córka nie mogła się do szkół dostać, przez biskupa załatwił.

— Rodzeniową Hanke też bym, kurde, wydupcył — poziewuje Stach.

— I żenił byś się z nią, pojeździwszy? — pyta się bliźniak.

— Iiii, sie żenić! Ojce, dziadygi stare, po weselu by żywić zaraz trza, ze swojego na stracone! Kto inny niech!

— Co wy tam, młode — odzywa się do nich Łach Michał — za używanie teraz macie? W wojsku żem był, w Białej Podlaskiej do wojny, burdel był przy koszarach, dwie minuty drogi, kurwy pod bramę przychodziły z nimi iść. Ojce przysłali dwa złote, można za spód było potrzymać.

Stoją, gadają, flaszkę obsuszają, po trzecią posłali Ludwika Partykę, gęby im się gorącem jarzą, rośnie zdrowe chłopy, wyrobione w polu, ostrożne, niespore do niczego. Dumień z paczki sporty po jednemu daje, popalają, czekają nowego napitku. Stach za dupą Rysiowej w koronkach oczami się na kolanach czołga, Wicek Lis, najlepiej wypity, do mnie się obraca, palcem mnie pokazuje, do siebie wabi.

— Wrzodziaty — powiada — na zabawę zawitał. Parchaty! — odzywa się do mnie. — Śwancu jeden! Zaganiacza masz musi podobnie wrzodziatego! Pojechać możesz?

Naigrawają się ze mnie, wesoło im się porobiło, ja swoje myślę.

— Eeee! — wyśmiewa się Stach o Rysiowej myślący. — Jakby miał na niem, kurde, takie gule, wszystkie by baby ze wsi chędożył. By która nie poszła popróbować odmienia? Taki on sam, jak nasze, tyle utrudnienie z wrzodziatą gębą babę nawdziać. Obrzydzenie się ruchać z takim, zaduch jak z urynała!

— Chodź! — powiada Dumień do mnie. — Napij się z nami. Szkody ci stare narobiły, działając ci parchy na gębie, miej z nami rozweselenie jakie. Chrześcijanie my bez różnicy.

Dają mnie wypić, to ja piję, po Pielu Antku z flaszki.

— Masz ty jakie grajcare? — wypytuje się mnie Dumień.

— Co mam mieć. Nie mam.

— Nic się nie bój. Ja dam tobie zarobić. Dwadzieścia złotych ode mnie dostaniesz, wyrzypiesz przy nas Anielkę Dupną? Odejdziemy gdzie na bok, żeby kto ciebie nie naszedł. Sobie popatrzymy, jak ty taką sprawę działasz. Wyrzypiesz?

— Mogę — powiadam. — Popierw pieniądze dajcie. Ostatnim razem tak samo żeście przyrzekali, grosza żem nie widział. Darmo nie będę głupiego robił.

— Popierdolić nie chcesz darmo? Coś ty, kurwa, żebyś pieniędzy chciał na dupie robić?

— Za pieniądze mogę, ale dacie przed robotą — powiadam zły.

Pieniądzy im szkoda, obracają się ode mnie, napoczynają czwartą flaszkę.

— Wycykałaj ty od nas z temi parchami, bo ci kopa dołduje! — powiada Stach Partyka. — Obesrańcu wrzodziaty!

— Witosa by nam trza, za nas by myślał — zachwala swoje oddawszy flaszkę Piela. — Sierotami nas zostawił. Dziedzica nie dał.

— Na malowanie pieniędzy trza ładować — wzdycha Lis Wicek. — Jeden da, drugi, nam dać wypadnie.

— Zamek budujem. Internaty budujem. Zdrowie Dziecka budujem, to z malowaniem musowo czekać.

— Dom dla kultury będą stawiać.

— Na malowanie dam — powiada Lis. — Na dom dla kultury nie dam.

— Daję na tacę każdą niedzielę — sprzeciwia się Łach. — Kultury by nam trza.

Piela flaszkę od gęby odejmuje i mu się przygląda.

— Heretyk żeś! W dupę takiego i ze wsi! Niech sra gdzie indziej!

— Heretyk? Ja?

— Heretyk, kurwa! Boga masz za nic! Na sumę chodzisz, przed ołtarzem żegnasz, a zębami gwoździe z podłogi kościelnej ciągniesz! Złodzieju!

Łach z flaszką pustą w garści do Piela się przysuwa.

— Ozwij się raz jeszcze, kto kradnie, a ci tu, kurwa, kły na ziemię wysypię! Jak żeś, kurwa, z księżego lasu rznął, kurwa, drzewo w wojnę i do domu żeś woził, to dla ciebie ja złodziej? Kto pokradł Surdyce, kurwa, brony, koła od sieczkarni, jak go zamykali? Musiał żeś, kurwa, odnosić, jak się zwolnił!

— A miały stać? Skąd ja wiedział, że go puszczać? Nie

mówiły, jak kogo wezmą, to go odwożą, gdzie dziadków wywoziły? Miało się zmarnować? To ja tu teraz złodziej?

— Coście się, powściekali? — godzi Władek Dumień. — Nie ma to takich, co was po dupie leją, same się prać będziecie?

— Niech nie pierdoli byle co — odwarkuje Łach. — Kły niech se wsadzi w dupę! Heretyka zdybał!

— Sie, kurde frak, nie mogą zgodzić — powiada Stach Partyka do brata. — Mają się o co, kurde, wadzić, skórę od gówna. Dom stanie dla kultury, kurde, bo go pobudują, kościół, kurde, będzie pomalowany, bo go pomalują, a one się będą drzyć. Stare, a, kurde, głupie.

— Zasańcu! — woła na niego Piel. — Mleko ci matczyne pod nosem nie obszło! Że wódkę z nami w kompanii chłasz, to tego, bo dajesz pieniądze, wypić my z każdym możemy, smarku!

— Bo sie prawujecie, kurde frak, przed sobą! Gdzie indziej sie zabierzcie, z widłami, obrzynkiem, powojować, a wy tu we wsi gieroje! Możemy z wami, kurde, nie pić, mus nam? — Ludwik się za brata wstawia.

Widzę z boku, one wszystkie, Piel i Łach, Dumień, Lis, oba Partyki, przeciw sobie podskakują, niby rękami przepatrują kieszenie za czym, złe na siebie, ale się od siebie nie rozchodzą. Bo gdzie by miały pójść, jak one tu wszystkie w kupie żyć muszą, to się wadzą za to i swarzą, ulgę od żywota robią, a jemu nie widać odmiany, polepszenia. Za dwa pacierze najstarszy, Władek Dumień do bufetu idzie, dwie flaszki na zgodę przynosi, piją razem, patrzą po innych, niby nic do siebie nie mieli. Gdzie granice głęboko rysowane, czarne, białe, kto one granice pokaże, powie za jaką jest, wszystkim pokaże ich świat warty malowania, budowania? Gdzie świat, myślę, że my kaleki, chore, oberwańce, przygłupie, w nim się pokrzywdzone posiedziem? I żałość mnie wielka bierze, mierzwa się mnie w głowie ze złości robi, nie widać przez nią dobrze, jak w zadymkę, szarość się mnie w głowie podnosi jak o słońce w jesień. Żeby to ja był mocny, wszechmocny, ja bym to wszystko sprawił, wiem dobrze.

Idę pomiędzy ludzi i myślę. Mignął mnie w ciżbie przed oczami Dolek Diabli Wygiętus, Kuraś Wojtek pobekuje przy nim, Półchłopek nie sięgając pasa w ucho Wojtkowi mamrota, obślinia się, trochę popił, Anielka Dupna kręci się w lewo za bufetem. Ja im wszystkim sierotom raj dzisiaj otworzę, przygarnę do siebie, wspomogę, gospodarstwo jakie pospólne założę, chłopów ponabieram za te pieniądze, niech za nas inne robią, po sprawiedliwości los ich zakończę przez Boga odepchniętych. Bab to samo ponabieram, żeby żadna nie była czyja i honorowa,

a spólna, jej dzieci spólne, ile się jej przydarzy. Chodzę i słucham i myślę i los mnie nasz niby wódka na suchą gębę bez zakąski pieka, ostro jego smak, gorzki, nienawistny.

Muzyka się na moje myśli coraz lepiej rozgrywa, granie po całej wsi słychać. Między chłopami parno, gnojno od tygodniowej roboty, dziewczuchy się w tłum garną, lepiej jak w procesję na Boże Ciało się cisną, pachnidłami, smarowidłami babskimi słychać, i się to wszystko cizbi, miele, przemiela bez odpocznienia. Czosnki grają, podłoga skrzypi, tancerze przytupują, kiecki dziewczynom fruwać nad dupami nie gorzej Rysiowej. A nie wszystkie młode tańczą. Na boku Bartek Srocyn wdowy syn i Skomrów syn najmłodszy, i Szubów Felek, i Dwojaków syn, i Sączaków, i Kidów Edek bez jednego oka, stoją i się nie bawią. Zmawiają się, namawiają, z flaszki jak stare wino ciągną, kręgiem koło podłogi chodzą, co by komu zmalować patrzą, ale się boją, gospodarze jeszcze nie ze wszystkim pijane. Dziewczyny tak samo czekają omamienia, jedna Janka Marutowa w krzaki z Maniusiem poszła, inne aż ojce, matki, przestaną ich uważać, patrzą. I pomocnik gminnego sekretarza zaufany się między ludzi wkręca, jak w olszowe drzewo przybutwiałe wchodzi, a od dzwonnicy Celina, kościelnego córka, ruda, tłusta, niby się na zabawę z ojcem przypatrować idzie, a nie inaczej oboje, jak na postereunek wyznaczony.

Czas mój się powoli przybliży, nadchodzi, i jest go co raz mniej, a tu się nic nie robi. Ludzie się bawią, nie biją, jak jeden drugiemu co powie i się do bitki porywa, to ich rozdzielają popierw, jeszcze sobie po gębę nie dadzą, rozdzielone zaraz się godzą ze spokoju zadowolone. Inne też niby się bawią, a widzę, im ta zabawa, jak długo w nich jaka trzeźwość, nie za bardzo wychodzi, do połowy markotny, od połowy weselny to tłum. Dalej tak pójdzie, my kaleki, sieroty, w domach swoich popychadła, komorniki i sługi spać pójdziemy smaku nie zasmakowawszy. Lud ten bawiący za trzeźwy jest, za uważający. Jak tu się wyrwie Dolek Diabli Wygiętuś na Władka Dumienia? Jakim sposobem Kuraś Wojtek posłuch w cizbie będzie miał, jak one, jeszcze trzeźwe, pilnują kto jakie miejsce we wsi ma zapisane? A jak Półchłopek do bufetu po flaszkę wódki pójdzie, jak on jest bez pieniędzy? I mnie by samemu Anielkę Dupną, jak zem nie raz to robił, do szlachtuza prowadzić by pasowało i robić z nią co potrzeba.

Nie na nią to dziś ja patrzę. Sprawiedliwości chcę, mnie by ta radość kaleka, dziadowska, nieczysta, nie do smaku dziś była, nie do smaku. Ja z inną bym chciał, lepszą, żeby czysta była, najładniejsza, żeby mnie ona nie chciała, a by się musiała

ukłaść, taką, co by mnie pazurami darła, zębami cięła we złości, że sprawiedliwość dla nas przyszła. Ja bym to chciał z Rysiową i bym jej użyczył Wojtkowi, Dolkowi, niech by nie pomyśleli, że ja dla siebie tylko. I te pieniądze, co będę miał, to ja im zaraz w mig porozdaję, w mig ja im pokupię, temu buty, onuce, rower tamtemu, żeby nie chodził na nierównych kulasach, Kurasiovi Wojtkowi przyodziew jaki, Anielce Dupnej, żem ją sierotę parę razy miał, na świecidełka dam, na pachnidła, odzieżę jak panią jaką, Karolcię każę leczyć doktorom, żeby ją chcieli w kościele widzieć, wygnaną owieczkę bożą, niech ją, gdzie chce, dopuszczą.

Tego ja myślę, czekać trzeba i ja się niepokoję, ale mnie nie ma co przyspieszać, pilnować trzeba, przysposabiać. Jak jaki gienerał do Kręcidły ja idę, niech uważa, mówię, zysk jaki, może, dam tobie przy bijatyce zrobić. Do Wojtka Kurasia się przysuwam, ty się za blisko trzeźwych nie trzymaj, przed Czosnkami grającymi się chowaj, muzykanty na ludzi z wysoka patrzą, widzą. Anielkę Dupną przeganiam, niech się nie smędzi w pomiędzy gospodarzami, Dolkowi Diabłemu Wygiętusowi zakazuję pić wódki, i one mnie słuchają. Siedzimy z nowa po cieniach, poza plecami się przesmykujemy, baczę na wszystko, uważam, niech Celina ruda za dobrze mnie nie widzi, pomocnik sekretarza z gminy co złego ze mną nie zwiąże, jak się co jutro po zabawie będzie w urzędach mierzyć.

To teraz razem czekamy, a tam zabawa idzie i mnie się raz zwiduje, bicie się rozpoczęło. Krzyk się przy Lebidowej stodole podnosi, a to młode Skomry i Sroki, Szuby, Dwojaki, Sączawy, przyparli do wychodka nie swoich dwóch z Majdana, co się im zamaniło dziewczyn naszych prosić. To ich tam bili, krótko, ciemność była, swoich zaczęli szarpać, tamte się wywinęły swojej sposobności czekać, jak się od nas do nich kawalery bawić wybiorą. Za kwadrans jaki Łach lepiej sobie popiwszy do Pielu się porwał, chociaż na zgodę przepijali.

— Ty, kurwa, krowi łbie! — do niego powiada i do kieszeni noża sięga. — Ty, kurwa, świński ryju! Surdyków brony, koła z sieczkarni oddaj, złodzieju! Będzie mnie tu od heretyków wyzywał! Ja na dom dam i na malowanie dam, jak się mnie będzie widziało, i na państwo dam, ja nie dziad, nie złodziej, porządny, robotny gospodarz na swoim! Jak się mnie co uwidzi, to na co do powiatu, do województwa grosza sypnę, niech władze mają, im zawsze potrzeba! Mam z tobą przepić, lepiej im, tamte chociaż otwarte, się nie ukrywają, do spowiedzi nie chodzą, się nie kają jak faryzeusze! Ja ciebie, kurwa, zakłuję za tego heretyka!

— A idź ty, chuju głupi! — oddaje mu Piel. — To my przecie na zgodę pili! A na mnie nie mów, żem złodziej! Jaki ja tam złodziej? A bo to ja jeden nie ze swojego żem brał, dziś mało takich? Tylko dać im gdzie! Coś ty się mnie jak krowiego ogona przyczepił?

Łach mu się przed nim kiwa, rękę w kieszeni ma, zębami zgrzyta, niby się ze sobą mocując, że mu strach i nie sprawa noża wyciągać, to tak się ze sobą wadzi.

— Ja bym ciebie, kurwa, do tej deski przypiął, tyle do kryminału za złodzieja iść nie robota! Żyj, ścierwo, paś się na ludzkiej krzywdzie! — powiada i się dalej kiwa.

— Od wódki zgłupiał — przypatruje się Dumień.

— Ja dam na budowanie — powiada Łach — a na malowanie nie dam. Ojce moje dość nadawali.

— Heretyk! — drze się żona Piel, do nich podeszła i wysłuchała. — Antychrys! Bogu przed ludźmi bluźnić się nie boi! Co wy się, chłopcy, patrzycie? Wam to za jedno? Bić skurwysyna!

I się sama do Łacha bierze, za oszywkę go łapie, kolanem bodzie, na przyrodzenie utrafić szuka.

— Bić go, niedojdy, niedowiarki!

Łach się wyswobodził, chłopcy się przy nich gromadzą.

— Weź babe za dupe, co sie wydziera, kościół kto tu obrobił? — powiada Dumień na Pielę. — Nieszczęścia, kurwa, narobi!

— Mnie do niej nic. Nie będę się do jej religii wtykał.

Pielowa za oszywkę ciągnie Łacha do innych.

— Bić go, bo ja go czym dziabnę, nożem jakim!

— O co się rozchodzi? — zaciekawia się Mietek Sitarz. — Ukrad co?

— Ma w dupie kościół, powiada, a co więcej, nie powiem, żeby od grzechu mnie śmiertelnego nie poraziło! Sukinsyn jeden, bandzior!

Łach się Pielowej wyrwał, chwije się.

— Same złodzieje żeśta! Ja wam tu jeszcze, kurwa, flaki powypuszczam! Co to ja? Do kościoła nie chodzę?

— Aleś powiedział, na kościół nie dasz?

— Kościół stoi — powiada Stach Partyka. — Co będzie, kurde, dawał? Nam i kultury, kurde frak, potrzeba. Niech się i u nas miejskie życie rozgości!

— Zarazę miejską sprowadzać? Ciebie by naprać po mordzie!

— Wasza nie lepsza, tyle co, kurde, stara i głupia — wstawia się za bliźniakiem Ludwik. — Patrzcie, kurde, po sobie, jakie żeście ciemne!

Celina się na to przysuwa, biała, ruda, cycki ma wielkie jak banie, z otwartą gębą słucha, gałami od jednego do drugiego wodzi, krew jej się burzy, jak stary zakwas bez chłopa kwaśnieje, chcenie wielkie babskie ją znarawia nieuspokojone. Na ludzi popatruje krzywo, zła, nienawistna baba. Jęzor ostry, myślenie twarde, nie babskie.

— Chleb ich bodzie, co go Pan Bóg dobrym ludziom daje! Grzeszni, bezbożni ludzie się przy nich pożywiają, a jeszcze świnią w koryto — odcedza powoli, spoziera na chłopów, miarkuje, jaki być może ten i ów, rozporki im przepatruje.

— Stachu — pyta się Ludwik bliźniaka — prać, kurde, kogo będziem, czy jak? Stoimy, kurde, jak na weselu! Przygrzmocimy kogo?

— Ja bym ją przygrzmocił, ale kadziłem ją, kurde, słyhać. Brać się za taką, jakby za kadzielnicę.

Celina blednieje, nadyma się jak indor cyckami tłustymi.

— Smarki dwa, jeszcze w portki szczają! Milicji by zawołać, karę by ojcom zapisała, dzieci na zabawę puszczać! Nie ma ich kto do domu zabrać, po dupie dać!

— Ja bym ciebie, kurde, pod siebie zabrał — powiada Stach. — Co tu takie rupiecie przychodzą, na przespiegi, ludzi, kurde, obwąchiwać? Inne w tym fachu, kurde, niezgorzej robią!

— Nikt nie potrzebuje grosza komu wydzierać — powiada Celina do ludzi i oczów nie odrywa od rozporków Ludwika i Stacha: bliźniaki zdaje są, tam ją ciągnie.

Ludzie się rozchodzą, kręcą się z nowa Piela i Łach, Dumień, Lis Wicek, Partyki rozweselone na Celinę się patrzą, coś im się w głowach przedstawia, śmieją się, ona odchodzi od nich, do ojca idzie, tłusta dupa przewala się na lewą, na prawą nogę. Ośniedzieje w panieństwie przy ojcu, za kalekę by ją uznać na jakiej komisji.

Czosnki cienko grający zmiarkowali, przerwy nie będzie, pogrywają od nowa, ludzie tańczą. Stach Kacabał posuwa po podłodze z Rysiową, jak się muzyka zatrzymuje, on ją całuje po ręce, jak jaki z miasta się kłania, wyprowadza pod rękę z podłogi, coś do niej gada. Ona zadowolona chustką od nosa obciera się pod pachami, włosy czarne wysusza, cuch od niej bije mocny, do wachania dobry. Kacabał ją namawia, przekłada, ona głową kręci, się śmieje, jeszcze pachy obciera, ale z nagła nie mówi nic, w gębę go strzela. Kacabał się odchyła, spode łba patrzy, może kto widział, nie honorowo mu, do bufetu odchodzi, zakąskę bierze, wódkę pije na zmartwienie.

I z nowa się miele ciżbowisko, jasno ja widzę, tak dalej pójdzie, zostaniemy kaleki bez niczego, bez udziału nasz żywot

chudy wieść. Żeby ja gryzę jedno o drugie, żeby zawczasu nie narobić biedy, nieszczęścia jakiego dożywotniego nie spowodować. Czekać trzeba.

A tu Łach, widzę, Piela, już pogodzone. Partyki stoją cicho, zabijaki są, babiarze, dziewczyny z nimi nie pójda na widoku tańcować, śmiechu się boją ludzkiego. Dumień z faszka do swoich idzie, Ryś kalkuluje w głowie, nie patrzy się na żonę. Ona już z innym tańcuje, po miejsku się w tył odchylają, przytupują, delikatnie w koło siebie chodzą, tancerz ją rękę obkręca, kiecka jej się podnosi, koronki, halka, majtki widać, nogi całe, wyżej nóg zgrabne wszystko. Nie o niej, o końcu zabawy myślę, jak niemrawiec na granie patrzę, na picie, tańcowanie, na te swary, malowaniem rozdzielanie, budowaniem, daniem ich i nie daniem. O domu dla kultury myślę, czy my tam kaleki, niedojdy, kaprawe, pokrzywdzone, będziemy mogli pójść, posiedzieć, pośmiać się, poweselić? I wiem, nic po dobremu nam nie dadzą. Albo to brat mi bratem, jak on zdrowy jest, uważany, dziewczynę ma, będzie się żenił, pieniędzy mu dają zarobić? A bratem jest brat Anielki, w domu jej każe buty dla siebie wyczyszczać, jedzenie dawać, do stołu z nią nie zasiądzie? Ojcem jest dla niej ojciec Jadźki, jak sponiewalał ją w sąsięku, kurwę jaką obcą? I ojce Kaśpituwy, co go bez rąk w chałupie nie chcą żywić, i Karolci swojaki, że ją, bo szczy, do kościoła nie zabierają?

Tak myśląc widzę jaśniej, wyraźniej mnie się przedstawia, nic, tylko swojego czekać, w cieniu chodzić, w ciemnościach przesłuchiwać, co komu kto powiada, a one niech się biją, niech się za oszywki wodzą, przy jednym bufecie piją, przy stole swarzą, za łby ciągną o malowanie, budowanie. Żeby ja posłuch miał u nich jaki, ja bym ich jeszcze do siebie przeciwstawił, niech by się prędzej spełniło, bo one się przez wódkę zniemrawiają, do siebie przepijają, łzy serdeczne braterskie po gębach rozmazują, pieniędzy nie żałują, żeby jeden drugiego w poczęstunku nie pobił. Kto za malowaniem jest, drugi mu zaraz przyświadcza, kto za budowaniem, poparcie otrzymuje. Lekkostrawny naród.

I ja tak patrzę, widzę, Łach, Piela, na nowo się wyzywają, za łby się niby biorą, ale ich wojna niemocna, zaraz się godzą, do kieliszka stawają, bić się im jeszcze straszno. Sobie myślę, tego schowanego ognia dość się we wszystkich jarzy. Jak ja im w czas dobry zawołanie rzucę, one się za łby wezmą i już się nie pogodzą, jak po wyjściu dopiero ze szpitalów i ciurmów.

Idę ja dalej, a one mnie już nie widzą. Już im nie wadzi, że pomiędzy nich, wrzodziaty, jak swój wchodzę, że ja ich słucham, słowo jakie temu, tamtemu powiem, że one po tych słowach bardziej na siebie złe patrzą. Gorąca im z wódki przybywa,

już się po trochu na siebie napychają, oślepienie do siebie poskakują, dźwigają się ciężkie, omamione, ode stołów, patrzą się po ciżbie, po kieszeniach za czym ostrym w ciemno macają.

Czosnki muzykują, a im już we łbach coraz lepiej łupie, starych rachunków patrzą popłacenia, pitej na zgodę wódki zapominają. Widzę, powoli się na moje obraca i się obróci. Złe w nich jak woda w górę się podnosi, gardła bełkotem zadusza, do ślepiów czerwono się podnosi, mroczy, ale się jeszcze w pokoju dzieje. Jakiego słowa zapalnego im rzucić, żeby się sobie pogorzalcami przywidzieli, z winy czyjej nienawistnej, z czyjego podpalenia, z krzywdy nie do odpuszczenia swoim winowajcom porujnowane, zmarnowane.

I jak się tak, popite, w sobie zbierają, ode stołów dźwigają, rękami ciężko kufle, flaszki zgartują, nie wiedzą, gdzie by i po co, ja w pomiędzy nich wchodzę, ognia dodaję, aż widzę, Piela prosto do płota posuwa, dronkę z trzaskiem, z piszczeniem gwoździ pordzewiałych wyciąga, za sobą kryje, do zabawy niesie. Partyki gotowe z poniemieckimi bagnetami wojennymi na bicie czekają. To samo Zarzycki, Sekuła, wytrącawszy się kieliszkami, oba stoją w piciu zatrzymane, inne to samo czekają. Chmura się ciężka nad zabawą robi, ciemna, bałwaniasta, deszczu ona w sobie nie na pięć minut niesie. I ja czekam, stoję, dotrwać swojego nie mogę, a tu przybliżyć, podmuchać na chmurę nie ma sposobu, pierwszego grzmienia nie słychać.

Na nic, sobie myślę, tak do niczego nie dojdę. Wychodzę z nowa z cienia mego, złość mnie na nich trzęsie, postać spokojnie nie dozwala, nie godzi się, myślę, bezrobotnie stać. Zatrzymuję się ja przy Czosnkach, one grają, przy bufecie jeszcze ruch nienajgorszy, jeszcze się tam za mało flaszek posprzedawało, ale pieniędzy Walek Bednarz stargował i deficytu być nie będzie. To teraz idąc w ciżbie poszturknąłem nalewającego z flaszki Tabora z Nowego Przysiółka, on nie przytrzymał, wypadła mu, się rozbiła, zły się obraca, patrzy, kto szkody mu narobił, gotowy bez dania racji kogo prać. Drugiego, a był Janiec z Górki, popchnął zem, się zakolebał, mało w piach nie zarył, to on się tak samo rozeźłościł, winowatego patrzy. W tłoku Gienkę Przybyszową w dupę zem uszczypnął silnie, krzyku narobiła, nie wiele się namyślając: plask w gębę Maniusia Wykę, bo śmieie z dziewczynami poczyną, pijanego przytrzymali, on by jej dobrze dołożył. Tu, tam, swoje robię, tak parę rzeczy jeszcze, czas napoczynąć.

Czosnki na przerwę grać zaprzestali, zrobiła się większa ciżba, tancerze poschodzili z kobietami, z dziewczynami z podłogi, to

ja w cień wlażę, głos trochę przemieniam, co mnie mają poznać, że to ja ruch żem na zabawie napoczął.

— Rysiowa żona kurwa jest! — wołam. — Kurwa jest ona! I Piekutowa Maryna tak samo kurwa!

Robi się trochę głośno, ludzie z nagła po sobie popatrują, szukają, kto głośno krzyczał, spoglądają ku sobie, ja idę w drugie miejsce i stamtąd patrzę. Ryś przy podłodze stoi, zebrał się w sobie, w bary głowę wciągnął jakby był z niego byk i chciał kogo bóść. Rysiowa z podłogi idąca w miejscu się obkłęciła, pobladała mocno. Tym czasem się hałas podniósł wielki.

— Heretyki! — wołam ja teraz. — Łachudry, innowiercy! Cały Wygon, to niedowiarki! Bić zaprzańców! Judaszów!

Dech łapię, w trzecie miejsce idę, a już się robi, jak w ulu. Chłopy z Wygona pozbierały się w kupę, stoją, nie wiedzą, o co się komu rozchodzi. A ludzie, słysząc, pytają, kręcą się w koło siebie.

— Kto to? — mówią. — Kto się tak o nas drze?

— Sameśta niedowiarki, psiekrwie! — z Wygona wykrzykują. — Co się ludzi czeptać, kurwysyny jedne! Wy nie złodzieje?

— I z Długiej Wsi złodzieje! — wołam ja innym głosem.

— Kto kurwa? Ja? — lamentuje Rysiowa, przy mężu stoi. — Jaki skurwysyn powiedział, że ja kurwa? Pokaż się, ja tobie powiem, jaka ja jestem!

— Prawda to! — drze się Wojtek Zaguła. — Z Wygona do kościoła nie wszystkie chodzą! Lutry!

— Coooo! Bóg się pomści na zatraceniach, Turkach jednych! — gwałtuje Pielowa.

— My z Długiej Wsi złodzieje? — słysząc spod kopca Ciskowego. — Bić! Co nas będą obsławiać!

I się ruchawka dobra robi. Czosnki grać próbują za godziny płacone, ale jest po zabawie. Ludzie ku sobie posuwają, bokiem podchodzą, z flaszką, z kuflem, Szymek Gogutów cegłę w garści ciśnie, w grubych paluchach pogiętych, dronki z płotów trzaskają rwane, stołki łamane łupią. Trzy przysiółki, trzy wojska do ataku, sposobią się do bicia. Rysiowa Rysiem trzęsie, on zły, że go wyrwali z myślenia spokojnego o kartach, patrzy, kto by był hańby żoninej winny, wypycha go ona w przód, ale mu się najbliższy Jasiek Skomrów nie wydał, drugi był Stach Partyka z bagnetem, go minął, na ręce mu się popadł Kazek Rembisz, za włos go Ryś uchwycił, do siebie jak lejcami ściągnął, za gardło ścisnął. Kazek charknął raz, drugi, Rysiowi rękę z szyi zerwał, w zęby mu dał, to mu Ryś teraz łeb za włosy do ziemi przygiął, głowę kolanem rozbił, Kazek kwiknął i się wyłożył, Ry-

siowa go kopać wzięła, po bokach, po żebrach, w krzyże, zapamiętała się, przyrodzenia zaczęła patrzeć, Partyka ją Ludwik odwiódł.

A tamte trzy wojska, Wygon, Długa Wieś, Spod Kościoła, doszły do siebie, bijatyka się rozpoczęła, że takiej świat nie widział. Wielkie sapanie pogłuszyło Czosnkową muzykę. Baby w pisk, nie wiedząc, kto kogo bije, Czosnki zaprzestali grania, smyki poskładali, instrumenty powsadzali pod ławę, Rodzeniów Mietek wkopał bęben swój pod nią, żeby mu go kto nie poprzedziurawiał, czapkę naciągnął i skoczył do środka bijących. Walek Bednarz w bufecie szkło z szynkwasu zgarnął, pieniędzy powyściagał z szuflady, w kieszenie kapoty napchał, pipę wyrwawszy z beczki jak z karabinem stanął, żeby mu kto bufetu nie zrabował.

Nie za wiele czasu przeszło, a z cizby się wyratował Władek Dumień. Marynarka na nim w szmaty pozdzierana, krew z nosa po brodzie wali, po koszuli wykrzywionej leci. Dopadł płota Wąsikowego, przy rowie się powalił na znak jak ogier miśkowany z nogami zdartymi, legł głową w górę jakby się przepowiedni na gwiazdach przypatrował. Za nim się Jasek Dul wywinął, w rów ryjem zarył, tam razem z Dumieniem jak prosięta kwicząc przepatrowali kalectwa. Tolek Bezrąk trzy kroki się powalił od bijatyki, wył osłepiony, pazury mu ktoś w ślepie wraził, albo czym sypnął w niego, pieprzem jakim, solą.

To tyle żem na ten raz wypatrzył. Nad kośbą wielką, nad tym młóceniem jak we trzydzieści par cepów na klepisku, ciemność się z nagłą zrobiła niespodziewanie, w ciemności krzyki ścichły, sapanie słyszać było, bicie się roznosiło po łbach pięściami, po gnatach sztachetami, kołami, czym popadło. I ludziom światła nie było potrzeba. Na co ludziom bić widzieć, kraść się kradnie w pociemku, ludzi się robi do księżycy i okna się w izbie zamyka, zasłania, co ma być słyszać sapanie robiących to dzieło, to czego do bicia jasność? Rażniej im teraz nawet szło, nie mus im było dobierać, poznawać. Przy nowiu księżycowym bab słyszać było zgłupiałe wycie, dziewczyn piszczenie, łomotanie po kościach chłopskich, pokrzywdzonych po rowach płkanie. Pode płotami idąc przepatrzyłem leżących. Tu już życie w rezerwie Ryś prowadził spluwający zęby za żonę wybite, Antek Smusz pod figurą Majkową głowę z zawiasów wybitą kominował nastawiać, Mietek Bujaków szosą prostą swojego nie mógł dojść, w koło się zadka kręcił, zawracał kręgiem jak koń przy kieracie. I więcej było, leżało, na brzuchach się czołgało. A tam się na dobre za bicie wzięli.

I ja nie myśląc kawał kołka, co go jaki zraniony na szosie zgubił, za siebie żem schował. Patrząc, może mnie kto z narzę-

dziem widzi, nikt nie miał na mnie głowy, albo przy robocie w ciżbie stał, albo na ciele szkód miarkował, czy mu dozwolą w bijatykę się wrócić. Z tym kołkiem przykrótkim do bufetu od tyłu, Walka Bednarza zachodzę, on tam wartował z pipą za szynkwasem. Zaszedłszy go, raz mu łeb dobrze z tyłu żem pomacał. Walek się w kolanach przygiął, za szynkwasa od widoku powalił, we swoje skrzynie łbem gruchnął. Tam mu marynarkę z grzbieta z pieniędzmi żem ściągnął, pod kapotę wsadził, nie mówiąc nikomu do szlachtuza żem pobiegł. W krzakach wyjął żem pieniądze, w pokrzywach pochował, kapotę w krzaki gęste rzucił, za pięć minut wracam na pole bitwy, tam Dolka Wygiętusa żem odnalazł.

— Gdzieś chodził? — on się pyta. — Ja tu mam czego wartować?

— Siedź cicho, ja żem trochę swojego już porobił.

— To co tu będziemy dalej porabiać? Przypatrować się jak na kinie?

— Siedź cicho! — ja mu z nowa powiadam i rozkazuję. — Trza by popatrzeć takich, co dobrze pili, jakby kto wypytywał winowajców.

— Diabła nam winowajce!

— Będzie ich nam potrzeba.

— Kto taki może być?

— A kto? Pielą z Markowizny, wiele pił, najpierwszy się rwał do bitwy, Lis Wicek, Łach Michał z Wygona, oba Partyki bliźniaki, Mietek Rodzeniów, masz wiedzieć, kogo mówić.

— To ja już będę wiedział.

— Chodź ze mną — mu teraz powiadam. — Zaczynam się one skończyć, my jedną zdążymy oblatwić. Będzie do domu szła bez chłopą, on z innymi w rowie pobity leży. Po bratersku podzielimy się.

Dolek się na mnie popatrzył, zamamrotał, ale się zabrał ze mną i do szlachtuza żeśmy poszli, tam my czekali siedząc za krzakiem.

— Rysiowa zaraz będzie szła. Trzeba ci jej? — pytam.

— Co by nie? — powiada Diabli Wygiętus, garb mu się silniej pod koszulą wybódl, jakby to on tym garbem chciał co Rysiowej robić.

Przeszły koło nas dwie pomstujące na chłopów, że do zabicia na zabawie przyjdzie, jeszcze trzy dziewczyny szły do domów, postój na szczanie pod krzakami zrobiły, potem my jeszcze czekali. Już żem pomyślał, Rysiowa, a Krasoniowa to szła, i jak żem pomyślał, może ona w rowie męża odnalazła. Rysiowa wzięła do nas z daleka nadchodzić.

Siedzimy cicho pochowane, nie popłoszyć jej, nie postraszyć, a ona do nas nadchodzi, prosto na krzaki idzie. Nosem pociąga, kwili, ręką się po gębie w krótkim rękawie obciera, w kwia-
ciastej sukience krótkiej idzie, cycki jej się pod materią ruszają,
nogi idą, jedna przy drugiej się stawiają, o siebie się obcierają,
w tym chodzie widzę, jej brzuch się trochę górowaty babski
nad nogami brzemię, włosy się czarne potargane na wietrze
chwieją. I ja sobie myślę, i się czaję, i cieszę, nie darmo się tam
zabijają, nie na darmo wypili, nie darmo ja tak, nie wydając
się, kto, że ona kurwa, żem zakrzyczał.

A ona się do nas całkiem przybliży, widzę stąd, jaka ona
jest kobieta, jeszcze bym dłużej chciał tak patrzeć, trzeba co robić,
jak ona nasza ma tu być, w tych krzakach przy szlachtuzie.
I ja już na nic nie mogę więcej patrzeć, czy mnie na dobre to
wyjdzie, niedoła się może moja bardziej przez to powiększy i jej
nie będę mógł przecierpieć w więzieniu, na katordze, mnie już
to wszystko jedno.

Rysiowa do krzaków naszych idzie, dwa kroki nas przechodzi
i ja wyskakuję z Bednarzową kapotą. Do niej się rzucam, za
pas ją od tyłu łapię, całym żem sobą w nią gruchnął, w przód
się przegibnęła, padła, ja na jej plecach zipię. Dolek za mną
przyskoczył, ona zakrzyknęła, strach ją wielki wziął, idąc do
domu się nie spodziewała, takie się rzeczy we wsi nie działy,
ale my jej prędko żeśmy poradzili. Marynarką Bednarza głowę
żem jej obwinał, rękawami zawiązał, piszczeć nam próbowała,
ale my ją zatkali. Dolek na jej plecach dychając głośno siadł,
ja się rozglądam, może kto na nas idzie, nikt nie szedł. To
my ją za ręce, za nogi, za szlachtuz ciągniemy, doły, krzaki tam
są, trawa większa, ścieżki nie ma, żeby kto szedł od Rysiowej
nas przestraszyć.

Tam my ją zaraz w krzaki. Ona się nam chce oswobodzić,
od kapoty wyzwolić, brzuchem się rzuca, dupą na prawo, na
lewo miele, jak ryba się chce w powietrze od nas wywinąć,
a my ją na ziemię, popierw brzuchem do dołu szmaty na głowie
lepiej powiązać, żeby nie popatrzyła, nie poznała. Dobrze my
ją zdrutowali i jeszcze dalej w krzaki. Cicho wielkie tu było,
grania Czosnkowego ni słychu, krzyków chłopskich przy biciu.

Patrzmy po sobie, Rysiowa się rusza, skamędzi, głupio pod
szmatami skowyczy, prośby bełkocze, po czym się cicha robi
jak kocie, dycha, niech tam, myślę, nie za bardzo słychać. Dol-
kowi pokazuje, ją popierw trzeba na znak, na plecy obrócić,
przekantować. Obracamy ją po mokrej trawie, rosy na niej
było, ręce sobie moczymy, ja słyszę od niej gorący babski duch,

spocona jest, w strachu leży. Na plecy ją kładziemy, ręce wiążemy na tył, ona jeszcze wstać próbuje, nogami przebiera, sukienkę sobie nad kolana zadziera, wyżej, cała nam leży na oczach, brzuch babski szeroki zaduchem buchający, nogi na wierzchu bielejące, majtki koronkowe pod koszulą zdartą, cienkie, lekkie, mnie się zwiduje, przez ten jedwab batystowy, nylon rzadki, włosy jej się czarne przebijają, pierwszy raz tak kobietę na widoku oglądam. Popatrujemy po sobie, Dolek mnie pokazuje, mam się do niej zabierać.

I on jej nogi dobrze trzyma, ja się nachylam, po nich obydwoh rękami jadę, gładkie są, delikatne, przy kolanie, wyżej coraz cieplejsze, gdzie Anielce do takiej, myślę, czuć ją ładnie, ubrana pod spodem ładnie, nie kaleka, nie brudna, nie kurwa. I jak się kładę na tych nogach, mnie jej trochę i szkoda, widzę, ona się rzuca, głową po trawie bije, kapotę Bednarzową zębami gryzie, ale zgartuję w górę materiały, nogi rozdzielam gładkie, ku gorącemu rękę wsuwam, koronki w palcach gnę, suchość jej, miękkość kędziorawą przez materię dotykam i ją bardziej odstawiam. Niech się co chce dzieje, chcę ja krzyczeć, a wszystko się we mnie coraz bardziej twardnieje, nie wytrzymam ja tak, niech się krew moja leje, życia ja chcę ludzkiego, nie kalekiego, nie wrzodziatego, nie wstydliwego, ostatniego jak poślad, na młodość, lata rzucanego. Niech się wypełni, rozpaczam, ziemia tu niech zapadnie, mnie jedno, na takie wynadgrozienie ja żem czekał, ja jej mogę krzywdę większą zrobić, udusić, zabić, jakby kto tego chciał.

I jak ja tak do niej w gorączce wielkiej idę, ona pode mną głowę bije, po ziemi głucho wali, włosy długie po trawie, po rosie mierzwi, a ja jej pod materię batystową rękę wsadzam, suchość włosów po wierzchu macam, miękkość ciała pod spodem, kość krągłą twardą w tą miękkość ciała obleczoną, gorącość czuję, niżej już same miękkie i ono się zaraz roztwiera, mokrością wilgocieję i już się nie zamyka. Ryskowa jeszcze głową rzuca, zębami kapotę tnie, ale się do niej kolanami przysuwam, po trawie jak do relikwii na klęczkach idę, do siebie podgartuję, półdupkami podnoszę, w gorącość, w mokrość jak w drzewo się klinem wbijam, a ona już nie ta sama. Już się nie wzdyga, nie zbrania, płacze mi pod kapotą, i to ta muzyka jest, co żem zawsze chciał od niej słuchać, odkąd myślenia o niej. A i ja już tak samo nie taki teraz jestem. Świat się mnie teraz chybie, słania, w przód, w tył, na boki kolebie, ja ciebie tu może nie ukrzywdzę bardzo, nie tak bym ja ciebie w lepszym świecie ugościł, nie na tej rosie mokrej, nie na trawie w krzakach przy szlachtuzie, na prześcieradłach, obrusach, w izbie zmiecionej na

czysto, w jedwabistych materiałach łyskających, złocistych jak ornaty, pod baladachimy bym wiódł, pod chorągwie srebrne, ja bym ciebie przy graniu organów miał, w chórach; to nierówność świata w podłe rzeźni pozwala mi ciebie szanować, nie sam, a we dwóch sprawiedliwość na świecie przez twoje ciało robić, myślę, a myśleć się boję, żebym jej w uszy czego nie powiedział, a myśleć ja już nie mogę. Ona w pociemku, z głową w trawie, otwiera się coraz chętniej, do mnie, do góry, bardziej się, zgodna, podnosi, chce, widzę, nie wiedząc, z kim, żeby jej, jak jest, było. I mnie z nią razem bardziej teraz pilno, już z jej chrapaniem razem dobrze chrapię, coś we mnie się teraz z nagła obrywa, coś się wielkiego rozpęka, jak jaki dzban żelazny ze złocistego żeliwa rysuje, rozlewa, pustoszeje, życie moje tak samo z nagła się ze mnie wylewa, Rysiowa pode mną się wyciąga, ucicha, spokojnieje, gdzie dotąd był gorąc, wraz chłodnieje, jeszcze się brzuchem raz po raz wstrząsa, do mnie podnosi, nogi ściąga. To tak, ja myślę, tak to, ja myślę, tak to jest, tak to, tak.

Leżymy razem z dwie minuty, potem ja się zesuвам, w tył na kolanach podaje. Jeszcze jej brzuch ja dobrze widzę, koronki ściągnięte na bok włosów, gorąc jej jeszcze do mnie idzie, chłodząca mokrość chłodzi. Wstaję ja, Wygiętuś rękę na jej nodze trzyma i się wstrząsa jak dziecko, garb mu chodzi na przodzie, nie patrzy się na mnie, pokwikuje, robi zaraz z Rysiową, co ja żem dopiero jej robił. A ona mu teraz leży spokojna, dojście do siebie, obwiązana, ułatwia.

Siedzę ja przy nich, ale się na nich nie patrzę. Będziesz ty teraz cicha po wsi chodzić, tu pod szlachtuzem w niewiadomych rękach honor twój, babską dumę zostawiwszy. Miłości ze mną byś nie miała, co ja tu ciebie będę bronił, myślę. Nie brzydkość ciebie twoja zniewoliła, nie kalectwo podobne, uroda twoja na ciebie złe ściągnęła. Twoja to do nas ściągnęła ciebie łądność, w dół ciebie nam podała, bo los nasz sprawiedliwy co wyższe na nasze dobro chce obniżyć. Co my będziemy do kogo na jaką górę się drapać? Za jedno nam jest ten świat, komu on kolorowy czy jaki. Lepiej go nam do góry nogami obrócić, jak patrzeć na niego co dzień. Lepiej nam czyją siłą siebie wzmocnić, czym dobrem wzbogacić, pobudować co, na chwałę naszej możliwości, wszechmożności z innych ludzi skorzystać. I niech tak będzie na wieki wszystkie, na wszystkie światy i czasy, jak mgła mglista, na wiatr naszego użycia i zabawy wydane.

Tak myślę i trzeźwieję. Siedząc popatruję, jak Dolek z Rysiową się marcuje, jak ona się pod nim rucha, sapie. I coraz się mnie ona do Anielki podobna robi, brudniejsza coraz, wrzodziata,

kurwia. Jak takiej uszanowanie dać można? I mnie już wcale jej nie szkoda. Wygiętus swoje zakończy, trzeba ją dobrze zostawić, żeby się babie krzywda nie stała, nie zostawić rzeczy, by nas nie poznał kto po zgubie. A one ze sobą jeszcze się bawią, rzucają się po murawie jak konie popętane. To ja wstaję i idę w miejsce, gdzie żem pieniądze zostawił, po kieszeniach chowam, wracam do Wygiętusa. On resztkiem sił pracuje, zaraz on kończy rzecz z Rysiówą.

Zostawili my ją szmatami obwiązaną całemu światu, jakby ją kto chciał widzieć, urodę babską pokazującą, sekret wielki. Okręgiem dla niepoznaki wracamy się na zabawę. A tam się trochę biciem pomęczyli. Czosnki przyrzędy do grania powyciągali, z Rodzeniem Mietkiem wleźli na ławę, ale się do bawienia nikt nie pali. Po kątach ludzie poprzystawiali przyodziewek naprawić, parę się jeszcze biło, ze dwudziestu, innym ochoty nie stawało. Ja sobie z boku przystanąłem, wszystko się we mnie popaliło, na boki popatruję, co będzie, jak Rysiówą kto w krzakach spotka, co ona będzie mówić? Wtem Czosnki z nowa zagrali walca *Głęboką nocą*, światło przy bufecie nad podłogą zabłyśło.

Mężczyźni, widzę, naprzeciw sobie stoją, jeden drugiego bykiem patrzy, popocone, pomordowane. Powyłaziły z ciżby Wygoniaki w jedno miejsce, spod kościoła w drugie, na trzecie, najmniej ich było, z Podlasu i z Długiej Wsi. Czosnki im znowu rzępolą, baby skamlając obwiązują mężów, synów, ja widzę, nijak się im po ich wielkiej bitwie zrobiło. Kręcić się wzięły, popatrywać, jak po zgłupieniu do rozumu przychodzić, i ja żem teraz zobaczył, to niepotrzebne bicie dopiero w nich złość obudziło. Zobaczyły teraz, jak sobie pomarnowały zabawę, rozweselenie na nic się zdało i wódka, co ją za swoje pieniądze piły. To poodwracały się od Czosnkowej orkiestry i do bufetu poszły. Jaś Koper spod figury najpierwszy zaglądnął za szynkwasy, tam leżał Bednarz Walek nie pobudzony jeszcze. Flaszki w skrzynkach puste i pełne stały, pipa leżała przy beczce, flaszką otwarta nie sprzedana cywała na szynkwasy.

— A ta kurwa tu śpi — powiada Koper.

— Naoszukiwał nas, kurde, lichwy narobił, to się za nasze spił — powiada Stach Partyka, a bliźniak mu przyświadcza.

— No, my teraz bez niego, kurwa, pijem — postanawia Koper. — Kto ma ochotę, niech bierze, jutro się mu wyrówna. Krzywdy z nami nie będzie miał.

— Lepiej nie brać — przestrzega Józef Rząsa. — Państwowe jest, spółdzielni. Milicja się wda.

— A niech, kurwa, się wdaje — powiada Koper. — Tego ona jest.

Cisną się, jedne chcą wódkę brać, inne się brania boją, tłum się robi, harmider. Bronek Krasonik, suchotnika syn, ze złości flaszkę złapał i nią o szynkwas.

— Jak ja nie będę pił, one tak samo niech nic z nas nie mają!

Z tego się zaczęło, wszystkie zabrały się flaszki tłuc, wścieklizna ich ugryzła. Szkła narobili, natłukły, niedługo zabawiło. To zakończywszy szkło, bufet się wzięły rozbijać, go rozdarli do deski, jak byki po okolicach rozniosły, połamały w drzazgi. Zbrakło im, zaraz się wzięły za ławy, za stoły, kuflami, flaszkami zastawione, kieliszkami przyniesionymi z domów, i tak się im wszystko marnowało, jakby to koniec świata miał na nich zaraz przyjść, ziemię całą popalić. Czosnki grali, to wypastwili się na sprzecie na nich się obróciły. Czosnka ojca Maniś Wyków za łeb z ławy ściągnął, harmonię zdeptał, jemu samemu przez ryja dał, a synów, bo się za ojcem biegli wstawić, pozdejmowały z podłogi inne, pobiły, porozbijawszy do grania, co który miał. Do podłogi się zaraz zabrali, deski zdzierać z legarów, żerdzi łamać. Łomot wielki powstał jakby się chałupa w pogorzeli waliła. Dopiero kiedy wszystko stanęło w ruinie, jak byki się przeciw sobie drugi raz obróciły, bić, skrwawiać na czyje zdrowie nie patrzeć, kości łamanie, skowyt po nocy słyszać we wsi było.

Na to się światła drugi raz pogasiły, nie na długo, na pół pacierza, a już ich na ziemi potratowanych, poharatanych leżało. Bab się zaczęło napychać pomiędzy chłopów, swoich odciągać, odstąpienia bitki namawiać. Wtedy to Mierzwa z Nowego Przysiółka siekierą pobił Jaśka Piędla. Podnosić go wzięli oba Partyki, to Mierzwa z pianą w pysku do nich skoczył, Stacha pochylonego w grzbiet ciął, siekierę z brata Ludwik siłą wydarł. Sikorzyna na kolana przed ludzi padła, ręce do góry na ten widok podniosła, głową o ziemię bić wzięła.

— Ludzie! Ludzie! Kto was od siebie oddzielił?

I tak to się jeszcze zakończyło, jak Stach Partyków padł pobity, Ludwik polecał do doktorów dzwonić. Wiadome to było, Stach nie wyżyje. Spadło ze wszystkich zadowolenie do bicia, baby w płacz, strach się na ludzi rzucił, parę się ich do chałup zbierać zaczęło. Po księdza podesłali, ale proboszcz nie przyszedł, bo go popierw zawołali do chorego na Podlas. To teraz się wszystko zatrzymało. Stach dychając jeszcze na piachu leżał i nie było go komu spowiadać.

— Przecie, jak księdza nie ma, każdy inny go może, jak przy chrzcie zaspokoić — powiada cicho Surdyka stary. — Co ma się jak bydlę z życiem rozstawać?

— Iiii — mówi Pielowa. — Żeby tu bluźnierstwa nie narobić. Kościelnego by popytać.

— Nie ma się co rozpytywać — pili Surdyka. — Dziabnięty dobrze jest, nie dożyje przepisowej pomocy. Tyle, kto by się nadał? — pyta.

— A wy! — poddaje Łach. — Starzy żeście, poradziecie.

Surdyce nie pilno było, patrzy się po ludziach lis stary, mnie widzi i się namarszcza.

— A on! — powiada. — Wrzodziaty! — i na mnie pokazuje. — W razie nie urzędowo co będzie, ksiądz go nie będzie za nic ciągał. Weź go, obłatw, niech nie skamędzi!

I mnie zaraz wypchnęli ku przodowi do Stacha. Sobie myślę, czego by nie, człowiek się do wszystkiego nadać może, co to ja? Gorszy?

— Światła mnie tu zróbcie! — powiadam. — Co się będę po ciemku domacywał!

Od Lebidy zaraz świeczkę przynieśli i kropidło palmowe. Chłopak Olszowego zaspany świeczkę zaświcił i przy mnie stanął. A popierw tak samo sekretarza zawołali, żeby musowo przyszedł, i tak my się z nim spotkali nad leżącym i ja żem postąpił do Stacha.

— Uklęknij, synu — powiadam jemu. — Za grzechy żałuj, skruczę okaza!

Stach się zacharczał, nogami mu strzęśło z pobicia, zebrać się w sobie nie mógł.

— Nie klękne — powiada. — Słabym.

— Módl się, za grzechy żałuj. Kto ciebie pobił tak brzydko?

Cicho się stało w pośród ludzi, posłuchaćby chciały, na kogo on głośno powie.

— Nie wiem, kto, kurde, bił. Ciemno było, my się wszystkie biły.

— O co wam szło? Mów jak na sądzie ostatecznym, kłamstwem ust nie kalaj, przed Bogiem niczego nie ukryjesz!

Stach zakwękał, chciał się na znak obrócić.

— To przecie, kurde, aniś ty ksiądz, ani żeś, kurde, Pan Bóg.

— Ukórz się, nie zatwardzaj serca — powiadam do niego.

— Pobił żeś kogo dzisiaj?

— Jak żem mógł, kurde, pobić? Sam leżę, kurde, jak wieprz zaszlachtowany!

— Rachunek sumienia dokonaj. Odpowiadaj, będę ciebie pytał — powiadam i się na ludzi oglądam. — Poszłybyście gdzie już, tłoku nie robić, tajemnicę spowiedzi uszanować, oddychać dać umierającemu! — I z nowa się do Stacha obracam. —

Mówił żeś co na mnie złego? Podważałeś mój autorytet? Przysnaj się w godzinie śmierci!

— Mówił żem, kurde, nie ja jeden. A co to? Grzech jaki?

— Grzech. Ja tu teraz wyższego zastępuję, sobą przedstawiam. Za cały kościół teraz jestem, przepis nowy mam prawo ustanowić. Co żeś mówił?

— A że żeś, kurde, wrzodzisty. I nie po ludzku żyjesz. To i owo robisz.

— Tak żeś to mówił? — pytam się go. — A kto ciebie do tego uprawnił? To ty nie wiesz — powiadam — że ja tu na urzędzie teraz jestem, mnie moja władza wyższa rozlicza, nie ty będziesz to robił? Tyś tu, słyszę, nie najgorzej rozbijał, pijany żeś był, innych żeś bił mocno?

— Miałem, kurde, nie bić, jak inne biły? — powiada Stach zmęczony. — Możem i kogo bił.

— Pomyśleć popierw było, byś tu nie leżał jak Turek porznięty.

— Co ja tam, kurde, myślał będę. Inne biły, to ja żem bił.

— Coś jeszcze na mnie powiadał?

— A że z Anielką Dupną kompiniujesz, po świńsku z nią żyjesz.

— Co tobie, kurde, do tego? — żem się rozezłościł.

— By się kto z nią ożenił, choć przygłupia, dzieci, kurde, miał, a po parchatym kto ją weźmie?

— Wy się tylko żenić, kurde, dzieci mieć! Bóg takich, synu, nie lubi, co się za mocno lepszym od siebie przyglądają. Ja bym tobie może przebaczył, ale on sługów swoich chroni, o nich myśli, wynadgradza ich. Za nimi on jest, a nie za tobą. A ty jego autorytet żeś we mnie podważał, dzieło jego tu na ziemi psuł, jego przedstawicielstwie w terenie opinię żeś wyrabiał, ludzi przez to buntował, zbliżanie się królestwa niebieskiego na ziemi opóźniał. Jak ty przed Bogiem staniesz?

Stach się na ziemi leżąc zamyślił, popatrzył się do góry na mnie.

— Ja może zaraz będę sztywny. Mnie, kurde, za wiele nie potrzeba. Może mnie nie musowo z tobą — powiada — rozmowy prowadzić, a się z Panem Bogiem sam dorozumię?

— No, na to ty nie licz! Z nim się inaczej nie dogadasz, jak tylko tu przeze mnie. U mnie i u niego będzie teraz orientacja ta sama. Jak w gminie tu jest, tak u niego na górze, może nawet dla szeregowych ostrzej, bo hierarchia być musi, na dyscyplinie prostego żołnierza jego władza i moc. Teraz on na górze ręce ma związane, on tam nie może na inny kurs iść, kiedy się mną w robieniu swojego dzieła wspomagać musi. A od rozgrzeszenia

nie on tu jest, dla ciebie na ziemi ja teraz jestem, jeszcze ksiądz biskup wielebny, pasterz diecezjalny, tak samo papież, zastępca najwyższy. Mnie tutaj mów, co żeś broił, on jest od apelacji. A kto ciebie, bezbożnika podającego w wątpliwość, bez orientacji prawidłowej, choćby i w dobrej wierze ona była, pobitego, umarłego z bijatyki na zabawie w Krzemieniu, z odwołaniem powiedzie, przed jego oblicze dopuści? I tam przy nim takie jak ja są. U nich będziesz na mnie orędowników szukał? Indywidualnych spraw na całości kościoła będziesz dochodził? Jak to sobie myślisz?

— A ja to, kurde, nie całość?

To żeś się Stachowi przypatrzył, grzbiet mu przez szmaty żeś pomacał.

— No, nie za wiele tobie kołatania po ziemi. Kajaj się, spowiadaj. Do kościoła chodzić żeś chodził, to wiem. Modlił żeś się, czy żeś tylko dziewczyny przed ołtarzem przepatrował?

— Jedna taka mnie się mężata podobała.

— Po porządku, wedle przykazań się spowiadaj. Ojców żeś bił? Nie słyszał żeś, by się skarżyły.

— Gdzie tam żeś, kurde, ojca bił? Sam by mnie dał rady! Po doktora dla mnie posłali?

— Telefonowali, go nie było. Krew tobie ucieka — mówię.

— Doładowali mnie, kurde, i umieram. Może się przez to pobicie moje grzechy wyrównają?

— Nic twoje pobicie nie wyrówna. Kradł żeś?

— Gdzie żeś kradł? Dwie nowe dętki od stara z gieesu. To jak nikomu!

— Cudzołożył żeś?

— Raz. Więcej tak się tylko w kompanii, kurde, gadało.

— Z kim żeś ten raz dokonał? — pytam się, może z Rysiówą to było, myślę, mężate smarków takich dopuszczają niejedne.

— Tego to nie powiem.

— Czy powiesz, to się zobaczy. Grzechów żałujesz?

— Za mało ich na żałowanie było. Miał żeś czas, kurde? Do roboty mnie gnali od najmłodszego.

— Słabej żeś wiary człowiek — powiadam. — Żarliwości w tobie nie ma, tylko przepatrywanie, szpiegowanie, mędrkowanie celów boskich najwyższych, im się przypatrowałeś, chciałeś prostować wedle uznania twojego. Grzech to największy, że go człowiek nie wymaże uczciwością w czym innym, pracą mrowczą nie skreśli, a tylko poddaniem się, nawróceniem od myślenia, bo go po złych ścieżkach w grzechu śmiertelnym prowadziło. Stach słuchając zesłabnął, ucichnął bardziej jeszcze.

— Ty mnie daj te rozgrzeszenie — powiada. — Spokój mnie na koniec będzie.

— A jak ja tobie bez wiary dać mogę?

Stach się ruszył na ziemi.

— To ja, kurde, nie wierzę, że Bóg jest? Co on tam porabia, czym się trudzi, o czym sobie on myśli, ja, kurde, nie wiem. A jak on tylko o cześć swoją dba, o moc swoją i chwałę? Swojego, jak ty, pilnuje, jak inne pomniejsze zlicza? Rozgrzeszenie mnie na to jest potrzebne, po co w dowodzie jaki znak mnie niedobry, kurde, pokazywać? Niech dokąd jak się zachwierutam, będę jak każdy inny, po kiego mnie, kurde, za czarnego być, jak ja nie gorszy innych? Pan Bóg się na mnie nie popatrzy, inne sprawę będą załatwiać.

— Boisz się? — pytam się go.

— Co mam się, kurde, czego nie bać? Ja żem tu jeszcze śmiertelny jest, człowiek żem, stracha mam!

To ja się nad nim żem zamyślił, na ludzi żem się obejrzał.

— W grzechu umierasz — powiadam. — Żem wrzodziaty, na mnie żeś mówił, że się moje życie tobie nie spodobało, to ja bym tobie może przebaczył, odpuścił. Ale żeś zczudzołożył, nie chcesz powiedzieć, z kim. Hardy żeś, musisz to na kartotece mieć.

— To jak ja tam, kurde, apelację pójde wniesć? One mnie tam z miejsca powiedzą: co ty się będziesz na kogo skarzył, że ciebie niedobrze, kurde, sprawił? Sam z grzechem żeś przyszedł, a zażalenie na innych niesiesz? Od razu ja tam bez widoku będę. Jak tak, kurde, umierać? A z kim żem się bawił, tego nie powiem, żebym do piekieł miał, kurde, iść!

To ja żem zruszył ramionami, Stach się zastękał, nogi mu się rzucać wzięły. Ja żem się od niego z klęczek podniósł, wyprostował, na ludzi popatrzył srogo, a ludzie w posłuchu wzięły się obracać. Stach za mną głowę wykręcił, pobladł i bladł coraz silniej, widać było do światła, nie pożyje. Ksiądz, żem pomyślał, może by się do niego zawrócił, pomazał go olejem, ale ja, za to jego gadanie, nic nie będę mu dobrego robił. Dmuchnął żem świeczkę, chłopak Olszowego nierozumnie ze spania patrzący kropicło palmowe zabrał, pod koszulę wsadził. Do Stacha się nachylił sekretarz z gminy, za rękę go wziął, powiekę opadniętą podniósł.

— Doktor tu będzie, telefonowałem po niego. Żyjesz? Dychasz?

— Nie za wiele mnie, kurde, do fajrantu — powiada Stach cicho. — Wy żeście jak, kurde, ten nowy ksiądz, co ode mnie chcieli?

— Ty się nie przejmuj, co on tobie kościelnego powiadał! Naszego się teraz trzymaj. Ty tylko wytrzymaj chorobę swoją. Wydobrzejesz, to się do nas zapisz, u nas inne zamiary, prędzej się wypełnią. Drogę się tobie słuszną pokaże.

Stach mu się trochę przypatrował, ale mu oczy zamgliło, zacharczał się, ręką poruszał, nogami mu wzięło od nowa rzucać, to się od sekretarza odkręcił i tak mu reszta dechu wyszła.

I się dopiero zakończyło. Ludzie ostatnie zaraz poszły do domu, ja żem był do samego końca. Za trochę świtanie się wzięło robić. Czosnki, Rodzeniów Mietek, pozabierali z piachu, co zostało z przyrzadów do muzyki. Stacha Partykę nieżywego powieźli swoje w jednego konia i Walek się Bednarz pobudził leżący w drzewianych trzaskach w miejsce bufetu. Potrzeba i mnie iść było.

No, to pieniędzy ja teraz trochę mam, pomyślał żem sobie. Nic z tego, ja nie będę innym kalekom dawał, co to, dla innych żem robił? Na cukierki to mogę dać.

Za te pieniądze to się mnie kupi buty jakie, przyodziew dobry uszyje, mógł żem sobie naskładać, jak by kto pytał. Rower, dla niepoznaki, że to z czyich, po jakim czasie się kupi. I kiełbasy, żeby mnie było na co dzień, barszcz będę jadł, ziemniaki postne? A i posługi kaleków kupię, jak mnie co robić będzie trzeba. Nie będą się mnie kłaniać, krów nawracać?

Pieniądzy to ja teraz trochę dla siebie mam! Tak samo z Rysiówą żem skorzystał i Stacha Partykę sprawiedliwie wyprowadził. A co mnie inne? Los niby spółny był jednaki, ale my przecie nie jednakie! Ja się sobie mądrzejszy przedstawiam! Jak ja żem sobie tych pieniędzy zrobił, to żem od innych mądrzejszy!

MAŚĆ NA SZCZURY

Miałam przecucie. Tylko ten człowiek wszedł w drzwi, od razu mnie tknęło: będzie miał szef nietypową sprawę. Nie mam pojęcia, dlaczego tak pomyślałam, ale wystarczyło, że wszedł do pokoju.

Szef się wszystkiego boi. I jak mu się, pomyślałam wtedy, nie bać. Przyjdzie mu na przykład do biura taki człowiek, grzeczny, niewinny, nic nie chce, tylko jeden mały papierek z jego podpisem. Przed tym małym papierkiem nie było nic i po tym papierku wszystko pozornie jest, jak było: nic, żadnych komplikacji, żadnych konsekwencji, ale szefowi wystarczy, że ktoś od niego coś chce. Strach go ogarnia już w czasie załatwiania sprawy i aktywizuje się jak gronkowiec. Mała sprawa, mały papierek, ale on musi podpisać go swoim nazwiskiem. A nuż się potem okaże, jaki był z niego naiwniak, bo nie przewidział i dał się podprowadzić? Dlatego się boi i w ramach profilaktyki, na wszelki wypadek mnie, stażystkę najmłodszą, nauczył podpisywania takich papierków. Łatwiej mu będzie w razie czego powiedzieć, że o czymś tam nie wiedział.

Więc tylko ten człowiek wsadził w drzwi swoją głowę, mnie zaraz tknęło: szefowi tym razem nie pójdzie łatwo. Człowiek był stary, posiwiasty. Wszedł do pokoju w starych powypychanych na kolanach spodniach w niemodnym kolorze marengo, w kamizelce, z tyłem marynarki krótszym od przodu, przygięty trochę do ziemi, więc i jego ręce z powodu przygarbienia wydawały mi się trochę za długie. I na pierwszy rzut oka tyle tylko można było zauważyć. Szef przyjrzał mu się pobieżnie.

— Niech obywatel siada — mruknął znad papierków.

A ten siadł bez ceregieli, bo nie był z tych, co się krygują,

nie śmia, wolą załatwić sprawę na stojąco. On siadł, kapelusz zdjęty wprawdzie jeszcze przed drzwiami na korytarzu rzucił szefowi bez ceremonii na jego święte biurko, niemal na święte papiery. Nic, tylko mu się pewnie wydawało, żeśmy tu wszyscy bez wyjątku, we wszystkich wysokich wydziałach, całymi latami czekali, żeby się wreszcie zjawił i dał okazję usłużyć sobie w swojej ważnej sprawie.

I szef trochę zaskoczony, a może nawet zły z powodu kapelusza, popatrzył na niego uważnie, prawdopodobnie miał chęć strącić ten kapelusz z biurka, ale się powstrzymał i nawet powiedział nie ze złością tylko z kpiną:

— Witam w wydziale naszym.

— Na wieki wieków — tamten mówi. — Witajcie.

— Na wieki — powiada szef. — A z czym to obywatel szanowny przybył?

Dziadek spojrzał mu zaraz prosto w oczy, serdecznie, prostolinijnie, myślę sobie, nic innego tylko szefa bada, ocenia go on, a nie, jak powinno być, na odwrót. Patrzę na niego jeszcze raz: ręce leżą ciężko szefowi tuż pod nosem na biurku, paznokcie połupane, skóra na rękach spękana, no, nie z Paryża, nawet nie z miasta przyjechał. I gdyby nie to jego spojrzenie prostolinijnie serdeczne, szef by go zaraz zapytał: I z czym to, z czym, obywatel szanowny do nas? Kłopoty pewnie jakieś, może sąsiad zajechał pługiem w miedzę jak w żywe serce nożem, mleczarnia nie doliczyła tłuszczu? Córka, może wnuczka jedyna, na medycynę chce iść i trzeba dziecinie drogę przetrzeć? A może podatek ktoś za duży wyliczył, albo drugi raz pobrał i nie chce zwrócić? Cóż za niesprawiedliwość wielka! Tylko że z tym wszystkim, obywatelu szanowny, nie do nas się przychodzi, nie do nas!

A ja patrzę na dziadka i sobie myślę, co taki człowiek może mieć do nas za sprawę. Patrzę i widzę, że szef podobnie jak i Kleszcz czeka zasadniczego objawienia, a tu facet nawet nie chrząknie z zakłopotania. Przypatruje się spokojnie pokojowi, potem mnie, Kleszczowi, i wraca badającym spojrzeniem do szefa, jakby się zastanawiał, czy szef to właśnie ten jedyny, co się zrodził, żeby go dziś załatwić.

— Witam — powiada szef jeszcze raz. — Z jak daleka obywatel szanowny do nas przyjechał?

— Z Krzemienia — mówi dziadek.

— Ho! Ho! — kiwa głową szef. — Z dalekiej drogi szanowny obywatel.

Renia, druga stażystka, ona to dla wydatnego skrócenia stażu figlowała z szefem parę tygodni temu w jakimś powiato-

wym hotelu, a dzisiaj na wyjazd z nim po południu ja mam dostąpić zaszczytu; Renia widzi, że szef kpi, więc ośmielona podnosi kudłatą głowę znad statystyki, przygląda tym dwom siedzącym przed sobą bohaterom i uśmiechnięta słodko do naszego figlorozdawcy pyta:

— Może panom szanownym kawy zrobić?

Roześmiałam się, szef, kierownik arcyważny, spiorunował mnie wzrokiem, bo mu nie wypadało nic powiedzieć, kiedy się za mną wybiera w plener, więc zamiast objechać mnie zdrowo, pobębnił po biurku boskim palcem i zerka to na petenta, to na swoje ważne papiery. A petent dalej wcale się nie zachowuje jak człowiek, który rzadko kiedy głowę ze wsi wystawia, tylko osadza się lepiej na krześle i powiada jak na weselnym przyjęciu:

— Czego nie? Kawy bym może i wypił.

I szef znowu musiał mu się przypatrzeć, a po oględzinach wskazuje mnie palcem.

— Ty! — powiada. — Skocz po kawę!

Wydłubałam z torebki dwie dychy na małą „super”, za parę minut wracam, a oni przed sobą siedzą, nic do siebie nie mówią, patrzą na siebie uważnie, zaglądają w oczy, tyle że tamten, a nie szef, miał spojrzenie serdeczniejsze. Szef wyglądał jak wilk, który spotyka przed legowiskiem zbłąkanego kundla, a ja znów miałam przeczucie, bo pomyślałam tkliwie, no, mój dzisiejszy słodki kochanku, ten dziadzio ci twój instynkt drapieżcy nadwerży zdrowo. I coś z mojego przeczucia musiało się udzielić szefowi, bo się jakoś na chwilę pogubił, zaczął topnieć pod serdecznym spojrzeniem dziadka i przegarniać papiery, ale potem pozbierał się i rzucił pierwsze pytanie rzeczowo i obojętnie:

— Czym możemy obywatelowi szanownemu służyć?

Na to dziadek, jak on rzeczowo, powiada:

— Przyjechał żem w sprawie pieniędzy.

— Pieniądzy? — pyta go szef dla pewności, bo to rzeczywiście nie bardzo pasowało do naszego wydziału.

— Pieniądzy — mówi dziadek i patrzy w moją stronę czy dobrze zaparzę kawę.

— Jakich pieniędzy? — pyta szef. — Nie zaszła u obywatela jakaś pomyłka? Jeżeli idzie o podatki, skoro obywatela oskubali, to ten tu mój nie jest wydział finansowy, a jeżeli nie w sprawie podatków, tylko renty albo jakiego zasiłku, to ten tu wydział także nie jest ZUS ani Opieka Społeczna. Trzeba obywatelowi rzecz sprecyzować i w razie czego przenieść się ze sprawą do właściwego urzędu.

— Pomyłka — powiada dziadek.

— Tak mi się na pierwszy rzut oka wydawało — mówi ucie-

szony szef. — Od razu wywnioskowałem, że to nie do nas sprawa.

— Pomyłka jest — powtarza dziadek — bo ja sprawę mam do was.

— Sprawę pieniędzy?

— Pieniądzy.

— O jakie pieniądze obywatelowi chodzi? Nasz wydział nie zaciąga prywatnych długów. Nic nie jest nikomu winny.

— Ja tak samo nie zaciągam.

— No, to w czym by była rzecz? Czego my możemy od siebie chcieć? Obywatel szanowny i mój wydział?

— Pracowałem pięćdziesiąt pięć lat — powiada dziadek.

— I co? Za małą emerytura się obywatelowi wydaje? Ja tam wierzę w sprawiedliwość państwową. Na pewno nie jest zła ta emerytura.

— Czyja? Moja? — pyta dziadek.

— A czyja by? Przecież, że nie moja

— No, to i nie moja, bo ja od państwa nic nie chcę brać.

— Ty! Daj tej kawy! — warczy na mnie szef. — Słucham obywatela szanownego. O co by zatem chodziło?

— Pięćdziesiąt pięć lat pracowałem — powiada dziadek. — Za młodu i potem. A teraz mam siedemdziesiąt pięć lat.

— Nie widzę związku — mówi szef. — Niech się obywatel szanowny wypowiada jaśniej. Co się wydarzyło? Zdrowie nie dopisuje? Dzieci z domu wyganiają, nie chcą dochować?

— Zdrowie, chwala Bogu, mi służy.

— To dzieci?

Dziadek łyknął kawy i westchnął.

— Dzieci — powiada — to miałem, ale nie przy sobie. Byłem w Ameryce. Zapracowałem na rentę.

— I co? Płacić przestali? — wypytuje szef. — To z taką sprawą też nie do nas. Do konsulatu amerykańskiego trzeba iść, a takiego w naszym mieście chwilowo nie posiadamy.

— Oszczędzałem — powiada dziadek.

— Bardzo się chwali — mówi szef i przypatruje mu się, zły już, bo go ta słowna ciuciubabka zaczęła męczyć.

I wtedy akurat dzwoni telefon, a ja znowu miałam przecucie. Szef się nie rusza, tylko mówi do mnie:

— Ty! Odbierz!

Podnoszę słuchawkę i w ucho wyłazi mi z niej namaszczony, ważny głos.

— Kierownik jest?

— Jest — mówię — ale chwilowo wyszedł.

— I go nie ma?

— Nie ma.

— To mu powiedzcie, że tam do was przyjdzie człowiek z nietypową sprawą. Skierowaliśmy go do was, potrzeba go będzie przyzwolicie załatwić, bez psychologii.

— Może w sprawie pieniędzy? — pytam.

— No — chrypi ważny głos. — Ze wsi przyjechał. Załatwcie go przyzwolicie, żeby nie było żadnych reklamacji do nas, zażaleń żadnych żeby nie musiał pisać. Rozumiecie?

Oczywiście, mości księżę, myślę: niech bym spróbowała powiedzieć, że nie rozumiem.

— Zrozumieliście? — upewnia się głos.

— Tak — mówię. — Oczywiście.

— To powtórzcie to wszystko kierownikowi. Niech mnie na dniach zawiadomi o sposobie załatwienia.

— Tak jest.

— Sprawa jest delikatna — dudni jeszcze głos, ale się zaraz oddala i słabnie jakby z powodu rozmowy z niekompetentną osobą.

— Wiem — odpowiadam.

Odkładałam słuchawkę, wyciągam szefa na korytarz i tam, żeby dziadek nie słyszał, powtarzam mu rozmowę. Szef po powrocie do pokoju siada przed petentem, uśmiecha się przemiło do dziadka, o coś go pyta troskliwie, a ja mówię na ucho Kleszczowi, w czym rzecz. Ten się nie patyczkuje. Patrzy na szefa i rechocze.

— Znasz — grzmi na cały pokój — kawał o zajączku?

— Nie znam — mówię.

— Zajączek wybrał się do kawiarni na dansing. Zamówił ciasteczko, herbatkę i poszedł tańczyć. Tańczy sobie z przytulaniem, orkiestra pięknie gra, wieczór zapowiada się bardzo dobrze. Ale kiedy po paru kawałkach zajączek wraca do stolika, patrzy, ciasteczko znikło. Spogląda zaskoczony po sali, wstaje i pyta surowo: kto zjadł moje ciasteczko? Na sali cisza. Kto zjadł ciasteczko? pyta znów zajączek. Goście spoglądają po sobie, sytuacja jest niezręczna, wszyscy się kręcą w krzesłach, ale się nikt nie przyznaje. Zajączek podciąga rękawy i pyta groźnie: kto zjadł moje ciasteczko? Po długiej chwili podnosi się niedźwiedź: ja żem zjadł. Zajączek uśmiecha się łagodnie: to dlaczego, niedźwiedziu, nie popiłeś herbatką?

Szef przypatruje się Kleszczowi.

— Ty! Weź się do roboty! Słucham — mówi do dziadka.

— To obywatela w instancji skierowali do nas ze sprawą?

— Owszem, byłem tam — mówi dziadek. — Powiedzieli, że trzeba sprawę u was zgłosić.

— Acha. No, więc czekam, niech obywatel szanowny zgłasza

— zachęca słodko szef. — O co obywatelowi szanownemu chodzi? O jakie pieniądze?

— Ja chcę dać pieniądze na budowę.

— Na budowę? Jakie pieniądze?

— Moje. Oszczędzone.

— Na czego budowę?

— Jakiego domu.

— Mieszkalnego? Dla kogo?

— Nie mieszkalnego. Innego. Nie wiem, jakiego. Może dla kultury świetlicy jakiej, klubu? Może na dom zdrowia albo na izbę porodową? Żeby kobiety z mojej wsi nie jeździły za daleko od domu rodzić? Mnie wszystko jedno.

Teraz dopiero szef, mój dzisiejszy rycerz wieczorny, zbaraniał. Patrzę na niego i śmiać mi się chce, bo widzę, że różne myśli gonią mu się jak szalone po szlachetnej kierowniczej głowie, więc pali mnie ciekawość, jak on sobie po tym telefonie poradzi z tą nietypową sprawą. Przez minutę nic się nie dzieje, szef przypatruje się dziadkowi, dobroczyńcy wielkiemu, który do nas zawitał, żeby w coś wsadzić swoich parę tysięcy. Pewnie czytał w Ameryce *Ludzi bezdomnych* i sam chce być teraz Atlasem dźwigającym do słońca kulę ziemską z wyraźnie widoczną na niej swoją wsią. No, myślę sobie, ciekawe.

— To gdzie obywatel szanowny był? W Ameryce? — pyta szef.

— W Ameryce. Przed wojną tam żem pojechał. Dwóch synów żem zostawił z żoną. Obydwa zginęli w wojnę. Walczyli. Żona też mi się ze zmartwienia nie uchowała. Wie pan, jak to było w wojnę.

— Wiem — powiada szef. — Co mam nie wiedzieć? Mój pradziadek zginął w powstaniu styczniowym. A jego żona z małym dzieckiem, dziadkiem przyszłym moim, musiała się udać w zimne kraje.

— To dobrze — chwali teraz dziadek szefa. — Ofiara pradziadka całkiem darmo nie poszła.

— A dziadek bardzo tam marznął. Bardzo mu było zimno w tamtych stronach — powiada szef.

— To ma pan piękne tradycje rodzinne — mówi dziadek, jakby to on był szefem i pocieszał petenta, że w obliczu ważnego urzędu nie stanął goły, bez zasług, bo w jego sprawie pradziadek i dziadek mogą się liczyć. — Nasz kraj ma piękne tradycje i mnie się tam bardzo do Polski cknęło — powiada jeszcze. — A teraz pomyślałem sobie, że i ja coś dla kraju powinien żem zrobić. Pana pradziadek zrobił swoje, moja żona i synowie też,

czas na mnie. Stary jestem, nie tak już daleko do końca. Do domu mogę nie dojechać.

— Dojedzie obywatel szanowny.

— Może dojadę — zastanawia się dziadek.

— No, to tak — powiada teraz szef, jak już się nawzajem pocieszyli. — Jaki ten dom ma być? Kultury, zdrowia, czy też, jak obywatel szanowny powiedział, izba porodowa? Trzeba się zdecydować.

— Mnie wszystko jedno. Dla mnie ważne jest, żeby pamięć została. Pieniądze dam, wszystko, co żem zaoszczędził, na państwo przekażę. A dla mnie ma być tablica, że moja żona zmarła i synowie też, i ja że jestem fundator.

— Taka tablica pamiątkowa?

— Tablica, bo choć lepsi ode mnie fundowali, a w Ameryce ich bardzo dużo takich, Rockefeller funduje, Ford funduje, to żem pomyślał: ze mnie, ze złotówkami moimi, żaden Ford, żaden Rockefeller, ale darowiznę wsi zrobię. Pamięć po mnie zostanie.

— Cel dobry, dobry uczynek — mówi szef. — Cały majątek mojego pradziadka został skonfiskowany. Jak dziadek wrócił ze swoją matką staruszką, od zera się musiał dorabiać. Bardzo był opóźniony względem tych, którym nic nie skonfiskowali, bo im nie mieli za co, posłusznym. Od zera zaczynał, jak wrócił z matką, ale nie bardzo mu z początku szło. Za ojca był podpadnięty, na oku go mieli, choć i tak dobrze mu krzywdy narobili.

— Ja też od niczego żem zaczynał — powiada dziadek — i ciężko żem pracował na to, co mam. Ale teraz chociaż pieniędzy dam na dobry uczynek — powiada i odsuwa na biurku szefa jego święte papiery. — Bo na dobry cel nigdy nie jest za późno.

— Nigdy za późno nie jest — mówi szef, ale patrzy krzywo na porządki robione przez dziadka na biurku. — Mój dziadek, jak się dorobił, też dawał na społeczne cele, nawet akcje Stefanii Sempołowskiej, w szkole mnie o niej uczyli, wspomagał, na więźniów politycznych łożył. Ja tak samo daję, na to, na owo. I gdzieś się to na coś zbiera, podziewa, tylko człowiek jakoś nie ma czasu, ochoty, pytać, na co te jego pieniądze obrócone. A obywatel szanowny — pyta dziadka — dużo tych swoich pieniędzy chce przeznaczyć? Dom kultury, najmniejszy nawet, jednoizbowy, to kawał grosza. Izba zdrowia z instrumentami do medycyny wiejskiej, jeszcze większy. Łóżek trzeba i materaców trzeba, jakby komu potrzeba było poleżeć. Mój dziadek z odmrożonymi nogami wrócił. Psuły mu się do końca. Na izbę porodową najmniej chyba trzeba, tyle co dziecko mieć czym

wyciągnąć, kleszcze jakieś. I co obywatel szanowny postanowi? Dużo jest tych pieniędzy państwu do oddania?

— Pracowałem dużo lat — powiada dziadek. — A jak żem wrócił, to żem nie wydawał, tyle co na przeżycie. Synów już nie było, żeby ich podzielić, synowych do kupowania prezentów młodych nie miałem, wnuków też nie. Nie było na co wydawać, a się nauczyłem pracować i oszczędzać. To się zebrało co nieco.

— W banku? — pyta szef. — Amerykańskim może?

— Nie. U nas. W banku spółdzielczym na wsi.

— Owszem, przypominam sobie, słyszałem o takiej spółdzielni pożyczkowej. Dużo się tam na koncie nabywało?

— Jak dla kogo. Dla mnie dużo, ale na mój cel nie jest za dużo. Jeszcze mi parę tysięcy do miliona braknie.

Szefa trochę poderwało, nas też.

— Do miliona? — pyta szef. — Dobrze żem słyszał?

— Parę tysięcy brak, ale dołożę.

Szef poczerwieniał, popatrzył na dziadka i na nas spojrział. Kleszcz zagwizdał z żalem.

— I tak się wszystkiego pozbyć? — powiada. — Wariata trzeba!

— Ty! Zamknij się lepiej! — mówi do niego szef. — Tobie przy wypłacie wyrwać pół procent, to się dobrze trzeba na gębę z tobą gimnastykować. Inni ludzie myślą społecznie. Przykład masz brać.

— Będę dawał, jak nie mam sam pieniędzy? Przy takich poborach? Śmiech jeszcze od człowieka co chce!

— I to wszystko pragnie obywatel szanowny na budowę przeznaczyć? — pyta szef dziadka. — Nie ma obywatel w razie śmierci żadnych spadkobierców?

— Nie mam.

— I nikt się nie zgłosi po swój dział? Nikt nie będzie kwestionował?

— Jak ja nikogo nie mam, to co się będzie kto przyznawał? Obcy?

— Pytam, żeby mieć pewność. Potem różnie może być, szczególnie po śmierci ofiarodawcy. Przyjdzie kto i obali testament.

— Nikt się nie będzie o nic upominał. A pieniądze przekazę państwu rejentalnie.

— Mój dziadek był notariuszem — przypomniał sobie szef. — Nawet nie za daleko stąd. I przy Komendancie był wcześniej.

— Przy Dziadku?

— No. A ja tu kierownikiem jestem. Nie tak znowu ze mną źle jest. Tradycję jako tako rodzinną trzymam.

— Trzymać się trzeba, mocno trzymać — przytakuje dziadek. — To co ja tutaj mam teraz? Papiery podpisywać? Oświadczenia jakie pisać?

Szef się nachmurzył, bo się tu zaczynała konkretna sprawa, ale się zaraz rozpogodził.

— Oświadczenia? — powiada. — Żadnego oświadczenia nie potrzeba. Podanie niech nam obywatel szanowny napisze. Wyłuszczyć w nim będzie trzeba co i jak, całą obywatela prośbę do nas. Podanie pójdzie na posiedzenie, dyskusja się nad nim rozwinie, sprawę się zbada wszechstronnie i obiektywnie, żeby nikomu krzywdy nie było. Potem się obywatela szanownego zawiadomi o wyniku.

— Zawiadomi się? — powtarza dziadek? — A to po co, jak ja żem sam przyjechał, żeby was zawiadomić? I co mnie pisać jakieś podanie? Chcę dać pieniądze, to sprawa jest jasna, i ja nie mam potrzeby nikogo o nic prosić.

— No — mówi szef — podanie zawsze pisać trzeba. Musi być czarne na białym o co chodzi. Żadnego kawału, żeby na przykład nie było. Nasz wydział, to nie jest na przykład straż pożarna. Do niej każdy może sobie wybić na ulicy szybkę, nacisnąć guzik alarmowy, widział obywatel szanowny taki guzik?

— Widziałem.

— Nacisnąć taki guzik alarmowy i uciec. Straż pożarna się wybierze, parę samochodów pojedzie, strażaków kupa, a tu się nic nie pali, szkło tylko jest wybite, darmo przyjadą. Tak samo i tu, bez podania nie ma dla wydziału żadnych pieniędzy, nie ma nic dla nikogo do budowania. Domu kultury żadnego, izby zdrowia żadnej, ośrodka porodowego, nic. Nawet samego obywatela szanownego nie ma. Dlatego podanie napisać trzeba. Bez podania żadna sprawa sama się nie otworzy.

— Przekonał mnie pan — powiada dziadek. — Dawaj pan zaraz jakiego papieru, to wam napiszę, co potrzeba.

Szef zaraz odetchnął trochę.

— Ty! Daj papieru! — mówi do mnie. — I zrób obywatelowi miejsce!

Ale zanim wyciągnęłam papier i wstałam od biurka, szef się rozmyślił.

— Na nic — powiada do dziadka. — Wie obywatel szanowny, co? Ja obywatela zaprowadzę do innego pomieszczenia. Tam biurko jest, wszystko, co potrzeba, nikt obywatelowi nie będzie przeszkadzał. Tam obywatel napisze. A my tymczasem zrobimy naradę wydziałową.

— Czego? — mówi dziadek. — Mnie wszystko jedno. Żeby tylko wam nie przeszkadzał.

— No, to wszystko będzie dobrze — obiecuje szef. —
Idziemy.

Wypuścił dziadka pierwszego przez drzwi, a tylko wyszedł za nim. Kleszcz zaraz do mnie:

— Ty gdzie się z nim wybierasz? — pyta. — Prosto do hotelu?

— Nigdzie się nie wybieram. Coś ty? Zabiera mnie na przejażdżkę samochodem. Jedziemy tam, gdzie słowiki wieczorem śpiewają. Posłuchać.

— Ten śpiew słowików może ci jeszcze bokiem wyleźć. Stary cwaniak, zna sposoby.

— Nie ma sposobu. Jak czegoś nie chcę, to tego nie robię.

— To on będzie chciał.

— Może mu się nie udać.

— Nie bądź naiwna. Wiesz dobrze, na co on ma ochotę. A przy tych słowikach owinie cię dokoła palca.

Zaczerwieniłam się i mówię, że nie ma o czym gadać: ja sobą rządę. Ale Kleszcz przypiął się do mnie, pasuje do niego to nazwisko.

— Ty, słuchaj. Tu już dwie przed tobą skróciły sobie staż. Wyjeżdżały z nim na słuchanie słowików. Tobie też pilno do końca?

— Nic mi nie będzie — mówię. — Z takim tchórzem, jak on? Z jego tradycjami rodzinnymi? Słyszałeś przecież o pradziadku. A jego dziadkowi było zimno w nogi z powodu pradziadkowego powstania. To ród wrażliwy na ludzką krzywdę. I coś mu się należy za niepowodzenia przodków. Niech przynajmniej posłucha słowików w dobrym towarzystwie.

— Tymi swoimi przodkami on się nie przy wszystkich chwali. Boi się o swoje stanowisko. A nuż się komu to nie podoba?

— No, widzisz — mówię. — Ciężko mu jest. Dlatego powinien mieć jeszcze jakieś korzyści pozasłużbowe. Prywatne życie mu się należy.

— Prywatne życie to on ma, tylko pod strachem jest i w swoim domu też się boi. Swojej starej.

— Biedny człowiek. Wszędzie się wszystkiego boi.

— Wszystkich się boi.

— To tym bardziej przysługuje mu słuchanie słowików.

— Czort z tobą — mówi Kleszcz. — Nie mam nic do ciebie. Z życzliwości tylko mówię, żebyś się niepotrzebnie nie nadziała.

— Dobrze — mówię — że z życzliwości, a nie dlatego, że sam lubisz śpiew słowików. Inaczej musiałabym jeszcze z tobą jechać.

— Idź do diabła! — mówi Kleszcz. — Szkoda mi każdej

dziewczyny dla takiej dżdżownicy, co się boi, żeby się sama przez nieuwagę nie rozdeptała!

A dżdżownica właśnie otworzyła drzwi i wpęzła do pokoju. Przyjrzała się nam, czy czegoś złego nie robili; dżdżownica jest o mnie zazdrosna. Odetchnęła z ulgą, ale zaraz przypomniała sobie nietypową sprawę dziadka.

— Co ja mam z nim zrobić? — pyta. — Posadziłem go w archiwum, siedzi tam i skrobie podanie, ale za kwadrans będzie gotów i trzeba będzie coś w jego sprawie zdziałać.

— To niech teraz wydział pisze podanie do niego, żeby sobie wybił z głowy fundację — mruknęłam.

— Cholera! — mówi szef. — Ja bym tych podań dziesięć napisał, ale to twardy facet.

— Milion złotych! — woła Kleszcz. — Jak wszedł, to żem myślał, że będzie chciał parę złotych zapomogi. Jak by mnie poprosił, to bym mu dał dziesięć złotych na śniadanie w barze mlecznym. A tu milion złotych! Milion! Taki staruch!

— Co robimy z tym fantem? — pyta szef.

— Daje, to trzeba brać — mówię.

— Brać! Czasem gorzej jest brać, jak nie brać — warczy szef. — Nie wiadomo, co to za facet i skąd ma pieniądze, jak to prawda, że ma.

— Oszczędzał — mówię. — Nie słyszał pan, że ludzie oszczędzają?

To szef wsadził we mnie zaognione ślepia.

— Głupia żeś? Oszczędzał? Tyle pieniędzy z oszczędzania?

— Milion złotych! — wzdycha nieprzytomny Kleszcz. — Chryste miłosierny! Mercedes ropniak, własna chata z wyposażeniem i jeszcze blit w kieszeni. Żebym ja to miał!

— To byś miał czym dziwki wozić i gdzie przywozić! — krzyczy szef. — Najgorzej, że nie wiem, co to za facet. I jak ja go mam załatwić? I dlaczego ja? Niech tylko kto w tej sprawie znajdzie coś nieczystego, po nikim, tylko po mnie będą się ślizgać!

— Taka fundacja, potrzebna rzecz — mówię. — Kto będzie patrzył, skąd pieniądze.

— Na tacę w kościele jak się daje, to może nie patrz — mruczy szef. — A gdzie indziej ludzie są ciekawi: a kto dał? a po co dał? a z czego dał? I słusznie. Facet na przykład może być złodziej.

— Bandyta też może być — zauważa Kleszcz. — Jeszcze w Ameryce? Gangsterzy, to nie tylko Włosi. Kto wie, na czym te pieniądze zarobione?

— Na handlu żywym towarem zarobił — mówię.

— Mógł — powiada Kleszcz i się przypatruje szefowi. — Z Al Capone spirytus i whisky mógł z Kanady przemycać, albo go robić na miejscu. Akurat jest w tym wieku, że mógł.

— Możliwe — powiada szef i jeszcze bardziej zaczyna się tej sprawy bać.

— Na pewno przechowywał dolary, kiedy nie było wolno. Na poprzednim etapie — Kleszcz dolewa oliwy. — Był wtedy zwykłym przestępcą dewizowym.

Patrzemy, a szef ociera spocone czoło.

— Mafie zajmowały się głównie rozprowadzaniem narkotyków — dodaje wobec tego.

— A marihuany, to nie? — pyta Kleszcz.

— I yohimbiny! — recytuję za nim jak w litanii.

— Eeee — mówi szef. — Yohimbiny, to nie.

— Afrodyzjaków w każdym razie — dodaje.

Szef słucha i coraz niespokojniej patrzy na telefon.

— Co to są afrodyzjaki? Zadzwoń gdzie, albo co? — mówi umęczony. — Nie wytrzymam tej ciągłej odpowiedzialności. Najlepiej by było zepchnąć to na kogo. Cholera! Człowiek nie mógłby gdzie żyć spokojnie? Wędkę by sobie wsadził w brzeg, popatrzył na rzekę, słowików posłuchał, a tu nic, tylko się martwić! Niech to jasna krew zaleje! Żeby się chociaż było kogo poradzić!

— Prawnika najlepiej — mówi Kleszcz. — Ale ja studio-
wałem agronomię. I nie znam się na prawie. Na różnych kantach też nie, dlatego mam byle jaką robotę. Wiem tylko, że można narozrabiać przez zaniechanie. Na przykład nie wziąć, kiedy się forsa sama pcha.

— I za nie zaniechanie też. Kiedy się bierze, jak można nie wziąć — mówię.

— Niech to szlag trafi. Zadzwoń gdzie — wzdycha szef.

— Najlepiej tam, skąd przyjechał — radzi Kleszcz. — Przekazać im sprawę i cześć. Niech go oni obmacują.

Szef przygląda mu się.

— Ty! — mówi do niego. — To niegłupie. Idź go przypilnuj, niech tam jeszcze posiedzi, niech popisz to podanie. W razie, jak by miał gotowe, to coś tam znajdzie, niech ze dwa razy przepisz. Ja się tymczasem połączę z terenem. Odepchnę sprawę od siebie, jak Boga kocham. Będę miał spokojną głowę.

Kleszcz wyszedł do archiwum, a szef patrzy na mnie.

— Ty! — mówi. — Nie rozmyśliła żeś się w sprawie wyjazdu?

— Nie.

— Zostaniemy tam do jutra.

- Myślałam, że dziś wrócimy.
- Dzisiaj nie da rady, musielibyśmy po nocy jechać.
- To trochę zmienia postać rzeczy — mówię. — Nic pan nie mówił o nocy. Innego charakteru nabiera nasza wycieczka.
- Nie ma się do czego spieszyć. Połazimy, zjemy kolację, czas prędko zleci, ani się obejrzymy, jak będzie noc.
- No, dobrze — mówię. — Zobaczymy, co będzie.
- A on zaraz sięga po słuchawkę i zamawia błyskawiczną.
- Tylko nikt nie ma o tym wiedzieć — powiada do mnie surowo i patrzy niespokojnie na drzwi.
- Że pan dzwoni?
- A co ja tu mam do ukrywania? — pyta dumnie. — Masz nikomu nie mówić, że jedziemy razem. Po co się ma kto zaraz podniecać?
- Specjalnie nie mam się czym chwalić. Niech się pan nie boi. Nikt nie będzie wiedział.
- Jednak się boi, żebym mu nie rozwaliła układu domowego, albo kariery nie zwichnięła. Za chwilę dzwoni telefon.
- Chodź tu — mówi szef. — Posłuchasz, co powiedzą.
- Podchodzę do niego. On obejmuje mnie w pól, niby żeby mi było wygodniej słuchać, ale jego palce zaraz się biorą do roboty, przebiera nimi po cienkiej bluzce, po skórze: słuchanie z nim słowików może być trochę uciążliwe, pod tym względem Kleszcz ma rację. Jest połączenie, szef każe jeszcze przywołać kogoś innego. Jakaś baba odzywa się słodkim głosem w słuchawkę.
- Nie, kierownika nie ma. Jest w sanatorium.
- Szkoda — mówi szef. — Posłuchajcie. Przyjechał tu do mnie jakiś facet z Krzemienia. Chce dawać pieniądze, rzekomo oszczędzone, na społeczny cel. Nic o nim nie wiadomo, co to za jeden.
- Tak — mówi ta terenowa referentka czy sekretarka.
- Chodzi mi o jakieś informacje, jak się sprawa zacznie konkretyzować żeby nikt nie powiedział, że działamy na żywioł, bez rozeznania. To ma być sprawa czysta, bez żadnych nieprzewidzianych kłopotów. I taka, żeby nikt nie miał nic do zarzucenia, żadna prasa, żadne czynniki. Sprawa ma być czysta i jego pieniądze też mają być czyste. Nazywa się Krzyś. Znacie kogo takiego?
- Ja go nie znam — powiada babka — ale coś mi się obilo o uszy. Był chyba u przewodniczącego, to on, zdaje się, kazał mu jechać do was. To jakiś uparty facet. Tyle mogę powiedzieć, że biegał tu już po różnych miejscach, w instancji był, oni go też chyba wyżej odsyłali, ale nie wiem, czy po ich linii,

czy do was personalnie. Może lepiej niech się u was ustali, co z nim ma być, i tak to później przez was by było zatwierdzone.

— Cholera! — mówi szef; ze zdenerwowania wsadza mi palec w rękaw bluzki i jedzie nim do obojczyka, czuję tam to zimne wpełzanie dżdżownicy. — Cholera! — mówi. — To wy tam już nie umiecie załatwić prostej sprawy? Potrzeba wam naszej decyzji? Sprawa jest postawiona na głowie! — wydziera się do słuchawki. — Przysyłacie nam gołego faceta, bez żadnych informacji, kto to jest!

— Nie wiem — powiada referentka spokojnie; czuję po jej głosie, że już tam tego szefowego dziadka trochę powąchali i programowo nie chcą się angażować. — Możliwe, ale my mamy decyzję przewodniczącego, żeby się sprawą nie zajmować. Gdyby chodziło o drobną składkę, tysiąc, powiedzmy dwa tysiące, to owszem, ale milion z prywatnej kieszeni? Rzeczywiście, lepiej się wy tym zajmijcie. Przepraszam, mam petentów — mówi i bez niczego odkłada słuchawkę.

Szef stoi jak głupi.

— To jest bezczelność — odzywam się i wyjmuję z mojego rękawa palec szefa.

— Psychologia, nic więcej. Nie pierwszy raz się z tym stykam.

— Ale bezczelna! Zwykła urzędniczka, a rozmawiała z panem jak jakiś grubszy dygnitarz!

Szef zastanawia się.

— Pewnie pod kogo podwieszona.

— I co teraz pan zrobi?

— Co? Nic nie zrobię, bo nie wiem, co bym mógł zrobić. Każę facetowi złożyć to podanie, niech jedzie do domu czekać na odpowiedź. Poczekaj trochę. Coś niecoś będę musiał się o nim dowiedzieć. Nie będę działał w ciemno.

Na to wchodzi Kleszcz i patrzy na mnie ukradkiem.

— Może mu szef pozwoli skończyć to podanie. Kazałem mu trzy razy przepisywać na czysto. Czwarty raz mu każę, to się kapnie, w czym dzieło.

— Daj go — mówi szef. — Nie będę go trzymał w wydziale aż się zaśmierdzi.

Za dwie minuty dziadek wkracza do pokoju pod eskortą Kleszcza. Po tym wzmocnionym pisaniu trzyma się dobrze, siada na krześle przed szefem i pewny swojego czeka, żeby szef przeczytał podanie.

— No — mówi szef. — Dobrze jest. Trzeba tu jeszcze na odwrócie ponotować to i owo. Trochę więcej informacji.

— Jakich informacji?

— No, takich, żeby sprawę zaokrąglić, nie później się dowiadywać tego czy owego, nawiązywać niepotrzebną korespondencję. Będzie obywatel łaskawy odpowiadać zgodnie z prawdą. Za fałszywe zeznania grozi odpowiedzialność karna.

To dziadek wyciąga z kieszeni stary brezentowy portfel z nadrukowanym niebieskim żaglowcem, wyjmując dowód osobisty, jakieś stare metryki, ze ślubu w parafialnym kościele czy ze chrztu jeszcze.

— Imię i nazwisko już mamy — mówi szef. — Adres tak samo. Imię ojca?

— Walenty — deklamuje dziadek posłusznie.

— Imię i nazwisko panińskie matki?

— Michalina Kuraś.

— Rok urodzenia?

— Kogo? Mnie?

— A kogo by? Nie mnie.

— Dziewięćdziesiąty dziewiąty, czerwca trzynastego.

— Imię i nazwisko panińskie żony?

— Katarzyna, Patryka z domu.

— Karany sądownic?

— Nie.

— Imiona synów.

— No, jeden był po mnie Franek, drugiemu, młodszemu, Jaś było.

— W którym zginęli roku?

— Mówili, że zabili ich w czterdziestym trzecim, obu jednego dnia.

— Kto zabił?

— Jedni mówią, Niemcy, drudzy, że banderowcy, jeszcze drudzy inaczej.

— Za co?

— Ja wiem? A za co zabijali? Za broń, za jakąś partyzantkę. Mnie nie było. Jak żem przyjechał, było po wszystkim. Po wojnie i po nich.

— A do czego oni przynależeli w czasie wojny?

— No, do jakiejś tam armii.

— Do jakiej?

— Tego nie mam skąd wiedzieć. Świadkowie ich, koledzy, poprzepadali, to nikt o nich za wiele nie wiedział. Ludzie się wtedy ze wszystkim ukrywali. Teraz dopiero, jak kto przeżył, wie do czego należał i się przyznaje, jak mu tam potrzeba do życia.

— No, dobra — powiada szef. — A te pieniądze? Skąd one są?

— Skąd by miały być? Nie miałem na kogo wydawać, to się ich nazbierało. Z roboty. A teraz trzeba z nimi coś zrobić. Lepiej za życia dać na co, na jaką budowę, żeby chociaż o moich chłopakach było wiadomo, że żyli.

Dziadek wyjmując z portfela fotografię, połamaną, zniszczoną, rozmiękłą na czterech rogach i postrzępioną od częstego oglądania jak stara miękka bibuła do atramentu, podaje ją szefowi.

— Oba tu są. Ostatnią fotografię sobie zrobili przed śmiercią.

Podchodzę, patrząc: dwaj młodzi wysocy mężczyźni stoją z bronią przewieszoną przez piersi, dzieci jeszcze prawie, ale hardzi, twardzi, tacy, co to gdyby byli inni, na pewno by żyli do dziś.

— W mundurach są — mówi szef. — Trudno na fotografii zgadnąć, czyje to te mundury.

— Czyje by? — powiada dziadek i patrzy na zdjęcie. — Nasze.

— W lesie zdjęcie robione — ciągnie szef. — Mam podobne zdjęcie mojego dziadka z brygady. Facet był twardy, choć skromny rejent, władzy nie lubił, nawet swojej władzy na ręce patrzył, nie jedną jej machlojkę wytępił. A ojciec już inny, miękki, strachliwy. Do szkoły jeszcze uczęszczałem, a już wiadomo mi było, że się lubi wszystkiego bać. Przemielony taki, nie swój, a z dodatkami różnymi jak mięso garmażeryjne. Ja się trochę od niego wyrodziłem.

Dziadek schował zdjęcie, powkładał do portfela metryki, legitymacje i wsadził wszystko do kieszeni, z drugiej wyciągnął książeczkę oszczędnościową.

— Te wszystkie pieniądze — mówi — chcę przepisać na państwo, jak tylko postanowicie co do budowy.

— No, trzeba będzie coś postanowić — odpowiada szef. — Jak wszystko będzie w porządku, wyrośnie pożyteczny budynek użyteczności publicznej. Państwo jeszcze dokończy.

— Z tablicą o moich synach.

— Może być z tablicą, ale niekoniecznie z tablicą. Z tablicą bym obywatelowi odradzał, zawsze to bardziej skomplikowane, wymaga zatwierdzenia ze względu na konieczność zgodności z prawdą historyczną. Nie każdy się w historię może wpisać, a dużo ludzi by chciało za parę złotych sobie pomnik postawić.

— Ja nie daję parę złotych — powiada dziadek surowo. — Ja daję milion. I za ten mój milion ja nie chcę nic, tylko żeby była tablica o moich synach.

— Sto takich tablic ja bym kazał wmurować za taki blit! — odzywa się Kleszcz. — Jak Boga kocham, ścian bym na tablice nie żałował.

Szef popatrzył na niego kwaśno i jeszcze raz zlustrował dziadkowe podanie.

— No, dobra — powiada po minucie. — Podanie mamy, potrzebne dane mamy, przy sprawdzaniu jest się o co zahaczyć. Roboty trochę będzie ze społecznym wywiadem, ale się go zrobi siłami z terenu. To teraz może obywatel spokojnie jechać do domu i czekać zawiadomienia.

Na to dziadek wstaje i patrzy na szefa z góry.

— Ja żem tu nie przyjechał — mówi twardo, po amerykańsku chyba — czekać w domu na zawiadomienie. Przyjechałem załatwić budowę i nie pojadę, jak nie będę miał czarne na białym, że sprawa jest przyjęta. Ja płacę, ja wymagam! — mówi i pochyla się nad szefem. — Sprawa ma być załatwiona dzisiaj, od ręki!

Szef też wstał z krzesła.

— No, nie ma się obywatel o co denerwować. Tu urząd jest, jest dużo spraw, a nie jedno tylko, obywatela. My nie na jeden milion musimy mieć oko, żeby na rozkurz nie poszedł. A denerwować się nie ma potrzeby. Sprawa wymaga decyzji. Spokoju trzeba do takiej sprawy, wyrozumienia, rozwagi.

— Stary jestem, nie będę spokojnie czekał — powiada dziadek.

— Nie umie obywatel czekać? — pyta go szef. — A całą wojnę przesiedział obywatel spokojnie gdzieś za granicą, pieniądze obywatel spokojnie robił i się obywatelowi zdaje, że za pieniądze można urząd państwowy poganiać? A komu to jest wiadomo, na czym te pieniądze są zrobione, czy one czyste są? Nam trzeba to wszystko posprawdzać, a obywatelowi czekać trzeba. Niech obywatel jedzie spokojnie do domu, damy znać, jak już będzie postanowienie.

— Nigdzie ja nie pojadę — upiera się dziadek. — Wezmę numer w hotelu i będę tu siedział do załatwienia.

Szef popatrzył na niego, na Kleszcza, na mnie.

— Dobra jest — mówi. — To niech obywatel przyjdzie przed trzecią. Ma obywatel coś do załatwienia na mieście?

— A popatrzę sobie — powiada dziadek. — Dawno żem tu nie gościł.

— To niech obywatel sobie popatrzy i przyjdzie przed trzecią, dowie się obywatel przynajmniej, jak szybko się sprawa da załatwić.

Dziadek przypatruje się uważnie szefowi, wstaje i wyciąga z kamizelki zegar kieszonkowy wielki jak bułka za złotówkę.

— Wiadomość dla mnie ma być gwarantowana — powiada i wychodzi.

Szef za chwilę wygląda za nim na korytarz.

— Cholera! — mówi. — Coś z nim trzeba zrobić. Nadać przedwcześnie sprawie bieg, na nic. Mam przeczucia. Coś mi mówi, że to nieczysta sprawa i że jakieś brzydkie historie z jego życiorysu mogą wyjść na wierzch. Co z tym starym zrobić?

— Przestraszyć go, albo co? — zastanawia się Kleszcz.

— Czym? — pyta szef. — Mysz? Taki strachliwy to on nie jest. Liznął trochę świata, taki się prędko nie przestraszy. Widziałeś jak się postawił?

— Trzęsie mnie, jak o nim myślę — mówi Kleszcz. — Taki ćwok! Milion złotych rzuca jak w krzaki! Żeby miał wnuczkę albo córkę, można by się do niego na zięcia zaangażować. Po ślubie mercedes ropniak by mi stał przed chałupą. Za niego mógłbym i na wsi mieszkać, w gnoju się parę lat grzebać.

— Masz tu to jego podanie — mówi nagle szef — i się mu dobrze przyjrzyj. Zadzwoń do niego do gminy i spróbuj się dowiedzieć, co to za facet przede wszystkim i skąd się tam wziął. Najważniejsze, skąd ma pieniądze. Może to, cholera, jaki stuknięty, może nie ma grosza, a mu się tylko zdaje, że z niego milioner. Napoleonów mało kibluje u czubków? Dowiedz się tak samo o tych jego synów, czy to prawda, co on mówi, i przy czym oni w tym lesie byli. Może to banderowcy.

Kleszcz z miejsca zaczął studiować podanie trzymając rękę na słuchawce. Szef wciągnął marynarkę i kiwnął na mnie. Na dworze wsiedliśmy w samochód i jedziemy.

— Muszę się odprężyć — powiada szef jak żeśmy już trochę ujechali. — Od rana miałem dzisiaj przeczucie. Męczy mnie ta sprawa. Przejedziemy się, wleziemy gdzie na chwilę między ludzi.

Patrę na niego jak prowadzi swojego trabanta. Taki ważny zmechanizowany facet, kierownik, tu na drodze też ma coś do powiedzenia: jak mu się tylko zechce, nie jednego przechodnia może na pasach postraszyć, bo ta ulica jest przede wszystkim jego. I robi to, popędma trabantem wolno idących.

— Z tym pana pradiadkiem i dziadkiem to prawda? — pytam. — Nigdy pan o tym nie mówił.

— Z pradiadkiem? A co? Myślałaś, że ja już tak zupełnie bez dobrej rodziny jestem? Bez tradycji? Pradiadek mój, to był człowiek, który się czymś zaznaczył. Rzetelny, patriota z niego był wielki, nie wahał się z rzuceniem na szalę życia, nie żałował go.

— A z dziadkiem? Też prawda?

— Z dziadkiem? Potem ci wszystko opowiem — mówi i zatrzymuje trabanta przy targowisku.

Z daleka słycać hałas, mrowisko ludzi kręci się po wielkim placu, szef wyłazi z samochodu, przeciąga się.

— Chodź — powiada. — Lubię się tak zmieszać z tłumem, z szarym człowiekiem nieświadomym niczego pogadać. Mój dziadek lubił spędzać czas na wsi. Tu też. Idziesz sobie między ludźmi, słuchasz, orzeźwiająca jest taka ludowa kąpiel.

Idziemy prosto do tej kąpieli. Poszarzała, niemodnie ubrana szarańcza rusza się w słońcu, pokrzykuje, załatwia sprawy kupna i sprzedaży, żadnych atrakcji w tym szefowym ludowym tłumie nie ma. W jednym kącie targowiska pełno cuconych wodą kwiatów, w drugim mną warzywa i owoce, w trzecim, na ziemi, walają się na gazetach różne stare ciuchy, dopiero na samym środku błyszczący enerdowski luksus zagraniczny z prywatnego importu, w czwartym rogu męski i damski wychodek zieje smrodliwą swojskością. Szef kroczy przez tłum z miłym marzydzielskim uśmiechem, wielce życzliwy zaaferowanym ludziom, dziadom, babom, przekupniom, straganiarzom, nawet Cygankom narzucającym się z wróceniem z kart i pętającym się dzieciom. Nie ma na co patrzeć, chyba że się jest z dobrego domu.

— To jest dopiero naród, własnowolny, samosądny, ci straganiarze, kramarze, handlarze, badylarze — powiada szef i pełną piersią oddycha smrodami targowiska. — Wolny świat, świat bez szefów, bez wydziałów, bez interesantów. Tu jest tylko rzetelne myślenie ekonomiczne.

Idziemy dalej, ale wydział i tu daje się szefowi we znaki.

— Ja tak sobie chodzę — mówi — rozglądam się, niby odpoczywam, niby się odprężam, a tamten dziadyga ze swoim milionem nie daje mi spokoju, nyje mnie jak ząb. Niewyraźny smród od jego sprawy idzie — powiada, kiedy mijamy wychodki.

— Może się panu zdaje? Może to uczciwy człowiek? Dlaczego podejrzewa go pan o coś złego? Może jest w porządku?

— Żeby tak powiedzieć, trzeba go najpierw opukać. Potem dopiero można podjąć pozytywną opinię. A ja niech się tylko wkopię w niewyraźną sprawę, będą mi ją wypominać do końca życia. I cześć z awansem. Trzeba mi coś wymyśleć na tego faceta. Unieszkodliwić go lekko. Chodźmy dalej — powiada — może gdzie będzie jakieś zbiegowisko, coś ciekawego się zobaczy.

Zbiegowiska nie ma. Szef robi przegląd straganów i rusza do trabanta. Ogląda mu koła, podnosi maskę, coś czyści szmatką przy świecach.

— Lud — prostuje się i mówi. — Prosty lud i dużo zdrowego rozsądku. Ale niech kto liźnie świata, to popatrz, co się

dzieje! Widziałś tego naszego dobroczyńcę? W Ameryce przesiedział wojnę. Dekownik. Mój dziadek nienawidził takich. Mam chyba dziedziczny wstręt do karierowiczów, dlatego siedzę pięć lat na jednym stołku. Nie idę w górę.

Włazimy do trabanta i jedziemy.

— Męcę się — zaczyna znowu szef. — Nie mogę przestać myśleć o tym faciecie. Czego on się tak zaparł? I to akurat na mnie trafiło! Co on ma za cel? Gdzie indziej mógł pójść. A ja myślę i myślę, i nic na niego nie mogę wymyśleć. Dostanę nerwicy, jak go jeszcze dzisiaj nie odprawię na wieś. Cały dzień mi zepsuł.

— Szkoda, że nie jestem po prawie — mówię, bo mi się go przez chwilę żal zrobiło. — Może bym panu coś doradziła.

— Dziadek by mi doradził, jakby żył. Porządny facet. Sam sobie muszę radzić.

W biurze Kleszcz ma gotowe informacje. Facet był rzeczywiście w Ameryce, dwaj jego synowie rzeczywiście zginęli, tyle że nie wiadomo dobrze w jakich okolicznościach. Był ze swoją sprawą najpierw w gminie i stamtąd się zaczęła jego wędrówka w górne rejony. Poza tym nic nie wiadomo. Nie było sekretarza gminy i dlatego Kleszcz tylko tyle się dowiedział.

— No, ja go do Warszawy odesłać nie mogę — powiada szef. — Muszę sam coś wymyśleć. Trzeba szukać sposobu dobrego, bo facet jest za nachalny. Delikatnego sposobu, bo jego sprawa jest delikatnej natury.

— Krewnych mu jakich zafundować do spadku, czy co? — odzywa się zaraz Kleszcz. — Tylko skąd ich na poczekaniu wytrzepać?

— Oszustwo by wyszło na wierzch — mówi szef. — Trzeba coś uczciwego znaleźć.

— Kochankę mu podstawić? Skąd by wziąć taką, co by poleciała na niego? Żeby się chciała do niego przenieść? Taki może żyć jeszcze ze dwadzieścia lat! Znam nawet taki kawał.

— Ty! Weź się lepiej do roboty ze swoimi kawałami — powiada szef zły. — Sprawozdania mi robisz pi razy oko! Albo się zabieraj do roboty, albo co wymyśl na tego dobroczyńcę, fundatora społecznego.

— Pokażę mu jaką złą budowę, powiem, że to z takiej samej darowizny się marnuje i ciągnie latami.

— Nie bądź cwany. Naskarży do kogo i ja za ciebie dostanę.

— Mogę ja coś powiedzieć?

— Mów! — rozkazuje mi szef.

— Skoro odradzić mu się nie odradzi, to pieniądze trzeba przyjąć. Starego pocałować w mankiet i budować to, na czym

mu zależy. Razem z tablicą. Wcale mu się nie dziwię. Miał dwóch synów, nic mu po nich nie zostało, może się nimi nie za bardzo interesował, kiedy był w Ameryce, że ma teraz wyrzuty sumienia. Dlaczego nie pójść mu na rękę?

— Młoda jesteś i masz zielone w głowie. Widzisz sama, że nikt nie ma pojęcia, z jaką to przeszłością człowiek i przy czym byli jego synowie.

— Nie widzę żadnych trudności — upieram się. — Nic prostszego, jak sprawdzić to, co mówi. Tylko trzeba na to trochę czasu.

— Niejednego się sprawdzało — mówi szef — tak ze dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu. I co? Dużo się wykryje? Najpierw się wszyscy przyczaili, kto mógł. I nie było w kraju nikogo z arystokracji, przedwojennej inteligencji niepracującej nie było, fabrykantów nie było, kupcy się pochowali. Potem tylko fuksem człowiek się dowiadywał, że to facet albo stąd, albo stamtąd, to z dwójki, to Bóg wie z czego. Tak samo teraz. Myślisz, że nikogo już nie ma? A ten staruch? Nie może to być amerykański łamistrajk, co zdradzał klasę robotniczą, wrogom jej się wysługiwał? Nic nie wiesz, kto jest kto!

— Wielka rzecz — mówię. — Pan też jest z inteligencji przedwojennej, a pana pradziadek, to może nawet był arystokrata!

Szefa przytknęło, zabrał się zaraz do porządkowania papierów.

— Ja co innego — odzywa się po minucie. — Mój pradziadek zginął w czystych okolicznościach, w czasach czystych, dobrze wyraźnych. A ten tu nie wiadomo, gdzie synów potracił i za co.

Moglibyśmy tak przelewać z pustego w próżne. Ale usłyszeliśmy puk-puk, nasz dziadek dziarsko wkroczył do pokoju i klapnął na krzesło przy szefie. Szef się trochę zmieszał, popatrzył na zegarek i jeszcze przez chwilę porządkował papiery.

— No i co słyszać dobrego? — pyta w końcu znad świstków. — Pospacerował obywatel po mieście? Zmieniła się nasza lokalna metropolia, co? Rozbudowała się?

— Byłem to tu, to tam — mówi dziadek. — Owszem, niczego sobie.

— Duże miasto, co?

— Czego nie? — powiada dziadek. — Nie za małe. A różne w życiu widziałem, całkiem duże też.

— Nowy Jork? — mówi szef.

— Nowy Jork.

— I Chicago?

— Też.

— I Waszyngton?

— Tam nie byłem, nie miałem potrzeby. Ale byłem w Detroit, w Buffalo, w Pittsburgh. A tu, to tak sobie tylko popatrzyłem. Na place różne, na parcele, dużo wolnego placu jest. Można budować.

— Co budować? — pyta szef.

— A wszystko. Nawet jaki szpital wielki. Ale ja mam za mało pieniędzy na szpital. To sobie pomyślałem: co ja będę o szpitalach myślał. Wystarczy jak się w mojej wsi budynek na ośrodek zdrowia wystawi — powiada i przypatruje się uważnie szefowi, tak samo jak rano patrzy mu prosto w oczy. I szef odwrócił głowę.

— I co, panie kierowniku? — pyta dziadek, jak już dobrze szefa przeświecił. — Możemy już porozmawiać w sprawie szczegółów?

— Jeszcze nie. Przykro mi bardzo, ale muszę sytuację zbadać.

— To znaczy, że dzisiaj nie będzie zatwierdzony mój zamiar? Szef westchnął.

— Dzisiaj, niestety, nie dam rady. Różni urzędnicy się porojeżdżali służbowo, przełożeni powyjeżdżali do stolicy na narady, nie udało mi się złapać, kogo trzeba.

Dziadek, choć mu się przedtem tak piliło, jakoś się nie zmartwił.

— Znaczący, że dobrze żem zrobił — powiada wesoło. — Bo sobie wziąłem numer w hotelu. Nic ciekawego człowiek nie zobaczy i choć czasu na czekanie szkoda, ależem sobie pomyślał, po długim siedzeniu na wsi przyda się odpoczynek. Jak siedziałem na placu przy fontannie, to się trochę zgadałem ze studentkami.

Kleszcz zachichotał, a dziadek popatrzył zaskoczony.

— Młode one? — pyta szef.

— Kto?

— No, te studentki.

— Panie, dzieci jeszcze! Aż mi się szkoda zrobiło, że same bez ojców siedzą w mieście, pieniędzy nie mają, bo co dostaną z domu, to zjedzą. Dzieci jeszcze, nie do życia, nie do roboty, a do zabawy, do strojenia, do figlowania. Żebym miał takie wnuczki, to by mnie, panie, szkoda było puszczać do miasta. Jak już żeśmy trochę pogadali, to żem im powiedział, gdzie w jakim hotelu stoję. Na kolację żem ich zaprosił, posilą się, ze mną, posłyszają co ciekawego ze świata.

Szef popatrzył na dziadka, jakby mu coś zaświtało.

— Gdzie obywatel w hotelu stanął?
— A w Polonii.
— To dobrze, że obywatel może do jutra zostać. Może jutro będziemy mieć decyzję.
To dziadek wstał.
— Nie będę zawadzał — mówi. — Jutro przyjdę.
— Proszę bardzo, ale nie za wcześnie, bo z rana będę musiał za obywatela sprawę pochodzić.
— Koło południa przyjdę.
— Dobra, niech będzie koło południa.

Dziadek się pożegnał i zaraz był koniec pracy. Kleszcz pozbierał swoje manatki, pozamykał szuflady, szafę, spojrzał na mnie i nie bardzo zadowolony poszedł do domu. Szef trochę jeszcze marudził, patrzył na krzesło opróżnione przez dziadka.

— Jak raz nic nie mogę wymyśleć — mówi. — Jeżeli nie wyjadę, nie będę w stanie jutro pracować. Ta jednostajność urzędowa człowieka w człowieku zabija. Nie ma rady, wyskoczmy, powaśesamy się gdzie po różnych kątach, pożyjemy przez parę godzin jak ludzie, nie jak zwierzęta w kieracie. Od razu się nam perspektywa zmieni. Jedziemy — powiada i bierze mnie za rękę.

No, to żeśmy pojechali. Posadził mnie koło siebie, choć ja bym wolała z tyłu, z namaszczeniem uruchomił swojego trabanta, pewnie nie tylko z trzeciej ręki, ale jeszcze po wypadku; kupił go na giełdzie niedzielnej. Nic nie mówiąc wyjechaliśmy z miasta.

Po drodze przychodziły mi do głowy różne myśli. Bawiłam się trochę. Porównywałam szefa z innymi ludźmi w jego wieku, których znałam albo o nich słyszałam od koleżanek. Wcale w tych porównaniach nie wychodził najgorzej. Jak tak przeciętnemu facetowi dopisać pradziadka-powstańca, co swoje młode życie bez wahania oddał ojczyźnie, i dziadka-notariusza, obojętne jakiej maści politycznej, grunt że uczciwego, a dla sprawiedliwości uwzględnić tchórzliwego ojca, jakiegoś pewnie powiatowego pisarzynę urzędowego, wytartego jak płaszcz od za długiego używania do różnych celów i przez różnych ludzi, to w końcowym rachunku, wliczywszy okoliczności łagodzące, nie musi być z nim najgorzej. Na pewno zresztą to ojciec zaraził szefa sobą tak bardzo, że to, co w nim było szarością, w szefie już się przemieniło w stan ogólnego zapleśnienia. Jak zapleśniały tak właśnie wyglądał, nawet tu za kierownicą. Zrobiło mi się nawet z tego powodu smutno, bo sobie pomyślałam: gdzie szukać orłów, tych pięknych mężczyzn z krwi i kości, nie przemielonych, nie strawionych na wpół i nie podrasowanych jak marne wino współ-

nymi dla wszystkich drożdżami? Gdzie szukać? myślę sobie i patrzę to na szefa, to nad drogę nie za bardzo wygodną, kiedy się jedzie trabantem, a nie na przykład mercedesem ropyńskim, do którego Kleszcz tak się pali, że by się zgodził na wieś za męża nieistniejącej córki albo wnuczki dziadka fundatora.

Szef prowadzi samochód, mówi o potrzebie odpoczynku i o tym, że mu jest gwałtownie potrzebna zmiana perspektywy. Trochę się odprężył, ale mu jeszcze dokucza sprawa darowizny, tłumaczy, jakie niebezpieczeństwa niesie pochopne spełnienie wygórowanego dziadkowego życzenia. Tu nie wytrzymuję.

— Czego się pan boi? — pytam go zła.

— Tego, że ja w tej sprawie muszę wyjść pierwszy. Ja tę grę otwieram, rozumiesz?

— To dziadek ją otworzył.

— Dziadek nie ma nic do powiedzenia. Dla mnie on jest tylko kartą i tę kartę ja nie wiem jak rozegrać.

— Niech się pan po prostu nie boi licytacji.

— Jak ja tej karty jeszcze nie znam. Mam ją tylko w ręce i coś mi mówi, że jest niedobra. Śwąd od niej idzie. I nie wiem, czy ta karta jest mocna. Nie wiem kto i czym mi ją przebiję. Ale jak mi przebiję, to jeszcze nie najgorsze, ten kto może nią potem wyjść przeciw mnie. Może mnie tą kartą doprawić. I ja już znam takie przypadki szkodzące mocno. I nie chcę w taką grę niepotrzebnie wdepnąć. Dlatego chcę tę kartę od siebie odepchnąć, niech kto inny nią sobie zagra. Tylko że nie wiem, komu ją podrzucić. Dlatego się męczę i myślę i nic mi dobrego do głowy nie przychodzi.

— No, to ma pan rzeczywiście kłopot — mówię, żeby go nie spłoszyć, bo chciałam, żeby tę swoją taśmę przegrał mi do końca.

— Mam — mówi. — Ale ty się nie przejmuj. Jeszcze mnie nikt do aktualnego momentu nie wyrolował. Inaczej bym był taki sam, jak mój ojciec. Poczekaj, tylko wjedziemy w plener, poszwendamy się trochę, pogadamy, odprężymy się, dobrze pójdzie, to jeszcze dziś znajdzie się optymalne wyjście.

I od tego momentu zaczął się na dobre odprężać. Zaraz w całkiem pośledniej gospodzie, z jednym śledziem marynowanym w gąblocie, podpleśniałym jak szef, łyknęliśmy po małym koniaku i szef w dalszej drodze do tego miejsca, gdzie czekała go zmiana perspektywy, podśpiewywał wesoło. I mnie kazał śpiewać różne studenckie przyspiewki z rajdowych wygłupów.

— Ty! Wiesz co? — powiada, jak już ujechaliśmy z osiemdziesiąt kilometrów. — Ja już rozwiązanie mam. Żeby mi się

tylko coś nie pozmieniało w aktualnej perspektywie. Dlatego masz o to dbać. Żeby był odpowiedni nastrój tego naszego wspólnego wieczoru.

— Będę się starać, żeby był — mówię — ale nie ode mnie wszystko zależy.

— Wystarczy jak będzie tak jak trzeba w tym, co od ciebie zależy.

— Dobra, dobra. Nie licytuj. Jak ze mną też ma być gra, to ja dla ciebie mam dobrą kartę.

— Co z tego, że pan ją ma, kiedy ja jej nie znam. Co to za karta?

— Coś taka ciekawa? — śmieje się. — Dobra jest, mówię ci.

— Niech mi pan choć rozek pokaże.

— Na wszystko będzie optymalna sposobność — mówi. — Ty nie myśl, że ja jadę z tobą, żeby ciebie wykorzystać. Młoda jesteś, to by mi łatwo przyszło. Ale ja z tobą chcę uczciwie. Mnie od czasu do czasu potrzebne jest wytchnienie, szacunek jakiegoś bliskiego człowieka i jego życzliwość jest mi potrzebna. I ja za darmo nic od nikogo nie chcę. Tak samo w pracy ja chcę, żeby mnie nikt nie ruszał, i żeby mi dali żyć spokojnie, bez kłopotów za wielkich i bez strachu o głupią wpadkę. Innym tego samego życzę. A ja jak od kogo co chcę, to ja mam zawsze dla niego kartę do wygrania. Mam i dla ciebie dobrą kartę. Ty tylko dla siebie i dla mnie zrób dobry nastrój, a wszystko będzie dobrze — mówi i zmarszczony jak z okładki Exupery'ego *pilot de guerre* patrzy na szosę, po której z umiarkowaną szybkością i szykiem jedzie w całej okazałości trabantem ku nowej perspektywie.

Myślę sobie: nie najgorsze przemówienie. Wie czego chce i specjalnie tego nie ukrywa, ile ma mnie kosztować ta dobra dla mnie karta do wygrania. Myśli, że znam tę cenę, i może ma rację, kiedy myśli, że ją znam. Najgorzej się nie wybrał. Ja tam nie wierzę, żeby dzisiaj dziewczyna, tak ze wszystkim nienaruszona, mogła do czegoś w życiu dojść. I tu i ówdzie jakaś karta koniecznie jest do wygrania. Jadę przy nim i patrzę, a on z wielkim zadowoleniem, jakby już sprawę ze mną miał załatwioną, z kierowniczym zamyśleniem na przyplesniałej twarzy, z tą urzędniczą miękką męskością w rysach, zahartowaną w biurach, wydziałach i referatach, i sprawdzaną tyle razy w rozgrywkach kończących się w dole służbowej drabiny na kruchych kościach podwładnych, a nie w górze, prze szosą do przodu z nonszalancją filmowego amanta porywającego dziewicę, tak bardzo mu pilno

ze mną w plener. Więc kiedy znowu każe mi śpiewać piosenki studenckie, śpiewam mu jedną taką ułożoną na rajdzie:

*Poznałam go na targu w Tarnawatce,
Sprzedawał jaja, masło, drób i ser,
Gregory Peck rozparty na furmance,
Z wysokich sfer, z Machnowa — PGR,
Rozsiewał w krąg lawendy woń
I silny był jak jaki koń,
Od jego cholew blask aż bił —
Oprzeć się mu nie miałam sił!*

On sobie smakuje tę piosenkę, a ja myślę: nie jesteś, bracie, ani lepszy ani gorszy, ani śmieszniejszy też, od tych wszystkich ważnych adiunktów, docentów i asystentów, speców od łóżkowych zaliczeń, i od wszystkich starszych panów z praktyk, co to zaraz otaczają biedne dziewczę opiekuńczym ramieniem, żeby je natychmiast doprowadzić do jakiejś szyk knajpy dla zyskania z pomocą alkoholu odpowiedniej siły przebicia, a potem do skrzypiącego łóżka w zakonspirowanej dziurze. Nie lepszy i nie gorszy, myślę. Dlatego jedziemy sobie w spokoju, nie za bardzo spieszenie, w każdym razie mnie się nie spieszyło, i już nie potykamy się na niczym w drodze do pleneru, gdzie razem ze słownikami mam za tę dobrą kartę robić szefowi dobry nastrój. Tylko że jeszcze chciałam się dowiedzieć paru rzeczy.

— Z żoną pan jeździ na takie weekendy? — pytam go niewinnie, kiedy jak rajdowiec bierze zakręt, więc jeszcze na tym zakręcie wybijam mu trochę dechu tym pytaniem.

— Z żoną? — powtarza zdegustowany. — Żona, to taka stara, sentymentalna, przebrzmiała płyta z wyrobionymi rowkami. Wszystko w takiej płycie zgrzyta. Kobiety w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach bardzo się opuszczają w małżeństwie.

— Pana żona, to jeden procent?

— Niestety, nie — mówi. — Ja w niej od dawna przestałem czegoś dla siebie szukać, głównie spokoju i sprawiedliwości w domu. Ona przynależy do tego samego pokolenia, co moje, tyle że została z tyłu. Nie nadążała za mną, stała w miejscu i się potem przeciw mnie obróciła. Dialektycznie. Postępu i wzoru trzeba teraz szukać u młodych, człowiek nie znajduje w swoim pokoleniu właściwego kontaktu z rzeczywistością. Jakbym chciał żyć według niej, to bym siedział w moim wydziale na miejscu Kleszcza, albo bym jeszcze niżej zleciał. Ona mnie nie stymuluje, nie dopinguje. Hamulec mi tylko w woze mojego życia przydepuje. Rozumiesz?

Jedziemy dalej, on o czymś myśli, potem patrzy na drogę.
— My się umówmy dla dobrego nastroju — mówi — że wszystkie sprawy zostawiliśmy za sobą. Tutaj nie ma nic. Jesteś ty, ja jadę z tobą i na tym się kwestia wyczerpuje. Dogłębna zmiana perspektywy. Pojmujesz?

— Pojmuję. Można pana jeszcze o coś zapytać?

— Mów mi po imieniu, tylko tak, żeby to było między nami.

— Mogę jeszcze o coś zapytać?

— Możesz. Pytaj.

— Interesuje mnie twoja rodzina — mówię. — Czy to, o czym mówiłeś, z twoim pradziadkiem, dziadkiem i ojcem, to wszystko prawda?

— Co ma nie być prawda? Prawda taka jak to, że mnie tu widzisz. Pradziadek, cichy, zapomniany bohater narodowy, dziadek tak samo nie głośny, bo dla siebie tylko, ale człowiek honoru, nieprzekupny, stały w swoich przekonaniach. Tylko ojciec się wyrodził.

— Dlaczego? Co się stało?

— Nic się nie stało. Ofiara przełamania systemów. Zmiana perspektywy politycznej tak go przeorała. Tam, gdzie u niego była bruzda, chcieli wyorać skibę i się wszystko w nim poprzewracało. Zabrakło w jego glebie materiału na ten jeden pokład.

— Znasz się, widzę, i na rolnictwie.

— Znam się. Na ludziach też się znam. A ojca ta perspektywa polityczna przeorała, wybrać mu chcieli skibę za dużo, a za mało było na nią materiału. Został ślad po lemieszu, tylko ślad, goły, ze śladem kopyt, co tamtędy przeszły. Ten ślad do dzisiaj widać i to wszystko. Ja sam teraz muszę tradycję rodzinną na nowo wznosić, starą łątać, a bez tradycji człowiek się stacza. Dużo jest roboty, żeby ten brakujący do tradycji pokład wyrównać. Zwykły człowiek ze mnie, nigdzie nie jest powiedziane, mnie też może zabraknąć materiału na skibę za ojca. Ale pamiętam o tradycji, wiem, ona ma kardynalne znaczenie dla narodu. Dlatego muszę uważać na pracy, żebym się nie rozłożył, nie wykończył, bo mojemu synowi już na dwie skiby żadnym sposobem nie wystarczy siły i czasu. Tyle dzisiaj od człowieka nie można wymagać, słabszy on się zrobił. Od mojego ojca chcieli za dużo, dogłębnej zmiany perspektywy chcieli, a on w starej tyle żył. Słaby był człowiek i mnie wszystkim obarczył. Ja teraz muszę mieć w sobie tyle charakteru, co dziadek, a może tyle co pradziadek, i dlatego jest mi ciężko i czasem pomocy u ludzi wrażliwych szukam, u ludzi nie zgnojonych życiem, u ludzi odważnych.

Położył mi rękę na ramieniu i tak jechał parę minut.

— Dobra jest — powiada potem. — Zapamiętaj sobie. Nie

przez przypadek jesteś dzisiaj ze mną w tym samochodzie, nie przez ślepy los ja w twoje ręce częściowo moje życie złożyłem, i nie przez przypadek tak oboje do przodu jedziemy. Młoda jesteś, ale ja ciebie szanuję. Jeszcze jest w tobie coś, ale za parę lat może już nie być. Za parę lat możesz być inna, interesowna jak inni.

Mimo wszystko rozmiękczyło mnie trochę to jego kolejne przemówienie. Nie z królewiczem przecież, pomyślałam, jadę, nie z rycerzem nieposzlakowanym, a ze zwykłym człowiekiem, słabym, przyszarżałym i przypleśniałym tak, że nawet ten jego podryw na tradycję rodzinną, zwichniętą w trzecim pokoleniu, czuć było dobrze jakąś znajomą obcą pleśnią i strachem, i wiedziałam dobrze, że z niego tak samo jak z ojca nikt dodatkowej skiby nie wyorze.

Nasza droga skończyła się, kiedy on wpatrzony w zasłonięty drzewami horyzont, jak wielki, samotny Obywatel Kane, kończył mi z detalami opowiadać panoramę losu powstańczego pradiadka padłego w nieustępliwym boju, i wtedy właśnie zobaczyłam ze zdziwieniem, zamiast pola bitwy, jakieś niewielkie domy. Trabant wjechał do miasteczka, stanęliśmy przed hotelem. Szef wysiadł, wszedł w drzwi, za chwilę wrócił z drucikiem meldunkowym dla mnie, zabrał wypełniony formularz i mój dowód i wrócił za dwie minuty. Pomyślałam tylko: jeden pokój czy dwa?

Potem było jeszcze trochę jazdy po wertepach, ale prędko dojechaliśmy do rzeki. Z miejsca, gdzie siedzieliśmy oganiając się przed komarami, patrzyłam na stary zdewastowany park z alejami jeszcze do odgadnięcia i starymi przetrzebionymi drzewami oblepionymi wronimi gniazdami jak jemiołą. I tam, między tymi drzewami, uroczyście się rozsypywał stary pałac. Tu mógł kiedyś mieszkać pradiadek mojego szefa. Było trochę cmentarnie. Zaczął się robić zmierzch i szef powiedział, że jak się ściemni bardziej, to usłyszemy słowiki.

Czekaliśmy i on, jakby go opętało, znów zaczął o rodzinnych tradycjach. Tym razem usłyszałam życiorys notariusza, dumnego człowieka, który coś znaczył w swojej miejscinie; pomyślałam, że dzisiaj zwykły notariusz niekoniecznie by coś znaczył, ale tamten był w legionach, więc może by i znaczył. Ale miał tchórzliwego syna i wnuka myślącego o sobie, że jest odważny.

Chociaż na swój sposób tu ze mną do pewnego stopnia odważny był. Ponieważ nie pozwalałam mu na to, czego się spodziewałam, że będzie chciał, a tylko na jakieś drobiazgi, więc śpiewu słowików wysłuchał nieuważnie z twarzą po uszy wciśniętą wysoko w moje nogi. Tak się jakoś przygarniał i do gołych

nóg i do bielizny, że znów mnie to wzruszyło, więc siedziałam spokojnie, opędzałam się tylko ukradkiem przed komarami i patrzyłam zamyślona na tył jego głowy, jak tak leżał przy mnie pokorny i całował nogi i majtki i ciepłą skórą oddychał i pomyślałam: może później, bo mi go szkoda było; nie setny to mój kochanek, ale i nie pierwszy, dlaczego robić krzyk, kiedy on ma dla mnie dobrą kartę?

Przesiedzieliśmy nad rzeką dwie godziny, potem podjechaliśmy trabantem pod hotel. Była tam restauracja, zaskakująco dobra w takiej dziurze. Gdzieś tu musiało coś być blisko, ruch turystyczny albo wielki przemysł pod miastem niedaleko. Dancing się właśnie zaczynał i mój szef w świeżej koszuli wyciągniętej z trabanta i w niezłym garniturku prezentował się tak dobrze, że ta jego szarzyzna i zapleśnienie przestały prawie być widoczne, nadawał się do tańczenia. Miałam apetyt, piliśmy jakiś koniak właśnie, kiedy się wszystko nagle zepsuło.

Ni stąd ni z owąd podchodzi do naszego stolika jakiś typ, o nic nie pyta, bez przeproszenia i bez zaprosin siada przy nas. Typ tubylczy, rozrośnięty, we flanelowej koszuli, w butach z cholewami, zgrabnych choć i wyczyszczonych. Gasi mi w popielniczkę przed nosem śmierzącego sporta, patrzy na mnie, potem na szefa i wyciąga do niego łapę.

— Cześć!

Mój amant zbaraniały patrzy na niego i choć nic nie odpowiada, czuje, że gdyby to przewidział, wcale by się w tym hotelu nie zatrzymał. A tamten zaraz, jakby go szef przestał obchodzić znów mi się przypatruje, nagle mi się zdaje, że gdzieś już taką gębę widziałam. Szef, od nowa przyplesniały, wyciera ukradkiem ręce o spodnie na udach i mówi, choć tamten nie patrzy:

— Cześć.

Tubylec przez chwilę nic nie mówi.

— Na weekend? — pyta potem.

— Tak sobie wyskoczyłem ze zmęczenia, odprężyć się trochę.

— Zmęczyłeś się?

— Cholernie — mówi szef. — I mam kłopoty.

— Nie mogłeś przyjechać tych parę kilometrów więcej? Działek by się ucieszył — powiada i patrzy na mnie. — Co to za jedna?

— Ode mnie z wydziału. Stażystka — informuje szef z kwaśną miną.

— To cześć — odzywa się typ do mnie. — Co wytrzeszczasz gały? Ten twój szef, to mój braciszek.

To ja nagle zrozumiałam, skąd go znam. Był rzeczywiście podobny do szefa, tylko że pojemniejszy w spojrzeniu, w odde-

chu czystszy, w mowie jaśniejszy, nie przypleśniały też. Więcej w nim swobodnego człowieka.

— No i co się gapisz? — pyta.

— Miło mi pana poznać.

— Mnie też miło. Niegłupio wyglądasz. Jak studiowałem, rwałem takie tylko, co niegłupio wyglądały.

— Gdzie pan studiował?

— Gdzie? Na Wueserze. Miałem miejsce moje zmieniać jak braciszek? Perspektywę, jak on mówi? — roześmiał się, a szef jeszcze bardziej przypleśniał i odtąd pleśń zjadała go coraz szybciej. — Siedzę teraz na wsi, gospodarzę na paru hektarach, nieźle mi nawet idzie. Grunt że na swoim.

Ale mnie jeszcze żaden kanał w myśleniu na przestrzał się nie otworzył, bo skąd by mi się miała wziąć taka olśniewająca jasność. Na razie myślałam tylko: no, proszę, żywy człowiek, nie zaśniedziały w biurze, dobrze takiego spotkać w jakiejś geograficznej zapaści. A on patrzy przed siebie na orkiestrę, nie stara się schować rąk przyniszczonych, zarośniętych brudem czy uprawianą ziemią, patrzy spokojnie, bez umykania wzrokiem przed kimkolwiek, a potem przenosi spojrzenie na braciszka.

— Przyniosło cię tak blisko domu, a nie wpadłeś. Mogłeś z nią przyjechać, dziadek ma męską pamięć, nie babską, ucieszył by się i z niej. Jutro pewnie popędzisz do twoich szefów, żeby im drzwi pootwierać?

— Rzeczywiście rano wracam. Mam parę pilnych spraw do załatwienia, nawet ją wziąłem, żeby mi przypominała. Nie dam rady niczego odłożyć.

— Dziadek by się ucieszył.

— To się ucieszy kiedy indziej. Przyjadę za tydzień.

— Teraz ucieszyłby się bardziej. Ma kłopoty.

— Co się urodziło?

— Nic wielkiego. Nowy facet od podatków przyszedł drugi raz po pieniądze, to się dziadek zdenerwował. Tamten był nowy, nie bardzo wiedział jak jest, to dziadkowi, jak nie mógł kwitów znaleźć, kazał płać i parę słów niepotrzebnie powiedział. Dziadek go też najpierw mięsem obłożył, a jak facet stracił nerwy, napuścił na niego Zbója.

— No i co?

— Facet z pogryzionym zadkiem podyrdał do lekarza, poban-
dażował się, wziął zaświadczenie, że jest niezdolny do pracy,
i z tym pojechał do proroka. I prorok dziadkowi sprawę robi.
Może posiedzieć, a szkoda staruszka. Będiesz musiał coś zrobić.

Szef pokiwał głową omijając mnie wzrokiem.

— Zawsze miał kłopoty. Za nerwowy jest.
— Nie bluźnij przeciw ojcu — mówi braciszek. — Gdzie on tam nerwowy? Hardy jest. Nie daje sobie w kaszę płuć.
— Nieobliczalny jest — powiada cicho i smętnie szef.
— Będiesz czcił ojca swego i matkę swoją — mówi braciszek. — Ja nie wiem, czy on jest nieobliczalny. Nigdy tego nie widziałem. Hardy jest, to owszem. Nie lubi karku zginać i trzyma się swojego prawa.

Na to szef jeszcze ciszej.

— Nie ma dla ludzi szacunku.

— Kto nie ma szacunku? Ojciec? On nie uznaje urzędowych autorytetów. Dla niego autorytet, to uczciwość i akuratność w robocie. Jak wie, co mu się należy, to się nikogo nie boi, i przez to ma kłopoty.

— Ja też mam przez niego kłopoty — mówi szef.

Braciszek na to nic, tylko zamówił żytniówkę; smakowała mi lepiej, jak szefa koniak. Potem wstał i poprosił mnie do tańca. Szef został przy stole ścięty jak zsiadłe mleko. A braciszek w tańcu bez żadnego wstępu przyciska mnie do szerokiej piersi, że ledwie zapię, i wyprowadza na szerokie wody. Jak już złapałam oddech, przygarnęłam się do niego i mówię:

— Mam znajomego. Jest w mieście ważnym urzędnikiem.

On na to trochę zeszywniał, nic więcej.

— Jego ojciec, to też urzędnik, tylko mniejszego kalibru i tchórz — mówię dalej.

Teraz przypatrzył mi się z góry przez moje rozsypane włosy, ale w tańcu nic się jeszcze nie zmieniło, więc ja znowu:

— Dziadek tego mojego znajomego był notariuszem, w ogóle rodzina z tradycją. Notariusz był człowiekiem bardzo honorowym.

— Ty! — mówi on wreszcie do mnie. — Coś jakby nie na temat nawijasz!

— Co nie na temat? — powiadam. — Jeszcze jak na temat! Bo to jeszcze nie koniec. Pradziadek tego mojego znajomego był powstańcem i zginął w tak młodym wieku, że ledwie się zdążył ożenić i zrobić żonie syna, żeby nie musiała jechać sama w ciepłe kraje. Piękne tradycje rodzinne, nie?

— Piękne — przyznaje braciszek. — A teraz ty przestaw się na odbiór. Mój pradziadek, to był zwykły chłop pańszczyźniany.

— Mnie to nie przeszkadza — mówię. — Ja nie mam przesądów na tym tle.

— I dziadek, to też był zwykły chłop, tyle że już na swoim, i mój ojciec, to też chłop. A ja kontynuuję tradycję rodzinną. I jedno ci jeszcze mogę powiedzieć. Moja matka, nieżyjąca, była

bardzo porządną kobietą. Więc nic się nie trzyma kupy. Ja nie mam podstaw wierzyć, żeby mój brat miał być od innego ojca.

— Nie wiem — mówię. — Myślałam tylko, że pana rodzina też ma tradycje.

— Ścierwo biedne — on na to. — Skarłał mi brat, zamiast wyrosnąć w szerokim świecie. A ty po co żeś z nim przyjechała? Nie masz się z kim przespać?

— To on chce ze mną spać — powiadam. — Ja nie za bardzo.

— To dobrze, bo on się dla nikogo nie rozwiedzie, żona go trzyma w garści. Zresztą, co by to była dla ciebie za frajda? Masz chyba lepszych kandydatów, co? Za co on chce to z tobą robić?

— Nie wiem, nie pytałam go.

— Nie ma nic dla ciebie?

— Nie wiem. Mówi, że ma dla mnie dobrą kartę. Może staż chce mi skrócić?

— Gówniarz — powiada na to braciszek. — Lokaj swoim gościom stawia wino swojego pana. Nie dopuszczaj gówniarzy do swojego łóżka. On jest dla ciebie taki ważny, że mu nie możesz powiedzieć, gdzie go masz?

— Chyba mogę.

— No, to mu powiedz.

Nie zrobiłam tego. Posiedzieliśmy razem przy stoliku jeszcze z pół godziny, potem wyszliśmy i braciszek odjechał motorem, za małym dla takiego konia; wyglądał pod nim jak umęczony osiodłany pies. A szef poprowadził mnie prosto do hotelu. Pokój był oczywiście jeden i szef po spotkaniu z braciszkiem nie miał humoru. Ja byłam śpiąca, a on siedział przy stole i nie szedł spać. Leżałam w łóżku przyzwoicie okryta kołdrą i w piżamie, kiedy mi się go zrobiło żal, więc mówię:

— Czego się wygłupiałeś? Po co żeś mi opowiadał o tych swoich przodkach? Na co to komu było potrzebne? Mogłeś mnie tu przywieźć i bez tego.

A on przez cały czas siedział na krześle i patrzył w podłogę; myślałam, że się już nie odezwie.

— Chciałeś mieć nastrój i sam go zmarnowałeś? Nie rozumiem, po co ci był potrzebny pradziadek i dziadek, i ten twój całkiem przyzwoity ojciec? Jeżeli chciałeś lepiej dzięki nim wyglądać, to wyglądałeś gorzej. Trudno ci to było sobie wyobrazić?

— Ty nic nie rozumiesz — powiada w końcu, kiedy wydało mi się, że jest bliski płaczu. — Mnie to było potrzebne. Ja nie mam do czego iść. Ja nie mam celu. Wzoru nie mam.

Perspektywy dla siebie nie mogę dobrej znaleźć. Ciężko mi jest, bo jak człowiek nie ma nic przed sobą, to choć za sobą powinien coś mieć. Ja nie mam, to sobie przodków wymyśliłem.

— Rany boskie! — powiedziałam. — W twoim wieku i na twoim stanowisku bawisz się jak smarkacz. Niestworzone rzeczy wymyślasz. Twój brat jakoś znalazł sobie perspektywę. Niczego sobie nie wymyśla. Nie wstydzi się.

— To nie ze wstydu — mówi szef.

— To po co? Żeby mnie łatwiej na łóżko namówić?

— Nie po to. Tak sobie kiedyś pomyślałem, że by było dobrze, jakby mnie coś do przodu popychało. To sobie wymyśliłem. Ale mnie nie pomaga ta moja fantazja. Rzeczywistość nie pozwala i charakteru nie mam. W środku niczego nie mam i nie mam skąd wziąć.

— To dlatego, że się wszystkiego boisz.

— Boję się — mówi. — To fakt. Jak się mam nie bać, jak ja nic pewnego nie wiem, nie mogę się dowiedzieć, co mi grozi, reguł nie znam, ani niczego. Nie mogę się zabezpieczyć przed niczym, nie mam jak sobie odwagi dodać. A w ogóle, to diabli mnie podkusili, żeby tu przyjechać. Mogłem gdzie indziej.

To ja się wyciągnęłam na łóżku, zamknęłam oczy, żeby na niego nie patrzeć i sobie pomyślałam różne rzeczy bardzo nieciekawe. O nim myślałam i o sobie, i o tym, co będzie ze mną za dziesięć lat. Wychodziło mi, że i ja nic nie wiem i że nie mam się skąd cegokolwiek dowiedzieć, chyba ze wzniosłych książek o pięknych, wymyślonych ludziach. Znowu popatrzyłam na niego, ale wcale nie ze wzdrgą czy czymś takim, bo co on jest winien, mizerny niski człowiek, skoro i u niego nad biurkiem nie ma żadnego kompasu. A potem byłabym przysięgła, że upłynęło dużo czasu i że moje oczy popatrzyły na mnie jakby patrzyły na szefa i pomyślałam, tak patrząc na siebie z litością, że powinnam się jak najprędzej wynieść z jego wydziału; może w innym układzie znajdę coś, co mi nie pozwoli płynąć bezwrotnie z tą falą i zarazem z nią opadać coraz niżej, aż w jakiś muł spleśniały, butwiejący. I pomyślałam jeszcze, że nic się wielkiego nie stanie: mogę sobie tu zaraz ułatwić to odejście, wystarczy na początek, jeżeli mi się uda ten staż skrócić. Zaczęłam obserwować szefa, jak się powoli, z namysłem, zaczął rozbierać, zdejmować z siebie i układać starannie swój urzędniczy garniturek, koszulę, skarpety i buty. I w końcu, jak już się kładł do łóżka, powiedziałam sobie: niechże ten biedny zastraszony potwór przyjdzie do mnie, może mu coś pomogę. Przynajmniej w tym względzie na pewno jest mężczyzną, niech więc oboje z tego wielkiego zapleśnienia coś mamy, a potem pomyślałam: trudno,

skoro nie ma swojego, niech będzie wino jego pana; nie ma on dla mnie nic innego, tylko ten staż do skrócenia. Zawołałam go do siebie. Po naszej rozmowie niczego się nie spodziewałam, więc przyszedł do mnie bardzo wzruszony.

A ja myślałam, że to już będzie koniec niespodzianek na dzień dzisiejszy, z tym że to wcale nie był koniec. Jeszcze nie było tak bardzo późno, nawet mi się spać po tym wszystkim nie bardzo chciało, miałam tylko ochotę solidnie się wykąpać. Leżałam sobie spokojnie i zgadywałam w duchu czy najpierw się trochę zdrzemnę, a później się wykapię, czy pójdę do wanny już teraz. Łazienka była przy pokoju, wysoki komfort, skąd taki hotel, pomyślałam sobie, z radiem, z łazienką, z telefonem przy radiu. Już miałam wstawać do kąpieli, kiedy mój amant podniósł słuchawkę, zamówił jakiś numer i się wyciągnął przy mnie. Nie czekał długo na rozmowę, zaraz się to zaczęło i ta jego rozmowa wytrzeźwiła mnie lepiej, niż gdybym była po kąpieli. Ten, z kim szef właśnie rozmawiał, to był jakiś jego kolega jeszcze ze szkoły czy z pierwszej pracy. Najpierw pogaworzyli sobie całkiem jak stare baby o dawnych latach i kiedy już sentymentom dali upust, szef wyciągnął z kieszeni podanie dziadka-fundatora.

— Ty! — mówi w słuchawkę do tego swojego kolegi i wygląda podanie. — Ja mam dla ciebie małą sprawę po twojej linii służbowej. Przyszedł dziś do mnie bardzo niewyraźny facet. Chce dawać jakieś pieniądze, milion czy coś koło tego, na budowę czegoś tam społecznego, ale mi wygląda, że jest podejrzany. Mówi o jakichś oszczędnościach, a pieniądzem rzuca na prawo i lewo, nie wierzę, żeby mu z oszczędzania przyszły. Nie. Stary dziad, po siedemdziesiątce. Przyjeżdża, chodzi po knajpach, po melinach, forszę puszcza ze studentkami, po trzy bierze ich do siebie do hotelu.

Zdrętwiałam, ale pomyślałam zaraz: nie ma co, koronkowa robota. Wydawało mi się, że nie wytrzymam, że przerwę mu tę rozmowę, albo coś krzyknę w słuchawkę, ale leżałam spokojnie i patrzyłam na szefa, jak siedział sobie w krześle przy telefonie, patrzył na podanie dziadka na stole i nie mógł się powstrzymać, żeby wolną ręką nie dłużyć sobie między palcami najpierw jednej, a potem drugiej nogi. Ten jego kolega coś mu mówił ważnego, więc przerwał na moment dłużyć i mu przedyskutował adres dziadka, jego nazwisko i zaraz potem hotel, gdzie dzisiaj dziadek miał spać.

— Tego to ja nie wiem — powiada później. — Na moje rozeznanie ta jego forsa nie jest za bardzo wiadomego pocho-

dzenia. Mnie to wygląda niewyraźnie, a ponieważ facet jest z twojego terenu, to pomyślałem, że może się tobie ta wiadomość przydać. Tak. Jasne. Ja bym opukał faceta, trochę mu przyblokował do wyjaśnienia sprawy chęć wydawania pieniędzy, poprzyglądał bym mu się. Pewnie. Dyskretnie go prześwietlić. W Polonii. Tak. Tam te jego studentki mogą u niego jeszcze być. Miał jeszcze jakichś dwóch synów niewyraźnych. Nie żyją, bo ich ktoś wykończył w czasie wojny, czy co. Nie wiem. On tak samo dobrze nie wie, powiada. Ja nic nie sugeruję, ale dobrze by było posprawdzać. Jasne. I przestraszyć. Niech jedzie do siebie i niech tam siedzi. Jasne. Jak się okaże czysty, będziemy gadać. Dobra. Dobra jest. Dyskretnie. Tak. Cześć. Nie ma za co. Cześć.

Tak to mniej więcej ta miła rozmowa wyglądała i na tym się skończyła. Szef, weselszy, poskładał dziadka podanie, wsadził go sobie do portfela i przyszedł jeszcze do mnie pogadać, pogłaskać mnie po włosach na dobranoc.

— Mówiłem tobie — powiada. — Potrzebny mi był do myślenia dobry nastrój. Zawsze się coś wymyśli, żeby wyjść cało. Mam teraz sprawę z głowy, przynajmniej na jakiś czas. Dziadek będzie za bardzo sobą zajęty, żeby zawracać nam głowę, a jak mu się zrobi luźniej, to znów się coś wymyśli. Ja się w kłopoty, w ryzyko wpędzić nie dam.

— Wiesz? Ty jesteś sukinsyn wielki i zabierz mi rękę z włosów — mówię mu, ale on się wcale tym sunkinsynem nie przejął, pewnie pomyślał, że to komplement za zaradność, bo się roześmiał dumny z siebie, a mnie się zachciało teraz rzygać, nie kąpać. — Ty jesteś dopiero skurwysyna kawał! — mówię mu jeszcze. — Weź tę rękę!

— Ulżyj sobie — powiada i śmieje się. — A ja mam tak czy tak kłopot z głowy.

— Wiesz? — mówię po chwili. — Ty jesteś zwykły lokaj.

— Nie żartuj. Lokaj to ten, co miał pana, a pana dzisiaj ma każdy.

— Tylko że ten twój pan, to strach o karierę.

— Niech ci będzie. Taki sam dobry jak każdy inny, a pana, powiadam ci, każdy ma. Ty też go będziesz miała. Albo go masz, tylko go nie znasz jeszcze.

— Możliwe — powiadam. — Ale ja się nie boję, a ty się boisz.

— Boi się każdy, kto ma pana.

— Możliwe, ale ten twój pan, to też lokaj. Coś marnie wyglądasz z tymi twoimi wymyślonymi przodkami.

— Ty się lepiej zamknij! — powiada do mnie wściekły teraz. — Ty się lepiej zamknij — mówi — bo się na niczym nie znasz. Wszystko jest kwestią perspektywy. Moja jest dobra, bo jedyna.

— Ty sukinsynu! — mówię jeszcze. — Tobie się wszystko popierzyło, razem z perspektywą!

— Jak się nawet popieprzyło, to nie mnie jednemu. A teraz się zamknij i idź spać — powiada.

Więc już nawet nie chodziłam do łazienki, tylko wsadziłam głowę w poduszkę. Choć go pogoniłam od siebie, kiedy się jeszcze chciał do mnie dobrać, to i tak przez niego do rana nie spałam.

Rano wstałam i nie chciałam się do niego odzywać, patrzyłam tylko, żeby się jak najprędzej od niego urwać. Ale i tego nie mogłam tak prędko zrobić. Wstał w dobrym humorze i zaraz poszedł podszykować trabanta, więc pomyślałam, że zaraz pojedziemy. Ale kiedy zeszałam do niego i wsiadłam do samochodu, to on powiada, że ma mi jeszcze jedną rzecz do pokazania, jarmark, jakiego w życiu nie widziałam. I musiałam na ten jarmark miało miasteczkowy z nim pojechać.

Tam nic wielkiego nie zobaczyłam, bo ledwie wleźliśmy w tłum, on zaraz zwęszył zbiegowisko i zaczął mnie tam ciągnąć. Przy zwykłym stole kuchennym, pewnie pożyczonym, rudy i tłusty, z czerwonym nosem od zimnych zakąsek, już od rana trącony facet, stoi, wymachuje tubką i drze się warszawskim akcentem:

— Maś na szczury! Maś na szczury! Jedyna niepowtarzalna okazja! Kupujcie nasz wypróbowany specyfik!

Szef jakby zwariował. Przepycha się tratując ludzi do samego stołu i ciągnie mnie za sobą jak worek. A facet drze się:

— Maś na szczury! Maś na szczury! Epokowy wynalazek! Największy wynalazek naszej epoki! Kupujcie nasz specyfik!

— Co to za specyfik? — pyta mój amant zziązany. — Jak się to używa?

— Jak się używa? — rudy z wyższością patrzy na niego. — To jes rewelacja o nieskomplikowanej obsłudze! To jes rewelacyjnie proste! Bierzymy szczura w pazury, przewracamy go brzuchem do góry i smarujemy go w podbrzusze naszym specyfikiem!

— I co? — pyta szef gorączkowo.

— Co? Nic! Szczur rusza wąsami, wywraca gałami i się przenosi na łono Abrahama! Maś na szczury! Maś na szczury! Kupujcie rewelacyjny wynalazek naszej epoki!

— Panie! — śmieje się ktoś z boku. — To jak się tego szczura ma w łapach, to go nie można pałą?

— Można pałą, można naszym specyfikiem! Maś na szczury! Maś na szczury! Kupujcie nasz nieskomplikowany specyfik!

— Daj pan dwie tubki — mówi szef. — Za czymś takim od dawna żem patrzył.

— Służę szanownemu panu bez długiego kramu. Dwie dyszki inkasuję, bez zysku odstępuję — powiada rudy, podaje szefowi dwie tubki, ziele czystą zwykłą i patrzy krótko na mnie czerwonym okiem. — Życzę szanownemu państwu owocnego polowania i polecam naszą firmę, która produkuje tylko do odwołania. Maś na szczury! Maś na szczury! Kupujcie nasz nieskomplikowany specyfik!

— Możemy teraz jechać — powiada już w trabancie zadowolony szef. — Dwie sprawy mam z głowy. Szczury i naszego fundatora.

I jest naprawdę w dobrym humorze. Pod koniec drogi daje mi jedną tubkę, ja ją biorę i nawet chyba myślę: będzie dobra na szczury ta maść, rewelacyjny wynalazek naszej epoki.

SPIS RZECZY

PODKOWY	7
KURS NA LEWO	25
PAN WACŁAW	51
POCHÓWEK	87
GŁĘBOKĄ NOC. WALC	132
MAŚĆ NA SZCZURY	164

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

	Stron	F.
Allilujewa, S.: <i>Dwadzieścia listów do Przyjaciela</i> (Seria „Archiwum Rewolucji”)	256	20,00
Andrzejewski, J.: <i>Apelacja</i>	112	12,00
Arzak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Motory i hamulce socjalizmu</i> (Seria „Dokumenty”)	128	12,00
Bierezin, J.: <i>W a m</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro. Szkice i opowiadania</i>	272	20,00
Bobkowski, A.: <i>Szkice piórkem</i> (Francja 1940-1944) t. I/II	760	25,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapski, J.: <i>O k o</i>	228	12,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), Działalność wydawnicza (1959-1973)	432	75,00
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VI „ <i>Dziennik (I)</i> 1953-1956”	304	30,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VII „ <i>Dziennik (II)</i> 1957-1961”	256	30,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. VIII „ <i>Dziennik (III)</i> 1961-1966”	224	25,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. I „ <i>Ferdydurke</i> ”	292	24,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IV „ <i>Kosmos</i> ”	160	15,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. IX „ <i>Opowiadania</i> ” ..	208	24,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. III „ <i>Pornografia</i> ” ..	168	15,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. V „ <i>Teatr</i> ”	224	18,50
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. II „ <i>Trans-Atlantyk</i> ”	132	14,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „ <i>V a r i a</i> ”	544	50,00

	Stron	F.
Greene, G.: <i>Moc i chwała</i>	247	15,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grzędziński, J.: <i>Maj 1926 (Seria „Dokumenty”)</i>	112	9,00
Gulley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Heller, M.: <i>Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka</i>	324	30,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Drugie przyjście</i>	250	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i>	192	25,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hersch, J.: <i>Polityka i rzeczywistość</i>	225	9,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Hirszowicz, M.: <i>Komunistyczny Lewiatan</i>	132	15,00
Hłasko, M.: <i>Cmentarze. — Następny do raj</i>	258	30,00
Hłasko, M.: <i>Opowiadania</i>	188	25,00
Huxley, A.: <i>Nowy wspaniały świat poprawiony</i>	121	7,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas (Poezje)</i>	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwanow, I.: <i>Jest' li żiźń na Marsie?</i>	102	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła (Seria „Dokumenty”)</i> ..	176	10,00
Kalinowski, Fr.: <i>Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii (1940-1945)</i>	372	36,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb (1943)</i>	223	8,00
Koestler, A.: <i>Fragmenty wspomnień (Seria „Archiwum Rewolucji”)</i>	240	13,50
Kołakowski, L.: <i>Główne nurty marksizmu, t. I.</i>	432	75,00
Korboński, St.: <i>Polskie Państwo Podziemne</i>	288	40,00
Koszelewicz, I.: <i>Ukraina 1956-1968 (Seria „Dokumenty”)</i> ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: <i>„Kultura” 1947-1957. Bibliografia Kultury</i> ..	392	15,00
Kowalik, J.: <i>Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962)</i>	80	9,00
Kulski, J.: <i>Stefan Starzyński w mojej pamięci (Seria „Dokumenty”)</i>	144	12,00
<i>Kultura masowa — opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)</i> ..	145	6,00
Lednicki, W.: <i>Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905</i> ..	144	9,00
Lewickij, B.: <i>Terror i rewolucja (Seria „Archiwum Rewolucji”)</i>	288	15,00

	Stron	F.
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Łobodowski, J.: <i>Złota Hramota</i>	190	9,00
Mackiewicz, St.: <i>Polityka Becka</i>	190	17,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00
Mieroszewski, J.: <i>Modele i praktyka</i>	224	20,00
Miłosz, Cz.: <i>Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada</i>	96	15,00
Miłosz, Cz.: <i>Miasto bez imienia (Poezje)</i>	72	12,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i>	256	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i>	176	22,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Odojewski, Wł.: <i>Zasypie wszystko, zawieje...</i>	484	45,00
Orłóś, K.: <i>Cudowna melina</i>	180	20,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
Preiss, P.: <i>Biurokracja totalna</i>	208	18,50
<i>Program Związku Komunistów Jugosławii (Seria „Dokumenty”)</i>	276	8,00
<i>Przeciw niewolnictwu (Seria „Dokumenty”)</i>	64	10,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946 (Seria „Dokumenty”)</i>	288	18,50
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Sacharow, A.: <i>Mój kraj i świat</i>	92	22,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Sławka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Solżenicyn, A.: <i>Archipelag GUŁag, T. I (Cz. I i II)</i>	560	60,00
Solżenicyn, A.: <i>Archipelag GUŁag, T. II (Cz. III i IV) z przesyłką</i>	606	72,50
Staliński, T.: <i>Cienie w pieczarze</i>	368	30,00
Staliński, T.: <i>Ludzie w akwarium</i>	148	25,00
Staliński, T.: <i>Romans zimowy</i>	208	24,00
Staliński, T.: <i>Sledztwo</i>	224	25,00

	Stron	F.
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	50,00
Swinarski, A. M.: <i>Sasza i bogowie</i>	280	15,00
Tarniewski, M.: <i>Ewolucja czy rewolucja</i>	288	40,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
Vincenz St.: <i>Po stronie pamięci</i>	256	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Weil, S.: <i>Wybór pism</i> , opr. i przekład Cz. Miłosz	384	15,00
<i>Węgry</i> , opr. Cz. Miłosz (Seria „Dokumenty”)	126	9,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wygodzki, St.: <i>Zatrzymany do wyjaśnienia</i>	208	16,50
Zaremba, P.: <i>Historia Polski</i> , Cz. I	588	25,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 łącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy <i>Zeszyt</i> liczy 240 (lub 256) stron. <i>Zeszyty</i> Nry 2, 4, 5, 6, 7 i 15 są wyczerpane. Ukazał się <i>Zeszyt</i> 38		
		30,00

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

**ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 4 FÉVRIER 1977
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)
Dépôt légal : 1^{er} trim. 1977
Imprimé en France.**

